KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 9/71 1953



• «La Culture» • Revue mensuelle •

St. ZARZEWSKI: **FETYSZE I FIKCJE EMIGRACJI**

J. PRETWIC: **RADIO I RADIOCI**

St. KORBOŃSKI: **„ŚWIT" – TAJEMNICA NACZELNEGO WODZA**

SPIS RZECZY:



ARCHIWUM POLITYCZNE

SPRAWY I TROSKI

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Z OSTATNIEJ CHWILI

KRONIKA KULTURALNA



KULTURA

zkice • Opowiadania • Sprawozdania

ARYŻ Wrzesień – Septembre 1953

NSTYTUT  LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Szymon SZYSZMAN, ur. w 1909 r. Studia mat.-przyr. na Uniw. S Batorego w Wilnie ukończył w r. 1933. Pracował w laboratoriach nauko wych, poświęcając się jednocześnie badaniom historycznym. W ostatnic latach poświęca się całkowicie studiom Karaizmu.

◆

Maria DANILEWICZOWA, ur. 1907, pisarka i bibliotekarka; prac w Bibl. Nar. w Warszawie i Polish Univ. College Library w Londynie Ukazały się w druku : ,,Tymon Zaborowski, życie, twórczość'', ,,Librarie of Poland'' i ,,Blisko i daleko'' (opowiadania).

◆

Jan WINCZAKIEWICZ, ur. w Kielcach 1921; dziennikarz; uzyska dyplom literatury francuskiej w Grenoble w 1942 r.; udział w walkach P. S Zbr. w II Wojnie Światowej, odznaczony Krzyżami Virtuti Militari i Wa lecznych. W latach 1945-46 wyd. w Paryżu kilka zbiorków poezji; prze kłady z poezji hiszp. m.in. poezje Lorci, wydane w zbiorku w 1952 prze Oficynę Poetów i Malarzy w W. Bryt.

Przedłużający się strajk pocztowy we Francji całkowicie zdezorganizował naszą pracę uniemożliwiając nam kontakt z czytelnikami i współpracownikami. W miarę otrzymywania zaległej korespondencji będziemy załatwiać wszystkie sprawy — prosimy więc wszystkich o cierpliwość i wyrozumienie.

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, Paris (XVIII°)

Fetysze i fikcje emigracji

Jedną z cech polskiego myślenia politycznego jest zamiłowanie do fikcji. Polacy potrafią wywindować fikcję polityczną na takie wyżyny, że z nich — właśnie rzeczywistość wygląda jak cień, jak coś, co można wywołać wiarą, przepędzić zaklęciem. Pseudo-mocarstwowość lat 1936-1939, hurra-legalizm okresu emigracyjnego, walka stronnictw emigracyjnych o nieistniejącą władzę w imię ratowania niezagrożonej przez nikogo (poza Bierutem) demokracji polskiej, wiązanie przesadnych nadziei z rzeczami, które choć cenne, jak np. zjednoczenie, nie należą jednak do czynników, rozstrzygających o realizacji głównego celu — oto przykłady atmosfery myślenia imaginacyjnego, w której porusza się polityka polska.

Prawda, że fikcja polityczna nie jest wynalazkiem polskim i nie tylko przez Polaków jest uprawiana, ale jest wielka różnica pomiędzy rolą, którą gra ona w polityce polskiej a znaczeniem, które ma w polityce innych narodów. Gdy np. rząd brytyjski traktuje państwa satelickie jako suwerenne albo uważa ich przedstawicieli za neutralnych kandydatów do międzynarodowej komisji w sprawie jeńców na Korei, jest to operowanie fikcją, którą rząd brytyjski uważa za dogodną dla siebie, ale w którą oczywiście sam nie wierzy. Rząd sowiecki operuje gigantyczną fikcją, którą wpaja setkom milionów ludzi, a której treść stanowi twierdzenie : ,,Wschód komunistyczny — to raj, Zachód kapitalistyczny — to piekło''. Robiąc wszystko, co leży w jego mocy, rząd sowiecki dąży przy tym do tego, aby fingowany charakter tego sloganu nie ujawniał się ani we własnym imperium ani zagranicą, przez co stwarza sytuację, w której np. obiektywna niedostateczność jego osiągnięć w zakresie dobrobytu ludności imperium sowieckiego nie staje się, w oczach ,,spreparowanych'' psychicznie milionów, zbyt silnym argumentem przeciwko niemu. Operowanie fikcją, w którą się samemu nie wierzy, może czasem być użyteczne. Ale fikcja, we własnym mniemaniu jej autora identyfikowana z rzeczywistością, jest zawsze szkodliwa z punktu widzenia interesów polityki tegoż autora. Zło polskich

fikcji politycznych polega na tym, że Polacy sami w nie wierzą i sami siebie oszukują. Przedwrześniowe ,,silni, zwarci, gotowi'' jest tragicznym przykładem złudy, w którą Polacy istotnie wierzyli. Dziś inne fałszywe miraże rządzą polskim myśleniem politycznym i robią spustoszenie w głowach tych, którzy w nie wierzą. Jak widzimy, zachodzi istotna różnica pomiędzy fikcją w polityce, kultywowaną przez Polaków, a polityką fikcji, uprawianą nieraz przez inne narody.

Nie jest przypadkiem, że bohaterski, ale będący zaprzeczeniem realizmu politycznego, naród polski jest najlepszym w świecie sojusznikiem innych narodów a zarazem — jakże często — najgorszym obrońcą własnych interesów. Spróbujmy rzucić trochę światła na to smutne zjawisko — od strony doświadczeń emigracyjnych.

EMIGRACJA

Czym są, z punktu widzenia wartości narodowo-politycznej, owe setki tysięcy Polaków, rozsianych w kilkudziesięciu państwach świata ? Jaki jest wpływ losów emigracyjnych na rzeczywisty duchowy związek tych ludzi z krajem ?

Na terenie tego zagadnienia rządzi nami wszechwładny werbalizm, na który składają się frazesy patriotyczne, slogany ogólnikowe i oświadczenia typu sentymentalnego. Niemal wszyscy przyzwyczailiśmy się np. do charakteryzowania ogółu Polaków na uchodźstwie jako tych, którzy ,,pozostali tu, aby walczyć o wolność Polski''. Motyw emigracji tak ujęty jest niewątpliwie wynikiem pomieszania pojęć i braku umiejętności czy chęci patrzenia rzeczywistości wprost w oczy. Jeżeli chodzi o tęsknotę za krajem, o ,,stan serc'' znakomitej większości emigrantów, to nie ulega kwestii, że sprawa przedstawia się pomyślnie. Dużo jest patriotyzmu w Polakach, zwłaszcza w tych, którzy na ten temat nie deklamują. Z tego bynajmniej nie wynika, że rozstrzygającym motywem pozostania i pozostawania przeciętnego Polaka na emigracji jest motyw walki o wolność Polski i że ta walka stanowi istotną treść życia tegoż przeciętnego Polaka na emigracji.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent Polaków, Czechów, Łotyszów, Estończyków i ludzi innych narodowości spoza żelaznej kurtyny nie wraca do swych krajów ze strachu : boją się rządów bolszewickich. Nie jest to żaden przejaw walki ani nawet choćby jakiś filozoficzny wstręt do totalizmu, jest to po prostu, u tych 99 %, zwykły strach przed znanymi metodami bolszewickich rządów. Jest błędem identyfikowanie motywu strachu z motywem walki o wolność. Jest błędem pomijanie faktu, że pozostawanie niektórych Polaków zagranicą, ma charakter wprawdzie nie związany ze strachem, ale również nie mający nic wspólnego z motywami politycznymi. Błędy te są szkodliwe dlatego, że są wyrazem zakłamania, które poprzez idealizowanie rzeczy nie po

zwala na należytą ocenę swych sił i musi prowadzić do błędów w działaniu politycznym. Piłsudski przed pierwszą wojną światową nie twierdził, że ,,cały naród walczy o niepodległość'', lecz szukał sposobów działania w oparciu o nielicznych Polaków; wychodził z założenia, że siłę polską trzeba budować na rzeczywistej aktywności niewielu, a nie na fingowanej ideologii wszystkich. Czy było to stanowisko słuszne? Niewątpliwie tak, gdyż po roku 1863 milionowe masy narodu polskiego pogodziły się z niewolą trójzaboru, a tylko nieliczni, przede wszystkim Piłsudski, nie mogli ,,żyć w wychodku'' według znanego jego powiedzenia.

Stwierdzając te fakty, nie należy potępiać ani narodu polskiego wtedy, ani emigracji dziś. Emigracja, jak każda społeczność, jest w swej masie sumą jednostek przeciętnych, od których — w warunkach niewojennych oraz w okresach mniej lub więcej zarysowującego się braku wyraźnych nadziei — nie można oczekiwać ani heroizmu ani szczególnego idealizmu. Wspomnienie sprzed kilku lat: w chwili demobilizacji Polskich Sił Zbrojnych niewielu znalazło się Ulatowskich, prawie wszyscy zaakceptowali posado-dajny Korpus Przysposobienia, następnie w niejednym wypadku angielski freehold *) przyćmił sen o polskiej wolności, a z ofiary tych którzy zginęli pod Monte Cassino, wyrosła nie tylko sława oręża polskiego, ale także prawo żyjących do wolności i Assistance Board. Sądzę, że protesty à la Ulatowski, choć mające wielką wartość moralną, nie są politycznie wydajne. Myślę też, że nieuzasadnione jest mniemanie, jakoby masa emigracyjna cierpiała i walczyła dziś dla Polski.

Należy jednak uświadomić sobie, że dzisiejszy frazeologiczny werbalizm polski nie jest wyłącznie owocem polskiej skłonności do wielkich słów: w znacznej mierze wyrasta on z atmosfery współczesnej demokracji, opartej na wszechrozstrzygającym kryterium większości. W atmosferze tej, gdy jakaś słusznie czy niesłusznie pożądana cecha nie jest dostatecznie powszechna, to się niefrasobliwie i po prostu przypisuje ją ,,większości'' albo ,,wszystkim''. I tak oto dochodzi do skutku uogólnienie, że ,,zostaliśmy na emigracji dla walki o Polskę'', a daleki od wspaniałości, choć zrozumiały, motyw osobisty zostaje pasowany na patriotyczną cnotę całej emigracji. Wszystko to przypomina trochę sposób bycia naszych sfer gospodarczych, które przed wojną ubierały swoje zrozumiałe dążenie do zysku w szaty zbawiania Ojczyzny.

Atmosfera walorów fingowanych jest złem politycznym. Żeby skutecznie działać w polityce, trzeba przede wszystkim zrobić rachunek własnych sił. Żeby zrobić rachunek własnych sił, trzeba ,,odbrązowić'' emigrację, odkłamać samych siebie, urealnić swój sposób myślenia.

Weryfikując wartość narodowo-polityczną ogółu emigracyjnego, należy też przestrzec przed iluzją, że wartość ta jest niezmienna w czasie. Emigracja w roku 1953 jest czymś innym niż

*) Forma kupna nieruchomości.

była w pierwszych latach wojny; w dalszych latach, w razie przeciągania się niepomyślnej koniunktury międzynarodowej, będzie czymś innym niż jest dziś. Tęsknota za krajem, jak wszelka tęsknota, jest zjawiskiem, którego natężenie słabnie w miarę upływu czasu. Dzieci, które Polski nie znają lub nie pamiętają, czerpią polskość z ,,drugiej ręki".

Zresztą nie tęsknota jest czynnikiem rozstrzygającym w zagadnieniu tak ważnym jak np. zagadnienie reemigracji. Sprawa ta jest o wiele bardziej skomplikowana niż sądzą ci, którzy wszystko rozstrzygają frazesem patriotycznym. Historia uczy, że emigracja bywa masowa, reemigracja nigdy masowa nie jest. Różnica pomiędzy emigracją zarobkową a emigracją polityczną zaciera się z biegiem czasu, gdyż emigracja polityczna wrasta ekonomicznie w nowy grunt, od którego trudno jest się jej następnie oderwać : tym trudniej, im dłużej trwa okres emigracji, tym trudniej im wyższy jest poziom gospodarczy kraju imigracji w stosunku do kraju ojczystego. Temu prawu ekonomicznemu podlegają przede wszystkim dwie kategorie ludzi : duży procent ludzi młodych i tzw. ludzie prości, których losy w wyżej uprzemysłowionym kraju imigracji kształtują się na ogół w sposób stosunkowo pomyślny. Do tych dwóch kategorii dochodzi jeszcze trzecia : ludzie mniej lub więcej niezdolni do pracy, których sytuacja życiowa w kraju takim jak np. Anglia jest lepsza, niż byłaby w Polsce, zwłaszcza w braku oparcia rodzinnego. Ciśnienie momentów życiowo-ekonomicznych na szerokie koła emigracji jest więc bardzo silne. Działanie tych momentów stwarza zupełną zagadkę co do tego, jaki procent Polaków powróciłby do Kraju, gdyby emigracja miała potrwać np. jeszcze pięć lat.

Nie wiadomo zresztą nawet jak w tej chwili w rzeczywistości wygląda związek duchowy setek tysięcy emigrantów z polskością. Jaki procent Polaków czyta prasę polską? Książki polskie? Jaki procent dzieci uczy się po polsku? Jaki procent dzieci pamięta Polskę? Jaki procent stanowią dzieci, które urodziły się na obczyźnie? Jaki procent Polaków zawarł związki małżeńskie z nie-Polakami? Czy tendencja zawierania takich związków rośnie, a jeżeli tak, to w jakim stopniu? W jakiej atmosferze narodowej wychowują się dzieci w małżeństwach mieszanych? Jak przedstawia się proces asymilowania się młodzieży i dorosłych w różnych krajach imigracji? Ilu młodych Polaków zgłosiłoby się na ochotnika do wojska polskiego, gdyby ono zostało odbudowane np. w roku 1958? W związku z tymi wszystkimi pytaniami, które stanowią tylko część zainteresowań, wchodzących tu w rachubę, trudno jest zdefiniować walory narodowo-polityczne, reprezentowane przez emigrację. Ankieta ,,Kultury" daje pewien przedsmak orientacji w tej sprawie, nie jest jednak podstawą orientacji pełnej.

O ile chodzi o bardziej ściśle rozumianą ,,świadomość polityczną mas emigracyjnych", to nie można przyjmować zbyt pochopnie, że stanowi ona wyraźny aktyw. Znakomita większość emigrantów, o ile sądzić można bez szeroko i konkretnie przeprowadzonej ankiety, wykazuje poglądy mgliste, np. jej sympa-

tie i antypatie do Rządu noszą piętno rzeczy słabo ugruntowanej. Nie wiadomo też, jaką politykę emigracja uważa za słuszną skoro mówi się tylko o tym, kto jest przeciwko komu, ale nie mówi się o tym, kto jest za czym. W szerokich kołach społecznych nie ma żadnej dyskusji, żadnej walki na temat meritum polityki polskiej, która to dyskusja merytoryczna cechuje współczesne społeczeństwa politycznie wyrobione i która tak wydatnie charakteryzowała społeczeństwo polskie podczas pierwszej wojny światowej. To ostatnie można zresztą łatwo zrozumieć : wtedy grała żywa treść polityczna, były dramatyczne napięcia, dziś natomiast, gdy legalizm jest zawołaniem głównym Rządu, a igraszki polityczne charakteryzują działalność stronnictw, głucha cisza w sprawach najważniejszych jest odpowiedzią społeczeństwa. Przemówienia galówkowe, a nawet płacenie składek na Skarb Narodowy nie zmieniają istoty tego obrazu.

Z drugiej strony masowość i przeciąganie się pozostawania Polaków na emigracji same w sobie nie mają znaczenia zbyt wielkiego jako ,,protest'' przeciwko stosunkom panującym w kraju. Taki protest, trwający lata, przestaje być protestem, jest dziś, bez względu na swą genezę, po prostu faktem, którego obcy już prawie nie zauważają.

Przyszły historyk prawdopodobnie oceni bardzo wysoko pracę naszego wojska czasu drugiej wojny światowej, ale zapewne nie dopatrzy się znamion politycznej wielkości w tej emigracji. W odgórnych jej warstwach za dużo jest bowiem samoadoracji i śmieszności tytułomanii, za dużo mamy pseudoopatrznościowych mężów stanu, którzy ,,plwają na siebie i żrą jedni drugich'' bez istotnego powodu z uszczerbkiem dla akcji niepodległościowej, za mało, przynajmniej dotąd, ujawnionej głębokiej myśli politycznej, za dużo patosu i dekoracyjności w aparacie symbolicznych władz, które nazbyt upodobniają zewnętrzną stronę swego ,,urzędowania'' w Londynie do zwykłego we własnej stolicy wzoru, i w ten sposób podkopują powagę symboliki państwowej w oczach ludzi, myślących kategoriami rzeczywistości politycznej. A przy tym wszystkim szeroko rozlewa się morze animozji osobistych, cuchnie atmosfera rozpaskudzonych funduszów społecznych, istota ,,sprawy, dla której obrony zostaliśmy na emigracji'', zatraca się w ścieraniu się małych dążeń wielkiej armii politykierów. W obliczu tych zjawisk bezsilne są jednostki, które dziesiątki lat życia i pracy dały Polsce naprawdę. Milczą szerokie masy emigracyjne, patriotyczne, uczciwie i ciężko pracujące, wykazujące zdrowy rozsądek i poczucie rzeczywistości oraz podziwu godną zdolność trwania w trudnych warunkach, choć pozbawione szczególnych cnót, które im przypisuje kalkulacja polityczna jednych i szlachetna egzaltacja innych.

Taka jest prawda o emigracji. Ustalenie prawdy o rzeczywistości, sprowadzenie rzeczy do właściwych proporcji jest zawsze pożyteczne z politycznego punktu widzenia. Nie podzielają tego zdania ludzie, którzy myślą, że rzeczywistość można zagadać frazesem i że stwierdzanie prawd przykrych jest defetyzmem.

LEGALIZM

Jedni Polacy nazywają legalizm ,,najważniejszym naszym atutem politycznym'', inni nie idą tak daleko w ocenie jego znaczenia, jeszcze inni, choć teoretycznie stoją na gruncie legalizmu, w praktyce postępują tak, jak gdyby był on niczym, wreszcie są i tacy, którzy posuwają się do nieprzyzwoitych ataków na osobę Prezydenta Rzeczypospolitej. W związku z tym nasuwa się pytanie, jakie jest obiektywne miejsce legalizmu w hierarchii czynników, decydujących o odzyskaniu niepodległości. Spróbujmy sprecyzować rzecz z tego właśnie punktu widzenia.

Przede wszystkim sprawa zasadnicza : ,,Czy państwo istnieje w okresie, w którym jego istotne funkcje nie mogą być wykonywane?'' Ogólna i rygorystyczna odpowiedź na to pytanie nie jest rzeczą prostą. Podczas 150 lat panowania nad Polską trzech zaborców było rzeczą jasną, że Państwo Polskie nie istniało. W czasie okupowania przez Niemców licznych krajów europejskich było rzeczą równie jasną, że odnośne państwa istniały. Ale czy istniało np. Państwo Abisyńskie w okresie, gdy Abisynią rządził Mussolini? Dziś Państwo Abisyńskie znów istnieje, ale czy jest to *to samo państwo*, sprzed najazdu Mussoliniego, restytuowane, czy też *nowe* państwo, tak jak nowym państwem była Polska 1918-1939 w stosunku do dawnej Rzeczypospolitej, choć dawną i nową Polskę łączyła tysiącletnia tradycja narodowa, religijna i kulturalna? Z tych przykładów widać, że odpowiedź na postawione pytanie nie tylko nie jest prosta, widać również, że nie może być czysto prawna. Do rozumowania trzeba bowiem włączyć dwa czynniki, oba istotne choć relatywne, ważniejsze niż jakiekolwiek formułki prawne : czynnik czasu i stopień głębokości przewrotu, dokonywującego się w życiu narodu w związku z rozpoczęciem i ustaniem realnych funkcji państwowych.

Nie ma dziś realnych funkcji suwerennego Państwa Polskiego. Nie ma tego, co stanowi rzeczywistą istotę wszelkiej w ogóle władzy : owego powszechnego, podświadomego poczucia obywateli, że Rząd jest naczelnym ośrodkiem dyspozycji politycznej. Poczucie to istniało w latach wojny, gdy Rząd Polski w Londynie rozkazywał ćwierćmilionowej armii zagranicznej i Armii Krajowej i gdy wywierał decydujący wpływ na życie i postawę zarówno żołnierzy polskich jak i cywilnych obywateli, zarówno w kraju jak zagranicą. Państwo Polskie było wtedy pod ziemią, Państwo Podziemne było rzeczywistością, Rząd Polski był w Londynie, Rząd był rzeczywistością. A dziś? Jak dziś to wygląda w powszechnym odczuciu? Można z pewnością powiedzieć, że dziś poczucie, iż Rząd jest naczelnym ośrodkiem dyspozycji politycznej, nie jest powszechne wśród Polaków ani w kraju ani na emigracji. Obiektywnie mówiąc, pozycja Rządu Polskiego pogorszyła się po zakończeniu wojny.

Byłoby błędem sądzić, że istotą rzeczy jest tu cofnięcie uznania Rządowi Polskiemu przez mocarstwa. Rządy Franco i Mao-Tse-Tunga nie są uznawane przez pewne państwa a jednak nie ulega kwestii, że są rzeczywistymi a nie symbolicznymi rządami Hiszpanii i Chin. Fakt pogorszenia się pozycji Rządu Polskiego nie został również spowodowany przez czyjąkolwiek ,,złą wolę''. Wynika on z doniosłych procesów życiowych, których nie da się zagadać argumentem legalizmu. Odbudować pozycję Rządu można tylko przez staranną analizę tych procesów i wyciągnięcie stąd właściwych wniosków.

(a) — Przede wszystkim należy zwrócić uwagę na to, że stosunek społeczeństwa do problemu ,,istotności'' rządu jest zawsze zjawiskiem dynamicznym, zmienia się on ciągle, jak samo życie. Podczas wojny i okupacji kraju przez wroga niejeden rząd działa zagranicą. W tym czasie żadnemu obywatelowi, poza notorycznym zdrajcą, nie przyjdzie do głowy, że rząd emigracyjny przestał być prawdziwym rządem i że władze okupacyjne są czynnikiem stałym. Jest tak dlatego, że świadome czy podświadome przekonanie mówi obywatelowi : ,,To przeminie wraz z wojną, która nie może trwać wiecznie''. I choćby wojna długo nawet trwała, rząd emigracyjny, który w swej pracy politycznej stale zdaje egzamin wobec swych obywateli, jest dalej rządem, gdyż za taki jest powszechnie przez nich uważany i ma na nich realny wpływ. Ale po wojnie, w czasach pokojowych albo pseudo-pokojowych jak dzisiejsze, upływ czasu jest nieuchronnie czynnikiem destrukcyjnym z omawianego punktu widzenia. W takich bowiem czasach, w odczuciu jednych ludzi w ogóle nie ma widoków na restytucję przedwojennego status quo, w odczuciu do innych, a tych jest znakomita większość, widoki te są bardzo niejasne, a wskutek tego niepewne. O ile wojna kończy się bez przywrócenia niepodległości kraju, to w warunkach powojennych dzień za dniem, rok za rokiem, coraz bardziej uwidocznia się brak realnego wpływu rządu emigracyjnego na teraźniejszość i przyszłość, i — o ile nie jest on szczególnie aktywny — coraz częściej pojawia się pytanie, przedtem nie spotykane : ,,Czy to *naprawdę* jest rząd ? Czy to *jeszcze* jest rząd ?'' Po kilkunastu latach rząd emigracyjny jest w takim samym stopniu rządem, w jakim, rozdzielone na tyleż lat wypadkami wojennymi małżeństwo, jest — małżeństwem. Po ćwierćwieczu emigracji mało komu przyszłoby na myśl, że rząd emigracyjny jest czymś więcej niż prywatnym gronem polityków. W okresie 150 lat niewoli Polski, pomijając sprawę sekund historycznych, w których zaznaczała się wierność ,,Pieczątce Rządu Narodowego'', zginęło w szerokich masach narodu polskiego nie tylko pojęcie własnego rządu, ale i samo pojęcie państwa, które to pojęcia odrodziły się w powszechnej świadomości dopiero w roku 1918. Nieubłagana, choć ledwo dostrzegalna, jest walka Czasu z Instytucją Prawną.

(b) — Ale także, i nawet, z punktu widzenia ducha prawa, moment legalizmu, choć wciąż jeszcze pozytywny, ma tym mniej-

sze znaczenie im bardziej się oddalamy od chwili pęknięcia państwowego organizmu Polski, im słabszym „roztworem woli narodu" są kolejne mianowania następcy Prezydenta. Prezydenci Mościcki, Raczkiewicz i Zaleski są konstytucyjnymi, jednakowo legalnymi, Prezydentami Rzeczypospolitej, ale oczywiście nierówny jest ich związek z żywymi siłami politycznymi narodu polskiego.

(c) — Znaczenie Rządu, jako czynnika w wielkiej grze politycznej, maleje. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że natężenie atakowania Rządu przez Sowiety słabnie na ogół z biegiem czasu.

(d) — Społeczność emigracyjna bardzo mało wie o Rządzie i jego działalności. Niemało jest Polaków, którzy nie znają nazwiska Prezydenta Rzeczypospolitej. Jeżeli wszyscy Polacy znają nazwisko gen. Andersa, to nie dlatego, że jest on Generalnym Inspektorem (nieistniejących) Polskich Sił Zbrojnych, ale dlatego, że jest istotnie popularny w związku z rolą, którą odegrał podczas wojny. Większość Polaków styka się z przejawami działalności Rządu przede wszystkim w postaci deklaracji, składanych z okazji uroczystości czy rocznic narodowych. Względnie mała — w stosunku do liczebności ogółu emigracyjnego — ilość osób, płacących na Skarb Narodowy, jest wskaźnikiem popularności Rządu wśród Polaków na emigracji. Rząd niewątpliwie stałby się czynnikiem bardziej ważkim, gdyby więcej wiedziano o jego pracy. Nie wszystko przecież jest w działalności Rządu tajne, mógłby on przeto dużo powiedzieć publicznie o swoich pracach istotnych.

W tym stanie rzeczy nasuwa się pytanie, czy teza, że „legalizm jest wielkim", a zwłaszcza „największym naszym atutem politycznym", ma zdrowy sens? I drugie pytanie : jakie jest rzeczywiste, obiektywne znaczenie legalizmu pośród czynników, decydujących o odzyskaniu niepodległości? Przede wszystkim zajmijmy się pierwszym pytaniem. Odpowiadamy na nie negatywnie z trzech następujących powodów :

(1) — Kategorie prawne, tytuły formalne odgrywają najczęściej rolę drugorzędną w walce o stworzenie lub restytucję państwa. Tylko mądra i aktywna polityka stwarza wielkie wartości polityczne. Legiony Piłsudskiego i działalność Dmowskiego w okresie pierwszej wojny światowej były ważniejsze dla sprawy polskiej niż tytuły prawne obecnego Rządu emigracyjnego. Oczywiście : twórcza polityka plus legalizm — to ideał. Ale nijaka polityka plus legalizm — to niewiele. Gdy zaś legalizm towarzyszy polityce wyraźnie złej, w sytuacji trudnej na miarę historyczną, to staje się rzeczą wprost szkodliwą, gdyż do setnej potęgi podnosi ciężar ujemnych następstw tej polityki, jak to było np. w wypadku legalnego Premiera Mikołajczyka.

(Warto tu dodać pewne obserwacje natury psychologicznej. Gdy jakieś pojęcie nie ma pełnego pokrycia życiowego, to właśnie jego zwolennicy, nieświadomie i wbrew zamierzeniom, tę

rozbieżność uwypuklają, a to przez ustawiczne dodawanie określeń, mających na celu podwindowanie rzeczy do poziomu pożądanego. Gdy się na codzień mówi „legalny" Rząd a nie po prostu „Rząd", brzmi to zupełnie niepotrzebnie tak, jak „Demokratyczna" Republika Wschodnio-Niemiecka w nazwie państwa, wywołuje wrażenie, jakie by niewątpliwie powstało, gdyby ktoś na codzień mówił „moja ślubna żona" zamiast po prostu „żona". Z drugiej strony mówienie o „przywiązaniu mas emigracyjnych do legalizmu" jest wyrazem myślenia biurokratycznego. Masy, o ile widzą w rządzie swego rzeczywistego i dobrego przewodnika, są do niego przywiązane, myślą o nim w kategoriach „nasz Rząd", ale w sercu mas z pewnością nie żyje artykuł konstytucji o następstwie Prezydenta, jako walor sam w sobie).

(2) — Także z punktu widzenia stosunku do kraju hurra-legalizm nie wydaje się rzeczą szczęśliwą. Podczas okupacji niemieckiej, gdy Rząd emigracyjny wywierał istotny wpływ na życie polityczne kraju, kraj widział w tym Rządzie naprawdę kierowniczy ośrodek polityczny narodu. Jak jest dziś, nie wiemy dokładnie, choć w uzasadniony sposób można przypuszczać, że brak jest w kraju powszechnie pozytywnego ustosunkowania się do Rządu emigracyjnego. Powstał w Polsce zupełnie nowy układ stosunków, całkowicie odmienny od okresów 1918-1939 i 1939-1945, narastają tam nowe siły społeczne i polityczne, rosną w sposób organiczny choć w znacznej mierze utajony, i one to właśnie, te nowe siły będą prawdopodobnie tym rządem, który rozpisze po-Bierutową konstytuantę, jeżeli i gdy rozwój wypadków do tego doprowadzi. Wcale nie wiadomo, czy choćby ta, wstępna i jedyna, czynność państwowa przypadłaby w udziale Rządowi emigracyjnemu po jego ewentualnym powrocie do kraju. Czy więc legalizm może być „największym atutem" w oczach kraju? Takim atutem mogłoby być jedynie przekonanie kraju, że rząd, choćby w pewnym stopniu, jest faktycznym czynnikiem w grze międzynarodowej. Ale tego przekonania nie ma nawet emigracja. Emigracja czuje bowiem, słusznie czy niesłusznie, że w Rządzie „nic się nie dzieje". „Posłowie Lechistanu" są dziś w kilku państwach, ale co więcej można o nich powiedzieć poza tym, że są?

(3) — Wreszcie rzecz najważniejsza. Oto naród polski jest w sytuacji tak ciężkiej, tak bezmiernie skomplikowanej, że chyba trudno byłoby znaleźć podobną sytuację w tysiącletniej jego historii. Po 150 latach niewoli, po dwudziestu zaledwie latach wolności, po stracie 10 milionów obywateli, znów bezmała dziesięciolecie niewoli bez wyraźnych widoków na odzyskanie wolności, wśród wrogów agresywnych i zdecydowanych, pośród przyjaciół wątpliwych, przy skłóceniu wewnętrznym o rzeczy, będące niczym wobec narodowego „być albo nie być" — jakże straszliwe są trudności prowadzenia polityki niepodległościowej, zwłaszcza w braku osobistości na miarę np. Piłsudskiego. Czy w tych warunkach jakakolwiek rzecz formalno-prawna może być określana jako czynnik pierwszorzędnej wagi? Z pewnością nie,

gdyż byłoby to zupełne wypaczenie hierarchii wartości politycz-nych.

W narodzie polskim niezrównanie bohaterskim w walkach zbrojnych o wolność, po stokroć bohaterskim podczas ostatniej okupacji niemieckiej, takie fałszywe ustawianie zawołań politycz-nych nieraz się zdarzało. Wystarczy przypomnieć tu tak zwan atut moralny Polski, która ,,pierwsza przeciwstawiła się Hitle-rowi, która nie miała Quislinga'' — atut nierealny w świecie niemoralnym. Ten rzekomy atut wypalił się już całkowicie w nie ubłaganym toku wypadków. Tak samo z czasem ustać będzi musiało młócenie sieczki legalistycznej.

Z powyższego nie wynika, że legalizm jest rzeczą pozbawio ną wszelkiej wartości politycznej. Rząd emigracyjny, który prze trwał i trwa, jest symbolem ciągłości idei państwowej, z któr wolność kraju nierozerwalnie jest związana. Symbole mają zna-czenie, sztandary są przechowywane w skarbcu walorów moral nych. Jeżeli chorążowie mają poczucie rzeczywistości życia, je-żeli wiadomo powszechnie nie tylko do czego zmierzają, al także choćby w przybliżeniu jak do celu idą, to — przy dosta-tecznym i celowym ich aktywizmie i przy założeniu, że nie osła-bią powagi symboliki państwowej przez dziecinne formy ,,zaba-wy w państwo'' — można przypuszczać, że dookoła starych sztandarów uda się zebrać rozproszone siły narodowe łatwiej niż bez tych sztandarów. W tej możliwości tkwi pozytywne zna-czenie legalizmu. Znaczenia tego nie należy przeceniać. Niech każdy sam sobie odpowie na pytania następujące : po pierwsze, czy i o ile Polacy mają większe np. od Czechów szanse odzyskania niepodległości dlatego, że mają na emigracji Rząd, po drugie — czy mielibyśmy dziś mniejsze szanse odzyskania niepodległości, gdyby w konstytucji naszej nie istniał artykuł o następstwie Pre-zydenta.

Musimy pamiętać, że rzeczą, o którą naprawdę i jedynie chodzi, jest wielka w swym realizmie i niezależności polska kon-cepcja polityczna, bez której — w najlepszej nawet koniunktu-rze międzynarodowej — Polska nie będzie niczym więcej niż ma-łym państewkiem. Tylko wielka koncepcja polityczna — czy raczej alternatywne wielkie koncepcje polityczne — powiązania sprawy Polski ze sprawą nowego świata, który może jeszcze w naszym pokoleniu się narodzi — tylko głęboka myśl politycz-na i umiejętność jej realizowania mogą, w obiektywnie sprzyja-jącym układzie sił międzynarodowych, przywrócić Polakom pań-stwo, będące podstawą zapewnienia narodowi zdolności życia i rozwoju.

W wielkich wypadkach, które dziś przez świat się toczą, w zmaganiu się sił olbrzymich w skali dotąd niespotykanej, for-mułki i dekoracje prawne znaczą bardzo mało : nie są żywą tre-ścią. Uznanie Polaków dla Rządu bardziej zależy od oceny jego twórczości politycznej niż od analizy jego rodowodu konstytu-cyjnego. Podobnie przywrócenie przez mocarstwa uznania Rzą-dowi, w sprzyjającej sytuacji międzynarodowej, zależeć będzie raczej od jego dorobku politycznego niż od faktu, że jest Rzą-

dem legalnym. Jedynym sposobem podniesienia znaczenia Rządu jest pogłębienie i spopularyzowanie jego działalności politycznej.

Najbardziej utalentowany szermierz legalizmu, Stanisław Mackiewicz, napisał te oto słuszne słowa : ,,Jedynie wtedy rząd emigracyjny może coś zrobić, coś dla Polski uzyskać, jeśli ci, z którymi pertraktuje, będą wiedzieć, że za nim stoi opinia kraju, no i możność manewru w dziedzinie potencjału wojennego Polski''. Nasuwa się pytanie : czy legalizm może w sposób istotny ułatwić realizację tego ,,jeśli'' ? Jak na to pytanie odpowiedziałby p. Mackiewicz ? Jest to rzecz interesująca dlatego, że właśnie realizm w myśleniu politycznym tego pisarza, ujawniony dobitnie i chlubnie w jego samotnym, przedwrześniowym wołaniu o lepsze przygotowanie Polski do wojny, pozwala oczekiwać, że jego ocena roli legalizmu będzie właściwa.

UWAGA. — Wywody zawarte w tym rozdziale, nie powinny być rozumiane w ten sposób, że są skierowane przeciwko konstytucji 1935 w ogólności, bądź też przeciwko artykułowi konstytucji o następstwie Prezydenta Rzeczypospolitej w szczególności.

O ile chodzi o konstytucję jako całość, to rozwiązuje ona w sposób bardzo dobry zagadnienie ustroju państwowego Polski, stwarzając koncepcję Prezydenta, jako czynnika nadrzędnego, decydującego o tym, kto rządzi, i koordynującego działalność władz państwowych, koncepcję która zachowując prawa należne parlamentowi, uniemożliwia jednocześnie nieodpowiedzialne gierki polityczne, prowadzące do chaosu i zgubne dla państwa. W moim przekonaniu nie jedno państwo demokratyczne, zżerane przez nierząd polityczny, mogłoby z pożytkiem dla siebie uczyć się polskiego wzoru prawa konstytucyjnego, wprowadzając oczywiście istotne poprawki do polskiej ordynacji wyborczej, która deformowała twórcze w sensie ustrojowo-państwowym myśli konstytucji 1935 r. Nazywanie tej konstytucji faszystowską jest idiotyzmem, gdy wychodzi z ust Polaka, mądrością propagandystyczną, gdy to głoszą Sowiety.

Artykuł konstytucji o następstwie Prezydenta jest rzeczą doskonale pomyślaną i oryginalnie polską. Ma on znaczenie konstruktywne w okresie wojny. Jednak dziś wojny nie ma. Jest okres nie będący ani wojną ani pokojem. Polityka polska w tym okresie, który może trwać jeszcze 20 miesięcy albo 20 lat, nie powinna przeceniać roli tego przepisu konstytucji, który oczywiście nie na taki okres był przez ustawodawcę pomyślany, a gdyby nawet był, to i tak z czasem jego soki żywotne musiałyby wychnąć.

PARTIE

Jaka jest rzeczywista rola partii politycznych na emigracji ? Także na terenie tego zagadnienia należy ,,wyprostować'' pewne sądy, które często się słyszy. I tutaj widzimy sądy, nie mające nic wspólnego z obiektywizmem. I tutaj przecenianie znaczenia rzeczy jest błędem typowym. I tutaj do rozumowania wkrada się często schematyzm zasłaniający istotę sprawy.

Nasuwa się przede wszystkim pytanie : co jest najważniejszym znamieniem stronnictwa politycznego w zachodnio-europej-

skim tego słowa znaczeniu? Znamieniem tym jest organiczny związek stronnictwa z rzeczywistością polityczno-społeczno-ekonomiczną kraju. Bez tego nie ma właściwie partii politycznej w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Abstrahować partię od życia kraju, a mimo to uważać ją za odbicie poglądów narodu, jest to to samo, co stwierdzić, że można dać fotografię człowieka, zastępując zdjęcie — sylwetką, naszkicowaną tak, jak ją artysta widzi. Dlatego partia, poprzez długie lata oderwana od kraju, w którym życie toczy się w zupełnie odmiennych warunkach i poddane jest zupełnie innym wpływom niż emigracja, — zatraca swoje cechy reprezentatywne. Długoletnia emigracja rozrywa związek między elementami zarówno państwa jak i stronnictwa, podważa realny sens każdego z nich.

Prawda, zdarzało się nieraz w historii, że niektórzy przywódcy stronnictw, zmuszeni okolicznościami, przebywali poza krajem, a jednak właśnie oni byli istotnymi kierownikami tych stronnictw. Działacze ci pozostawali jednak stale w żywym kontakcie z siłami krajowymi, mieli na nie wpływ realny, co więcej — byli ich sztabem głównym. Czy istnieje jednak obecnie jakakolwiek polska komórka partyjno-polityczna w Anglii czy w Argentynie, we Francji czy w Stanach Zjednoczonych, która może uchodzić za kierownictwo ruchów społeczno-politycznych w Polsce? Partia emigracyjna, choćby nawet wykazywała głębokie zainteresowanie sprawami kraju, nie jest składowym jego życia czynnikiem, jeżeli okoliczności poprzez lata uniemożliwiają nie tylko kierownictwo polityczne z zewnątrz, ale nawet zwykły, stały kontakt z krajem. Upływ czasu jest czynnikiem coraz bardziej podważającym reprezentatywność partii emigracyjnych, która topnieje z roku na rok i z dnia na dzień. Ani historyczne zasługi partii w przeszłości, ani czcigodność nazwisk wybitnych ich przedstawicieli nie stanowią kontrczynnika w tym procesie. Toteż żadne ze stronnictw emigracyjnych nie gra dziś roli takiej, która pozwalałaby uważać je za miarodajną reprezentację polskiej myśli politycznej. Nie tutaj bowiem, na emigracji, ale tam, w Polsce, są żywe siły, stanowiące substrat polskich partii politycznych, siły, które się ujawnią gdy wolność kraju zostanie odbudowana. Jest wysoce prawdopodobne, że powracające wówczas z emigracji grupy polityczne okażą się psychicznie obce krajowi. Kto wie, czy nie poczują się imigrantami we własnym kraju, w którym — obok rewolucji z zewnątrz narzuconej — zaszła też organiczna polska rewolucja poglądów. Czy wielu z nas zastanawia się nad treścią tej ostatniej? I czy wszyscy zagranicą... wiemy o jej istnieniu?

Drugim czynnikiem, pozbawiającym partie polityczne na emigracji charakteru reprezentatywnego jest to, że są one liczebnie tak słabe, że stanowią mało znaczący ułamek przedwojennych stronnictw, za których kontynuatorów się uważają. Ten moment bynajmniej nie jest rzeczą błahą. Ruch polityczny na to, żeby był ważki, musi być ruchem masowym, a co najmniej mieć w sobie zadatki ruchu masowego. Nie można wyobrazić sobie partii politycznej w poważnym tego słowa znaczeniu, która by

w minimalnym choćby stopniu nie czyniła zadość temu wymogowi — chyba, że jest partią o charakterze wyraźnie pionierskim i wybitnie dynamicznym. Kto rzeczywiście zna różne środowiska polskie na emigracji, ten wie, że ilość ludzi, poczuwających się do łączności ze stronnictwami, jest zupełnie znikoma. Stronnictwa ,,kanapowe'' przeżywają jednak iluzje ważności swych uchwał, tak jak rządy emigracyjne przeżywają iluzje ważności swych ustaw. W tej sytuacji wyrazy ,,rząd'' i ,,opozycja'' nabierają cech symboliki najbardziej zrozumiałej dla tych, którzy poruszają się w stratosferze. Zamiłowanie do fikcji, ubranej w piękne słowa, ujawnia się nawet na terenie tak realnym, jak pieniądz : walutą Skarbu Narodowego jest ,,Złoty Polski Niepodległej'' czyli coś, co nie istnieje. Trudno wyobrazić sobie, żeby Wielki Realista Piłsudski wydawał na emigracji ,,Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej'', żeby tworzył sądownictwo albo żeby Witos, uosobienie zdrowego rozsądku, uprawiał opozycję przeciwko Rządowi emigracyjnemu, niezadowolony z jego poglądów w sprawie agrarnej.

Ale najważniejszym czynnikiem, który przekreśla wartość partii emigracyjnych, jest to, że nieświadomie i wbrew zamierzeniom utrudniają walkę o odzyskanie niepodległości. Partie tak silnie akcentują swoje różnice w poglądach na sprawy polityki wewnętrznej, że uniemożliwiają sobie współpracę z drugą stroną ,,barykady emigracyjnej'', wytwarzają atmosferę, w której nie można iść w jednym szeregu z rzekomym ,,przeciwnikiem''. Czy takie postępowanie jest zgodne ze zdrowym rozsądkiem ? Czy wolno tak stawiać sprawę właśnie w dzisiejszej sytuacji, gdy żadna partia emigracyjna nie ma żadnego wpływu na wewnętrzną architekturę przyszłego domu polskiego ? Czy wolno uważać odnośne ,,różnice'' za powód do niewykonywania wspólnymi siłami pracy przy budowie tego domu ? Musi przecież być jakaś racjonalna kolejność w traktowaniu zagadnień politycznych, musi być logiczna hierarchia celów. Postępowaniem emigracji nie może rządzić motyw wewnętrzno-polityczny skoro odbudowa państwa jest zagadnieniem wyłącznie polityki zagranicznej, skoro chodzi o oddziaływanie na państwa obce, skoro cała sprawa polska musi żyć w wymiarze międzynarodowym i skoro, w stosunku do przywrócenia jej utraconego charakteru międzynarodowego, drugą alternatywą jest trwałe wykreślenie Polski z mapy politycznej świata.

Istnienie kilku czy kilkunastu polityk polskich zamiast jednej polityki polskiej, mającej jeden tylko cel : niepodległość, to powiększanie trudności polskich przez samych Polaków.

Na to powiedzą przedstawiciele różnych partii : ,,Ależ to są wywody, niedoceniające znaczenia stronnictw politycznych we współczesnym ustroju demokratycznym. Właśnie partie wyrażają poglądy i wolę społeczeństwa. Od nieuznawania partii do faszyzmu krok tylko jeden''.

Powyższe twierdzenia są słuszne we własnym kraju. Nie są słuszne w nienormalnych warunkach emigracyjnego bytowania

politycznego. Funkcja partii na emigracji nie może być ta sam co była w kraju. Stronnictwa emigracyjne nie wyrażają pogl dów ani kraju ani nawet rzeszy emigracyjnej, rozproszonej w ki kudziesięciu państwach świata. Opinie ich są właściwie odgady waniem tego, co by powiedzieli ich domniemani zwolennicy gdyby w ogóle coś mówili. Czy którekolwiek ze stronnictw emi gracyjnych przeprowadziło ankietę — plebiscyt w sprawie ,,c myślą o jego działalności Polacy w krajach rozproszenia?''

Mądrość i doświadczenie pewnych przywódców stronnictw emigracyjnych z pewnością mogą odegrać wielką rolę w prac niepodległościowej. Wśród przywódców tych szczególnie cenn może być zdanie niektórych spośród tych, którzy podczas za wieruchy dziejowej byli w kraju i krócej od innych przebywają na emigracji, mają więc stosunkowo najlepsze wyczucie ideolo gicznego klimatu kraju. Różni ludzie oczywiście mogą mieć i pie lęgnować różne wizje społeczno-polityczne przyszłej Polski, al polityka odbudowy niepodległego państwa w danych warunkach międzynarodowych może być tylko jedna : celowa albo niecelo wa, zwycięska albo klęskowa. Ta ostatnia niesie ze sobą nie uchronnie i to, że *wszystkie* ,,wizje'' pójdą na śmietnik historii że *wszystkie* ,,partie'' prędzej czy później wykończą się bez reszty. Czy więc nawet z czysto partyjnych punktów widzenia nie wynika, że *wszystkie* ideologie społeczno-polityczne należy zawiesić na kołku aż do chwili, gdy znów będzie wolne państwo polskie?

Kontrowersyjne problemy powinny przestać być kością niezgody, cały wysiłek należy skoncentrować na jedynym problemie, na jednym wspólnym celu. Ideałem byłoby utworzenie jednej, wszystkich Polaków obejmującej, organizacji politycznej, której jedynym celem jest niepodległość — prawdziwa. W ramach tej organizacji byłyby różnice zdań co do sposobów osiągnięcia wspólnego celu, byłaby ,,walka o najlepszy sposób''. Powinien też być w tej organizacji pewnego rodzaju wewnętrzny podział pracy, umożliwiający jej członkom jak najskuteczniejsze oddziaływanie na poszczególne koła w społeczeństwach obcych. Wielość partii ma swój pełny sens polityczny w niepodległym państwie. Jest szkodliwa dziś, gdy utrudnia pracę nad odbudową niepodległości.

W roku 1945 Sowiety włączyły Polskę do swego imperium. W roku 1953 partie polskie na emigracji nie zlikwidowały jeszcze przeszkód na drodze do jedności akcji. Ten szkodliwy nonsens polskiego konfliktu wewnętrzno-politycznego przypomina inne zjawisko : skłócenie wolnego świata w obliczu tego samego niebezpieczeństwa. Polacy słusznie krytykują niezdolność innych narodów do stworzenia wspólnej polityki w skali światowej. Sami nie potrafią uzgodnić poglądów w skali Earls Courtu *).

---

*) Dzielnica Londynu, w której mieszka duża ilość Polaków.

ZJEDNOCZENIE

Pozostaje do omówienia konkretna sprawa, będąca dziś na porządku dziennym życia politycznego emigracji — sprawa zjednoczenia. Że zjednoczenie nie dokona się przez likwidację stronnictw i utworzenie jednej organizacji politycznej wolnych Polaków z jednym jedynym celem — niepodległość — jest rzeczą jasną. Tego rodzaju zjednoczenie jest dlatego nierealne, że jest idealne. Czynniki niekoniecznie zainteresowane w dojściu zjednoczenia do skutku grają w tej sprawie rolę istotną, co jest „gwarancją'', że będzie ona trwała długo, choć zostałaby załatwiona w jeden dzień, gdyby o niej decydował plebiscyt szerokich rzesz emigracyjnych. Droga do zjednoczenia będzie więc dalej prowadziła poprzez mozolne szukanie kompromisu pomiędzy stanowiskami Rady Narodowej i Rady Politycznej. Nie wiadomo, czy kompromis zostanie osiągnięty, a jeżeli zostanie, czy będzie to kompromis żywotny, zapowiadający rzeczywiste współdziałanie czy też tylko twór mechaniczny, zlepiony z ,,kawałków partyjnych''.

W obliczu tych niejasnych perspektyw należy zastanowić się nad obiektywnym znaczeniem zjednoczenia i nad miejscem, które ono zajmuje wśród czynników, decydujących o odzyskaniu niepodległości.

W poprzedniej części tego artykułu powiedzieliśmy, że partie emigracyjne, nastawione na kontrowersje wewnętrzno-polityczne, utrudniają walkę o niepodległość. Zjednoczenie obozu niepodległościowego usunęłoby to zło, jak również usunęłoby stratę energii w związku ze sporami o rzeczy dziś nieistotne. Ale ponadto zjednoczenie — w razie nadejścia pomyślnej koniunktury międzynarodowej — zwiększyłoby szanse, aby o Polskę ,,grać wysoko''. Obie te rzeczy są ważne z politycznego punktu widzenia.

Byłoby jednak błędem sądzić, że zjednoczenie jest jakimś środkiem cudotwórczym, że znaczenie zjednoczenia jest aż tak wielkie, że bez niego walka o niepodległość, przy innych równych i wystarczających warunkach, nie może być zwycięska. W okresie pierwszej wojny światowej były zwalczające się „orientacje'' polskie, a mimo to Polska odzyskała niepodległość. Podczas drugiej wojny światowej Żydzi, choć dalecy od zjednoczenia politycznego, wywalczyli niepodległe państwo. Te fakty historyczne mają wielką wymowę. Świadczą one o tym, że brak zjednoczenia narodu nie jest przeszkodą w odbudowie państwa. Ale nawet abstrahując od tych przykładów, jest rzeczą oczywistą, że zjednoczenie z natury swej nie jest warunkiem sine qua non restytucji państwa, jakimi są np. dwa inne czynniki, o których będzie zaraz mowa. Zjednoczenie ułatwia akcję polityczną. Jego brak nie musi oznaczać klęski narodowej. Psychologicznym

źródłem przeceniania politycznej roli zjednoczenia jest myślen kategoriami... quasi-wojskowymi : jedna armia, jeden wódz.

W roku 1918 odzyskaliśmy niepodległość przede wszystki dlatego, że padli trzej zaborcy i koniunktura międzynarodow była dla powstania państwa pomyślna. Nie jest przypadkiem że dzień 11 listopada 1918 roku był dniem ostatecznej klęski za borców a zarazem dniem powstania Państwa Polskiego. Gdyb carat wygrał, Warszawa byłaby dalej siedzibą rosyjskiego ge nerał-gubernatora, gdyby państwa centralne wygrały, Pozna i Kraków nie należałyby do Polski, idealizm Wilsona miałby d Polaków teoretyczne tylko znaczenie. Dlatego należy stwierdzi że w hierarchii czynników decydujących o odbudowie państw pomyślny układ wielkich sił międzynarodowych jest czynnikie pierwszorzędnej wagi.

Nie jest jednak czynnikiem jedynym. Samo istnienie pomyś nej sytuacji międzynarodowej nie oznacza jeszcze, że będzie z ni rzetelny pożytek, co widzimy bardzo często. W roku 1945 Alian ci zakończyli zwycięsko walki zbrojne, ale przegrali wojnę sensie politycznym. Niemcy, które zostały pobite na polu bitwy zaczynają obecnie wygrywać, podbijane w górę z dwóch stron Nie byłoby tych dziwnych zjawisk, gdyby Alianci mieli mą drą politykę, pozwalającą na sfruktyfikowanie obiektywnie po myślnej sytuacji, powstałej po zwycięstwie militarnym.

I właśnie o to chodzi : trzeba mieć mądrą politykę, żeby wykorzystać pomyślną koniunkturę. Jakkolwiek bowiem ta osta nia jest warunkiem koniecznym wszelkiego osiągnięcia politycz nego, to jednak nie ma żadnego automatyzmu, który by działa na rzecz ewentualnego beneficjariusza i zabezpieczał jego do bro. O ile w szczególności o Polskę chodzi, to istnieje nawet ze względu na jej położenie geograficzne, automatyzm, działają cy w kierunku ujemnym. Dlatego właśnie dla Polski, która „trudności geograficznych musi zrobić twórczy element swe siły państwowej" (Szułdrzyński), posiadanie i prowadzenie celo wej polityki jest rzeczą szczególnie ważną. Gdyby nie polska pra ca niepodległościowa przed pierwszą wojną światową i w cza sie jej trwania, dzień 11 listopada 1918 byłby dniem klęski Pol ski. Dobra polityka niepodległościowa jest czynnikiem tak samo ważnym jak pomyślna w sensie obiektywnym sytuacja między narodowa, gdyż każdy z tych czynników jest warunkiem powsta nia państwa.

Dziś układ wielkich sił międzynarodowych jest wyraźnie przeciwko Polsce, gdyż Rosja jest silniejsza niż kiedykolwiek a Niemcy rosną na siłach. Warunkiem odzyskania niepodległo ści jest zmiana sytuacji w sensie osłabienia tych dwóch państw, a przynajmniej jednego z nich. Na to nie mamy żadnego wpływu Ale może to stać się bez naszego wpływu. Wtedy powstanie je den z dwóch zasadniczych warunków, koniecznych do odzyskania niepodległości. Drugim warunkiem musi być istnienie polskiego czynnika politycznego i rzucenie go na szalę w odpowiedniej chwili. Czy dziś on istnieje to znaczy czy istnieje polityka polska ? Na czym polega polityka polska ? Tego ogół emigracyjny nie

wie. W uszach jego brzmią wciąż słowa, że legalizm to klejnot narodowy, zaś rokowania o zjednoczenie, trudne niczym pokój na Korei, stwarzają wrażenie, jakoby pomiędzy zgodą dwóch Rad Niereprezentacyjnych a przyjściem Mesjasza istniał związek dość ścisły. Należy jednak pamiętać, że legalizm i zjednoczenie nie są namiastką polityki, są tylko formami, które trzeba napełnić żywą treścią. Zapewne są najlepszymi formami, żadnych jednak form nie trzeba przeceniać. Bywają bowiem zwycięstwa bez zjednoczenia i klęski mimo zjednoczenia, bywają klęski czynników wyposażonych w tytuły prawne, i zwycięstwa czynników, czerpiących siłę działania nie z prawa, lecz z samych siebie. W polityce liczy się tylko jedna rzecz : umiejętność osiągnięcia celu.

W związku ze sprawą zjednoczenia zwróćmy jeszcze uwagę na rzecz następującą. Metoda stwarzania jedności narodowej nie zawsze może być ta sama, cel nie zawsze jest wystarczającym punktem krystalizacyjnym. Np. w sierpniu 1920 cel wystarczał, gdyż ówczesne zadanie było natury czysto wojskowej, zjednoczenie polegało na zgodnym poparciu Naczelnego Wodza, którego praca podczas wojny, oczywiście, z natury rzeczy nie mogła być przedmiotem sporów politycznych. Ale dziś działalność rządu po-zjednoczeniowego będzie przede wszystkim działalnością polityczną. O ile chodzi o sam cel, niepodległość, to zjednoczenia nie potrzeba ,,robić'', gdyż w tym sensie istnieje ono od dawna. Dziś chodzi o program polityczny, obejmujący nie tylko cel, ale także, a nawet przede wszystkim, środki, zasadniczą metodę działania, chodzi o to jak cel osiągnąć, jak zabezpieczyć trwałość odzyskanej niepodległości. To są zagadnienia par excellence polityczne. Pożądane jest pewne minimum wspólności poglądów w tej dziedzinie, gdyż bez tego Rząd Jedności Narodowej mógłby się rozpaść pod ciśnieniem zbyt daleko idącej różnicy zdań. Stąd wniosek : najpierw program, choćby w ogólnym zarysie, potem zjednoczenie dookoła tego programu. Tylko w tym wypadku, gdy pewien program jest punktem krystalizacyjnym pracy politycznej, gdy on właśnie jest podstawą zjednoczenia, to ostatnie jest pełnowartościowe. Oczywiście, w skomplikowanych sprawach politycznych trudno jest zjednoczyć ludzi dookoła jednej metody działania, szczególnie trudno w społeczeństwie polskim, ale jest to trudność nieunikniona. Gdyby Rząd obecny czy jakikolwiek inny poważny ośrodek polityczny potrafił stworzyć, spopularyzować i ugruntować w opinii publicznej realny, na wielkiej wizji oparty program działania niepodległościowego, to zjednoczenie uzyskałoby w nim lepszą podstawę niż ta, którą reprezentuje klajster.

Zadajmy sobie teraz pytanie, jaki jest prawdopodobny rozwój wypadków na terenie polityki emigracyjnej w razie ewentualnego niedojścia do skutku rzeczywistego zjednoczenia ?

Praca niepodległościowa będzie kontynuowana przez różne ośrodki polityczne. Będą działały ,,orientacje'', jak w czasie pierwszej wojny światowej. Samo życie będzie żłobiło nowe drogi, wydźwignie nowych ludzi, którzy zdobywać będą autorytet

w działaniu. Dyskusje polityczne będą musiały stać się wreszci walką o meritum polityki polskiej, o którym dziś w ogóle ni słychać, a które jest najważniejsze. Może wystąpi Wielki Sternik, który pokieruje okrętem mimo skłócenia załogi. Może jeden z istniejących ośrodków politycznych, pod wpływem ciśnienia samego życia, przewartościuje swe wartości i będzie jutro czym dużo ważniejszym niż jest dziś. A może wyłoni się nowy ośrodel polityczny, który stanie się czynnikiem wyraźnie dominującym

Nie wiemy, co będzie jeżeli zjednoczenie nie dojdzie do skutku albo, jeżeli dojdzie do skutku lecz następnie okaże się tworem tylko werbalnym, czymś jakby emigracyjnym Ozonem. Wiemy jednak na pewno, że ktokolwiek będzie chciał stworzyć realną szansę odbudowy niepodległości, będzie musiał upatrywa istotę rzeczy nie w literze oderwanej od kraju konstytucji, nie w pseudo-demokratycznym bałamuceniu się stronnictw, i nawet nie w zjednoczeniu, bardzo ważnym, ale nie absolutnie koniecznym, — lecz w polityce ważkiej swą treścią i celowością, będzie musiał w razie nieodpartej konieczności podporządkować wymieniony trój-fetysz praktycznej racji stanu polityki niepodległościowej. Lepiej poświęcić fetysze dla niepodległości niż niepodległość dla fetyszów.

WYBORY

Jeszcze kilka słów o wyborach, o których potrzebie mówi się dziś na emigracji. Przeprowadzenie ich rozszerzyłoby i pogłębiło podstawę Rządu. Dowiedzielibyśmy się wreszcie, co setki tysięcy myślą o Rządzie i o stronnictwach. Dotąd wiemy tylko, co każdy z tych dwu czynników myśli o sobie samym i co one wzajemnie o sobie myślą. Obiektywnie rzecz biorąc, Rada Narodowa, będąca emanacją Rządu, nie jest surogatem parlamentu, Rada Polityczna — stowarzyszenie kilku małych grup emigracyjnych — mimo ich historycznego powiązania z dawnymi stronnictwami nie jest surogatem reprezentacji opinii publicznej. Życie polityczne emigracji jest zamknięte w wąskim kręgu osób. Wybory znakomicie rozszerzyłyby ten krąg jakkolwiek i po wyborach można by dyskutować nad tym, czy kształt polityczny, który się z nich wyłoni, jest istotnie odpowiednikiem społeczno-politycznego przekroju narodu polskiego.

Czy Rząd po wyborach byłby rzeczywiście demokratyczny? Niekoniecznie. Albowiem demokracja prawdziwa — jak wiadomo chociaż nie wszystkim — oznacza nie tylko rządy arytmetycznej większości, ale także, a może przede wszystkim, dobre obyczaje polityczne, wzajemną wobec siebie lojalność rządu i opozycji, rzeczywiste, nie tylko teoretyczne, poszanowanie cudzego zdania, słowem — pewną atmosferę moralną, której nie może stworzyć najlepsza nawet konstytucja. Nie można też wyczarować demokracji w ten sposób, że się paple o jej świętości przy

każdej okazji. Demokracji nie można ,,przyjąć'', nie można ,,uchwalić'' — trzeba ją wychować. Na to potrzeba pokoleń, to długi proces samowychowywania się społeczeństwa. Gdy więc ktoś zachwala demokrację jako panaceum, gdy ogólnikowo mówi o ,,wzorach demokratycznych'', należy natychmiast zapytać go : ,,Ale jaka jest konkretna treść tych wzorów ? Jaka to demokracja ? Kiedy urodzona ?'' Po dwustu latach praktykowania demokracji w danym kraju może ona, z pewnością być najlepszym systemem politycznym dla tego kraju. Ale nowonarodzona, czy mająca niedostateczne tradycje, ze starymi nałogami myślowymi, z nietolerancją dla cudzego zdania we krwi, z instynktami kacyka i stada, czy choćby tylko z tendencją do monopolizowania racji przez urzędników państwowych, z brakiem poczucia odpowiedzialności indywidualnej, surogowanej frazesem o służbie publicznej, z upatrywaniem kapitulacji w każdym kompromisie, obrazy w każdej krytyce, defetyzmu w każdym stwierdzeniu przykrej prawdy, — taka ,,demokracja'' nie jest podłożem, na którym można by oprzeć rozwój twórczych pierwiastków życia publicznego. Rozwiązanie problemu ustroju państwowego w konkretnym wypadku nie może leżeć na linii dziecinnie-prostego, prymitywnego wypowiedzenia się ,,za demokracją'' czy ,,przeciwko demokracji'', żadna sztywna doktryna nie może dać odpowiedzi na dręczące dany naród bolączki. Czasem demokracja jest najlepszym systemem politycznym, w innych wypadkach najmniej złym. W społeczeństwach nacechowanych szczególnym brakiem dyscypliny, zwłaszcza w społeczeństwach warcholskich, stu-procentowa demokracja może być klęską, jej rozumne limitowanie w okresie przygotywania społeczeństwa do pełnego ,,samorządu politycznego'' może być wskazane. W każdym jednak razie budowanie demokracji zaczynać należy od przekonania co do konieczności naprawy obyczajów politycznych. Wybory oparte na fetyszu większości nie wystarczą.



Często nasuwa się pytanie, czy narody, pod wpływem doświadczeń, zdolne są do nauczenia się czegoś, co jest sprzeczne z ich naturą emocjonalną. Nieraz ma się wrażenie, że — nie. Po Wilhelmie Drugim, który cały świat postawił na nogi przeciwko Niemcom, przychodzi Hitler i robi to samo. Francja pada ofiarą własnej konstytucji, ,,gwarantującej'' jej trwały nie-rząd, jednak nie naprawia swego ustroju państwowego. A Polacy ? Jedni, po doświadczeniach przedmajowych, hołubią idee pseudodemokratyczne, będące współczesnym wyrazem przekonania, że ,,Polska nierządem stoi''. Inni do dziś nie rozumieją, że Rydz-Śmigły prowadził Polskę po równi pochyłej. Jeszcze inni, po doświadczeniach 17 września 1939 i wbrew elementarnej logice politycznej, oczekiwali pomocy ze strony Sowietów dla Powstania Warszawskiego. A ilu jest takich, którzy nie wyciągają żadnych wniosków z olbrzymich przemian społeczno-ekonomicznych i po-

litycznych we współczesnym świecie i wyobrażają sobie powrót do Polski w ten sposób, że zastaną tam niedopitą w roku 1939 szklankę herbaty? I wreszcie: czy naród polski, którego psychika predestynuje go na natchnienie, a geografia na ofiarę świata, dojdzie kiedykolwiek do przekonania, że zło losu można pokonać w jeden tylko sposób — przez oparcie polityki na trzeźwym rachunku strat i zysków, przez ostateczne zerwanie z wszelkim romantyzmem w doborze środków politycznego działania?

Stanisław ZARZEWSKI



Artykuł p. St. Zarzewskiego, który drukujemy powyżej — jest próbą rzeczowej analizy emigracyjnej sytuacji politycznej z pominięciem aspektów personalnych. Autor rozpatruje beznamiętnie fakty i elementy, które w dyskusjach i polemikach zwykle dalekich od obiektywizmu — zatraciły niejednokrotnie swą wagę i znaczenie. Stronnicze naświetlenia i interpretacje, które z obu stron wysuwano w czasie rozmów zjednoczeniowych nie przyczyniły się do wyrobienia jasnego poglądu na sytuację w umysłach czytelników polskiej prasy emigracyjnej. Dlatego wydaje się nam rzeczą pożądaną w tym właśnie momencie dać naszym Czytelnikom spokojną i bezstronną analizę, która nie służy niczyjej propagandzie.

W chwili gdy piszemy te słowa gen. Sosnkowski opuścił Londyn i odłożył swe prace mediacyjne do jesieni. Jest więc zbyt wcześnie, aby formułować sąd o zjednoczeniu, którego los wydaje się jeszcze niepewny. Artykuł p. Zarzewskiego w niczym nie przesądza naszego stosunku do przyszłego rządu Jedności Narodowej. W tej sprawie sformułujemy naszą opinię, gdy sytuacja ostatecznie się wyjaśni.

Zespół „KULTURY"

Radio i radioci

Jak każdy wynalazek radio jest przeceniane. Stało się ono jednym z głównych instrumentów i kolubryn „zimnej wojny", dwustronnie. Zachód, a zwłaszcza Amerykanie, mnożą potężne stacje nadawcze, które poprzez eter mają nieść żagiew wolności a może buntu za żelazną zasłonę. Komuniści mimowoli przyznają skuteczność tej nowej broni mnożąc stacje zagłuszające. Od Bałtyku do Dunaju jest ich podobno dwieście. Wyścig zbrojeń odbywa się i w tej dziedzinie. Może jakiś technik mógłby zdać sprawę z tej technicznej rywalizacji. Propaganda radiowa Zachodu ma w każdym razie ściśle techniczne, gospodarcze sukcesy na swym koncie, których efekt w sensie osłabienia potencjału wojennego świata zakurtynowego jest nie do pogardzenia. Ilość kilowatów dostarczanych na alimentowanie stacji zagłuszających jest bardzo pokaźna, idzie w miliony. Gdyby propagandy radiowej Zachodu nie było, kilowaty te pracowałyby na przemysł zbrojeniowy, puszczałyby w ruch obrabiarki fabrykujące gąsiennice dla czołgów, zapalniki dla bomb. Sztaby Zachodu doskonale o tym wiedzą, sztaby bolszewickie z rozpaczą o tym pamiętają. Propaganda radiowa karmi zimną wojnę, opóźnia wojnę tout court. Stąd będzie zapewne rosnąć nie słabnąć. Ponadto spełnia ważną rolę socjalną w społeczeństwie XX-go wieku : zatrudnia, a więc utrzymuje inteligencję, a zwłaszcza ćwierć-inteligencję, tę najbardziej zbyteczną, ale najbardziej żarłoczną, agresywną a więc politycznie wpływową klasę społeczną naszego stulecia. Rozrost propagandy radiowej to klapa spokoju socjalnego. Skuteczna. Ćwierć-inteligent zatrudniony na poczcie — to malkontent jeżeli nie komunista, to fellow-traveller, ewentualnie radykalny faszysta. Tenże ćwierć-inteligent jako radiota jest „bien pensant" : nawet Syngman Rhee będzie mu się wydawał ostoją ładu na świecie, prorokiem lepszego jutra.

Opinia emigracyjna poświęca zbyt mało uwagi audycjom polskim w radiostacjach Zachodu, które zaczynają odgrywać coraz większą rolę w naszym życiu politycznym. Artykułem p. Pretwica otwieramy dyskusję nad działalnością tych radiostacji i celowością ich metod. Liczymy, że nasi czytelnicy pomogą nam w tej pionierskiej pracy nadsyłając swe uwagi i spostrzeżenia. (Red.).

Rozwój wojny radiowej ma specjalne znaczenie dla inteligencji polskiej. Jest to jakby namiastka złotego wieku Strattonu. U Seydy, u Strońskiego prawie cała inteligencja polska w Anglii znalazła skromne lecz godziwe zabezpieczenie bytu. Rzecz ciekawa : czterdziestofuntowe zapomogi dla bezrobotnych połączone z pracą zleconą czy koślawym biurkiem w przepełnionych klitkach londyńskich ministerstw R.P. wyprodukowały stosy makulatury, ani jednego dzieła o wartości literackiej. Groszowe honoraria ,,Wiadomości'' czy ,,Kultury'' uskrzydliły Łobodowskiego czy Balińskiego, Hostowca czy Straszewicza, Józefa Mackiewicza czy Józefa Wittlina. Zasiłki Strattonu czy biur prasowych wojskowych umożliwiły tylko bumlerkę ekipy prasowych hochsztaplerów, operujących mitem ,,wielkich stosunków'' oraz apatyczną wegetację pisarzy, zdegradowanych do roli wyrobników stukających kopytami przed szefuniem, rozdającym ,,zamówienia narodowe''.

Urzędnikieria jest dla rasowych pisarzy zawsze katastrofą. Pisarz z prawdziwego zdarzenia może mieć tylko jedną posadę : synekurę. Dlatego to dawne służby zagraniczne były przytułkiem dla ludzi pióra. Stendhal jest klasycznym przykładem : można sobie wystawić jak ten jego konsulacik w Civitavecchia wyglądał w oczach inspektorów placówek. W naszym, znacznie bardziej biurokratycznym, M.S.Z.-cie Lechoń i Baliński już się dusili. Cóż dopiero w rozgłośniach radiowych, gdzie trzeba odwalać kawałki, pisać nie dla sumienia, nie dla prawdy, nie dla sztuki, nie dla ozdoby piękna formy, a pod gust na wpół piśmiennego, przeważnie niekrzesanego szefa. Stałe posady radiowe dla talentów tej miary co Łobodowski czy Tadeusz Nowakowski są ,,paleniem mahoniu w piecu'' (wyrażenie Becka). Najlepszym wyjściem jest rozwiązanie Strzetelskiego, bodaj jedynego kierownika radiostacji, który jest jednocześnie miłośnikiem kultury : wydębienie u chlebodawców zasiłków dla koryfeuszów czy nestorów polskiej poezji czy prozy. Od biedy, pogadanki dostarczane z zewnątrz przez najwybitniejszych literatów przy zupełnej swobodzie wyboru formy i treści powinny im dostarczyć wystarczających i regularnych źródeł zarobku zostawiając maksimum czasu dla pracy i twórczości niezawodowej. Ściąganie natomiast ludzi z prawdziwym talentem do kieratu radiowego, do młócenia słomy propagandowej, do tej atmosfery ogłupiającej i jałowej — jest zbrodnią wobec szczątków literatury polskiej na uchodźtwie. Ale jak wytłumaczyć niegramotnym hebesom, których ignorancję przewyższa tylko ich zarozumiałość, że przebywanie w ich towarzystwie i wysłuchiwanie ich ,,instrukcji'' skazuje każdego literata, każdego pisarza, każdego choćby trochę wykształconego i oczytanego człowieka na stępienie wszelkiej wrażliwości umysłowej.

◆

Wiek obecny przecenia znaczenie propagandy a więc i znaczenie radia. Iluzją jest w szczególności by radiem można było

okowy totalistycznego komunizmu rozsadzić czy choćby nadwerężyć. Nie ma żadnych wskazówek, by wojenna propaganda B.B.C. skróciła wojnę z Hitlerem choćby o tydzień. Wysiłki radiowe Goebbelsa i jego bez mała genialnego Joyce'a (Lorda How-How) na postawę Anglików (choć Joyce'a słuchano i nawet cieszył się on swego rodzaju popularnością w Anglii — dla tego właśnie go powieszono po wojnie) były w efekcie dokładnie równe zeru. Wątpię bardzo, by Malenkow czy nawet Bierut poważnie się przejmowali audycjami radiostacyj zachodnich, podobnież Laniel nie kłopocze się ani chwili tym co nadaje po francusku Moskwa czy Warszawa. Tyrania, która dławi i dusi życia ludów od Łaby po Ocean Spokojny nie rozpadnie się na skutek lepszych czy gorszych programów z Monachium czy Londynu ale tylko na skutek przegranej wojny albo wojny domowej w Rosji samej. Wysiłki radiotów muszą pozostać pracą syzyfową. Tym niemniej audycje radiowe dla krajów za żelazną zasłoną spełniają dużą rolę. Narodom podbitym powinny dostarczać informacyj, rozrywki i jakiejś ostoi kulturalnej — poza strawą polityczno-propagandową. Audycje zachodnie żyją, prosperują i rozwijają się w wyniku monopolu radiowego i prasowego komunistów za żelazną kurtyną. Nikt we Francji nie słucha francuskich audycji ,,Głosu Ameryki'' czy B.B.C. i nie ma oczywiście ani jednego Anglika, który by słuchał Warszawy czy Ankary po angielsku. Ale reżimowe radio jest tak beznadziejnie nudne, zakłamane i rosyjskie z ducha, że siłą rzeczy powstaje vacuum : a vacuum to musi być czymś zapełnione. Nadmiar propagandy, nadmiar fałszu, nadmiar ,,linii'' i sztrychulca w Warszawie otwiera automatycznie drzwi i okna na oścież audycjom zagranicznym. Bolszewicy wydają miliony na zagłuszanie. Niech Warszawa przestanie nadawać program sowiecki a zagłuszanie okaże się niepotrzebne. Tylko nieliczni będą kręcić wówczas gałkami w poszukiwaniu wiadomości po polsku po całej działce, po całym globie. Program warszawski jest tak nudny i tak beznadziejny, że zapewne nawet córka Bieruta czy Cyrankiewicza woli nastawić aparat na Paryż czy Madryt.

Na całym świecie ludzie szukają w radio trzech rzeczy przede wszystkim : ,,news'ów'', audycji kulturalno-naukowych i muzyki. W epoce gorączkowej, pełnej niespodzianek, o równowadze chwiejnej, ludzie chcą ciągle najświeższych wiadomości. Obawy czy nadzieje, nerwy czy niepokój jednakowo skłaniają miliony istot do wysłuchiwania biuletynów radiowych prawie o każdej porze dnia i nocy. Słuchanie ,,news'ów'' stało się dla wielu nałogiem. W Anglii B.B.C. obliczyło, że jego audycji o 9-tej wieczorem Home Service — słucha około 80 % posiadaczy radioaparatów. O ileż ten głód wiadomości musi być silniejszy za żelazną kurtyną, gdzie informacje zastępują plotki, słuchy, gdzie ludzie mają uczucie, że żyją w wielkim więzieniu, odcięci od świata, gdzie prasy nie ma, gdzie życia publicznego i parlamentarnego nie ma, gdzie normalny człowiek tylko w swoim radioodbiorniku upatruje łącznik ze światem, zwiastuna przyszłości.

Warunki zakurtynne sprawiają, że radiosłuchacz pragnie obok informacji częstych, dokładnych, wyczerpujących, pewnych, uzyskać również i dalszy program z zagranicy. Pragnie on rozrywki — bo humor komunistyczny go nuży i drażni. Pragnie on dostać pożywkę kulturalną, bo porcja kultury serwowana przez reżim pachnie czy śmierdzi moskiewskim dziegciem. Chce on łączności z ruchem umysłowym Zachodu, chce czystej, pięknej, nieskażonej reżimowym żargonem polszczyzny. Chce wreszcie, na koniec, — kontrpropagandy czyli komentarzy politycznych.



Zapotrzebowanie kraju na programy radiowe w języku polskim, niecenzurowane przez komunistów i Sowiety, jest w chwili obecnej wcale hojnie zaspakajane. Po polsku nadają : Paryż, Madryt, Londyn, Nowy Jork, Monachium, Rzym, Belgrad, Montevideo, Ankara, Watykan, Montreal, pewno i inne stolice. Żadna z tych stacji nie jest ,,polska'' : wszystkie są finansowane przez rządy i radiofonie obce. Na to nie ma rady. Nawet przy stokrotnie większych wpływach i zasobach Skarbu Narodowego czynniki polskie nie będzie stać na opłacanie choćby tylko personelu i programu jednej dużej polskiej sekcji : a wydatki programowe stanowią wszędzie zaledwie około 10 % ogólnej sumy wydatków. Resztę pożerają wydatki techniczne. Szczególnie Amerykanie są na technikę hojni. Tutaj nawiasem wtrącę uwagę : na przykładzie radia widać całą różnicę mentalności amerykańskiej i polskiej. My jesteśmy narodem ,,przepolitycznionym'' : nasi przywódcy gotowi się dźgać nożem o tekst jakiejś rezolucji, lecz gdy ta została ,,uzgodniona'' żaden z nich nie zatroszczy się, by sprawdzić czy nieszczęsna sekretarka-głodomór rozesłała ją według rozdzielnika. Amerykanie szaleją na punkcie ,,przechodzenia'' ich programu : jeżeli im ktoś powie, że w wypadku wystawienia nowej stacji nadawczej w Tanganayice ich audycje będą słyszane świetnie w Garwolinie, są gotowi wysłać nad jezioro Nyassa całą ekspedycję z dwudziestu osób; ale znacznie mniej ich interesuje co w tym programie będzie się znajdować. Pozostaliśmy wierni tradycji sztuki dla sztuki również w polityce.

Stopień niezależności tych programów jest wielce różny. Niektóre ograniczają się do tłumaczenia na język polski tekstów dostarczonych przez chlebodawców. Inne rozporządzają praktycznie nieograniczoną swobodą. Słuchacz krajowy orientuje się w tych niuansach doskonale. I oczywiście woli audycje redagowane przez samych Polaków, bez kontroli i interwencji obcej. Stąd niesłabnąca popularność Madrytu choć ta placówka ma technicznie bardzo słabą stację i bardzo ograniczony personel i fundusze. Rozumni zagranicznicy powinni pozostawiać polskim radiotom maksimum swobody : tylko pod tym warunkiem mogą sami ze swych wkładów odnieść jakieś korzyści propagandowe. Kontrola, belferowanie, dają w rezultacie zakalec, który jest po-

litycznie czystą stratą. Jest złudzeniem — by nie powiedzieć idiotyzmem — by Anglik (a już nie daj Boże Angielka) czy Amerykanin lub Turek mógł mieć wyczucie tego co może interesować słuchacza polskiego, nie mówiąc już o tym co może mu się podobać. Pół-środkiem jest wprowadzenie Herrenvolku paszportowego : powierzanie audycji polskich naturalizowanym w danym kraju Polakom (czy Rosjanom, czy Węgrom). Każdy rasizm jest niemoralny i szkodliwy : paszportowy tak samo jak oglądanie zawartości kalesonów Aszkenazego czy Tomkowica w znanej piosence Boya.

Drugie generalne pytanie to z jakiego środowiska należy rekrutować radiotów. Kierownik jednego z polskich programów tłumaczył chętnie, że na to stanowisko nadają się socjolodzy. Oczywiście dlatego, że sam się za socjologa uważa. Inni, zależnie od swego ,,Fragebogen'', lansują na stanowisko kierowników ,,działaczy społecznych'' to znaczy ludzi według klucza partyjnego, dwójkarzy, kurierów Armii Krajowej, czy urzędników prasowych. Wszystkie te pomysły są śmieszne i opłakane. Radio jest może najniższą formą dziennikarstwa ale jednak jego przedłużeniem : powinno więc być domeną zawodowych dziennikarzy, redaktorów i publicystów. Oczywiście i w świecie dziennikarskim istnieje hierarchia i tej należy przestrzegać. Niestety Polacy uznają różnicę w hierarchii przeważnie dopiero z chwilą, gdy operacja ta sprowadza się do liczenia gwiazdek na epoletach. Stąd nasza predylekcja do wysuwania zawodowych wojskowych, bo tutaj nie może być dyskusji, że generał brygady ma przewagę nad kapitanem. Iluż grafomanów nie chce pogodzić się z oczywistością. To wielka trudność, która i w radio bruździ, ale wszelka rozumna polityka personalna w radio musi wyjść z założenia zawodowości i hierarchii dziennikarskiej.

◆

Każda stacja nadająca po polsku operuje jednym podstawowym tworzywem : językiem polskim. Toteż absolutna, bezwzględna, nieposzlakowana czystość i poprawność języka jest jej pierwszym obowiązkiem. Język polski jest w kraju zagrożony zarówno żargonem bolszewickim jak i postępami rusyfikacji. Stacje zagraniczne, nim staną się ostoją ducha polskiego, muszą być warownią poprawnego literackiego języka. Stąd ci co ten język kaleczą, wykoszlawiają muszą być rozpalonym żelazem ze wszystkich polskich programów eliminowani. Niestety ! Można by tomy całe błędów językowych, gramatycznych i stylistycznych i z tych programów wyłowić. Ohydna i jakże rozpleniona camera obscura. Ograniczę się do paru przykładów. Kierownik jednego z polskich programów używa stale zwrotu : ,,Józef Stalin'' — ten bęcwał i nieuk nie wie dotąd, że używanie imienia obok nazwiska jest w języku polskim wyrazem hołdu. W Nowym Jorku jest jakaś niepiśmienna baba, która pisze : ,,Z Istambułu donoszą'' — choć już z ,,Trylogii'' wiadomo, że od pięciuset lat Konstantynopol nazywa się po polsku Stambułem.

Zwroty w rodzaju : ,,w Waszyngtonie uważa się'' (it is believed in Washington) i inne tego rodzaju brzydkie anglicyzmy spotyka się na każdym kroku. Jedna z stacji w Nowym Jorku mówi o ,,parlamencie wybranym *przez* powszechne głosowanie''; audycje polskie z Rzymu (nie z Watykanu) są pisane w ogóle jakimś żargonem. Nie ma rady, i w takich wypadkach opinia polska musi walczyć o czystość języka i wołać o gilotynowanie winnych bez cienia względów dla ,,kumoterskich'' stosunków, które we wszystkich radiostacjach są zakałą i plewą.

Dbałość o język ma jeszcze w radio drugą stronę : spikierkę. Programy muszą być nie tylko pisane bezbłędną polszczyzną : muszą nadto być recytowane przed mikrofonem przez dobrych spikierów, mówiących dobrą, kulturalną polszczyzną bez obcych akcentów, bez półinteligenckiej intonacji. Język polski jest jednym z najmniej radiofonicznych języków na świecie. Dobrych mówców a więc i spikierów mieliśmy i mamy bardzo mało. Pomijam kwestie techniczne : potykania się, timbre głosu, ale obce akcenty nie mogą być tolerowane. W Nowym Jorku na przykład przemawia jakaś pannica, która mówi ,,Połska'' ! Są to zbrodnie. W Polsce akcent się obecnie wulgaryzuje. Każdy kto słucha tak zwanych wywiadów z uchodźcami z Kraju musi być uderzony niechlujną wymową nie tylko robotników i chłopów, ale również młodych ludzi, którzy pokończyli reżimowe szkoły. Tym bardziej doskonała wymowa, staranna, płynna, dźwięczna, jeżeli można wytworna, a w każdym razie bez cienia obcych naleciałości musi obowiązywać wszystkie polskie rozgłośnie na Zachodzie. I tu znowu żadne ,,kumoterstwa'' nie mogą ratować ani spikierów, ani spikierki.



Podstawą każdego programu radiowego muszą być skromne ale konieczne ,,news'y''. Wszak słuchacz krajowy właśnie szuka ,,news'ów''; komentarze etc. interesują go już znacznie mniej. Szanująca się radiostacja musi nadawać dziennik poranny, południowy, popołudniowy, wieczorny i późnowieczorny. Jedna z radiostacji nadaje ,,news'y'' co godzina przez 10 minut. Bardzo trafny pomysł. Żadnego sensu natomiast nie ma *siedmiokrotne powtarzanie* audycji newsowej przez inną radiostację. Słuchacz, który orientuje się, że o 7-mej rano serwują mu program z poprzedniego wieczoru dostaje szału. Powtórki w ogóle mijają się z celem. Lepiej ich zaniechać jeżeli już się nie chce zwiększyć wydatków programowych.

,,News'y'' są rzeczą bardzo prostą ale i w tym wypadku potrzebna jest minimalna doza zdrowego rozsądku. Muszą być robione przez fachowych, doświadczonych dziennikarzy agencyjnych i redaktorów działu depesz. Muszą być oparte na teleskryptorze dobrej światowej agencji nie zaś na ,,brykach'' dostarczonych przez ,,redakcje centralne'', to znaczy na materiałach z drugiej ręki. Muszą być robione zawsze w ostatniej chwili. Muszą być treściwe, wszechstronne, bezstronne, redagowane

bez cienia tendencji i propagandyzmu. Nie mogą zatajać informacji niewygodnych. Nie mogą być komunistycznym programem „news'owym" à rebours. Muszą być elastyczne : jeżeli „news'ów" nie ma dość na wypełnienie audycji lepiej zastąpić je płytą z muzyką niż walić sieczkę.

Dla audycji zakurtynowych istnieją pewne specjalne problemy. Jak traktować wiadomości z Polski czy o Polsce ? Ostrożnie. Znaczna ich część, zwłaszcza te o oporze, pochodzą ze źródeł mętnych i podejrzanych. Są fabrykowane często przez emigracyjnych polityków i bezrobotnych reporterów. Znaczna ich część pochodzi ze źródeł niemieckich, a o wiele więcej z Bezpieki czy wprost z N.K.W.D. Niekiedy są typową prowokacją. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Lepiej być przesadnie ostrożnym niż lekkomyślnym.

Słuchacz polski żąda też wiadomości o tym co się dzieje w Sowietach, bo wie, że jego przyszłość zależy od rozwoju sytuacji na Kremlu. Nie ma o tym żadnych pewnych wiadomości. Uważam przeto, że rozgłośnie polskie winny nadawać wszystkie domysły i plotki, które na ten temat kursują po prasie światowej. Oczywiście z podaniem źródeł. Niech Moskwa te plotki dementuje.

Jak wreszcie radiostacje mają podawać informacje o życiu politycznym polskiej emigracji ? Niestety, póki trwa obecne rozbicie, patriotyczny i sumienny news'owiec będzie te smutne wieści pomijał. Nie ma celu i sensu rozdmuchiwać tych burz w szklance wody, tych gorszących polemik, tych personalnych kłótni. Zostawmy Arskim babranie się w tym błotku. Kraj zresztą emigracją nie tylko z 1939 roku ale i z 1945 naprawdę się nie interesuje.

◆

Jak natomiast ułożyć resztę programu ? Osobiście będę się upierał przy bardzo prostej zasadzie : program musi być przede wszystkim *interesujący*. Znudzenie słuchacza jest pierwszym krokiem do zrażenia go. Bolszewicy go naprzód zanudzili i teraz odzyskać go nie mogą. Niestety zachodnie radiostacje nie mają zrozumienia dla konieczności dostarczenia godziwej rozrywki. Przefaszerowują program propagandą nie rozumiejąc, że nadmiar zawsze odnosi skutki niepożądane. Powtarzaniem się i zbyt wielkimi dawkami stępiają ostrze swej własnej broni. Ilość komentarzy, polemik czy wręcz pyskówek jest przesadnie wielka. Są one nadto za długie. Któż może wytrzymywać pogadankę dziesięcio- a tym bardziej piętnastominutową ? Kto z piszących może się nie wypisać, w kółko młócąc to samo ? Jaki cel może mieć szufladkowanie audycji na młodzieżowe, chłopskie, robotnicze ? Podział na „referaty" jest nieunikniony w urzędzie, ale radiostacja nie jest urzędem. Biurokratyczne podziały ją zabijają. Publicystów, komentatorów, polemistów jest mało. Przez przydział kawałków nikt ich z kamienia nie wykrzesze. Rezultatem są audycje drewniane. Gdyby wydawać skrypty radiowe w formie dziennika nikt nie byłby w stanie dwóch numerów przeczytać :

taka nuda. „Dzwonek Częstochowski" nieraz by takie skrypty odrzucał. Gadulstwo szaleje i brak smaku. Rozwlekłość. Ogólny poziom audycji polskich jest słaby, często ponury, nieraz beznadziejny.

Środki zaradcze? Jeżeli wyjdziemy z założenia, że żelazna zasłona kruszy się i wali, że dni panowania bolszewickiego są policzone — to mniejsza o to. W radosnym upojeniu Wyzwolenia wszystkie te luki i niedociągnięcia zostaną zapomniane i wybaczone. Ale jeżeli noc niewoli się przeciągnie? Jeżeli potrwa lata? Wówczas audycje muszą być planowane inaczej. Muszą zastąpić słuchaczom krajowym gazetę opozycyjną. Ta gazeta może być dobra albo zła. „Goniec Warszawski" był żywy i zajmujący, „Głos Narodu" martwy i usypiający. Gazeta opozycyjna jest artykułem pierwszej potrzeby. Jeśli jej nie ma w kraju — niech będzie w eterze. Ale chwacka nie rozmamłana, dziarska nie senna, z fajerem nie sflaczała.

Słuchacze potrzebują humoru, rozrywki. To też są artykuły pierwszej potrzeby. Mała dawka propagandy na tle dużej dawki rozrywkowej jest dużo skuteczniejsza niż wielka doza napuszonego antybolszewizmu na tle paru płaskich, antykomunistycznych dowcipów. Musztarda jest wspaniałą przyprawą, nie może być daniem. Program radiowy wymaga wszędzie inwencji, pomysłów, nowych prób. *Tymczasem ma wszędzie skłonność do wpadania w schemat, w marazm, w biurokratyczną rutynę.* Może by zachodnie radiostacje zrobiły próby wymieniania swych współpracowników w regularnych odstępach czasu? Ten płodozmian pobudzałby ciekawość, przynajmniej dawałby materiał porównawczy. Może byłoby mniej „samodurstwa" na górach — tej zawodowej choroby wszystkich szefów.

Przede wszystkim jednak trzeba dać Krajowi program kulturalny, program więzi umysłowej z Zachodem. Z tym jest najgorzej. „News'y" są niezłe w monachijskiej Free Europe i w B.B.C. Rozmaitość i żywość programu są najlepsze w Paryżu i w Madrycie — ale Polak który chciałby uzupełnić swe wykształcenie przez słuchanie audycji polskich srodze byłby zawiedziony. Nic poza łzawymi frazesami, nic poza obchodem narodowym. Nie ma uczciwego cyklu nauki historii Polski ani polskiej literatury, nie ma krytyki literackiej, nie ma poważnego przeglądu życia umysłowego na Zachodzie, nie ma poradni językowej, nie ma camery obscury niezliczonych rusycyzmów i dziwolągów językowych reżimu. Nie ma należytej recytacji poezji, nie ma polemiki pomiędzy wolnymi Polakami, która pozwoliłaby słuchaczom w Kraju wyrobić sobie zdanie o sporach, które nas dzielą: choćby o takiej „sprawie Miłosza". Nie ma nauki języka angielskiego (a właściwie amerykańskiego), który staje się lingua franca naszego świata.

•

Listy z Kraju powinny być busolą dla pracy radiowej. Każda szanująca się redakcja liczy się z listami czytelników, wszel-

kimi sposobami ich do pisania zachęca. Paryż dotąd dostaje około 100 listów miesięcznie z Polski. Zapewne część ich odnosi się do spraw czysto osobistych : odnalezienie krewnych, przesłanie życzeń, itp., część jest pisana przez agentów bezpieki, część wychodzi spod pióra grafomanów. Ale część rzuca jednak światło na wymogi słuchaczy. Radiostacje które listów nie otrzymują poruszają się całkowicie po omacku. Nic dziwnego, że w nich właśnie samodurstwo najbardziej kwitnie. Nie mówię ma się rozumieć o listach ,,inspirowanych'' przez poszczególnych radiotów (bo i to się zdarza), czy zgoła fikcyjnych.



Do ideału radiostacje zachodnie nadające do krajów za żelazną kurtyną niestety na pewno nie dojdą, ale poprawa jest możliwa i należy do niej dążyć. Dobre ,,news'y'', poważny wysiłek w dziedzinie kulturalnej, zajmujący program rozrywkowy, wreszcie cenna i dynamiczna doza propagandy politycznej — oto minimum jakiego opinia polska i w Kraju i na emigracji ma prawo i od radiostacji i od radiotów domagać się i otrzymać.

Józef PRETWIC

O wierszach Jastruna

Współczesna poezja polska nie ma swoich krytyków an historyków. Przyczyny tego mogą być albo uznane za oczywiste albo wymagałyby, aby je wyjaśnić, obszernych studiów. W każ dym razie jest faktem, że hierarchia wartości nie jest ustalona że nikt nie wie jakich używać kryteriów, a nazwiska wymienia ne przez jednych jako istotne dla rozwoju poezji polskiej w ogó le, są przez innych odrzucane z lekceważeniem. Nie tylko ni wyznaczono miejsca poetom Młodej Polski. Również plejad poetów jacy pojawili się po I wojnie światowej jest mglistyn tylko refleksem pamięci, grupę Skamandra mierzy się wedłu politycznych zasług poszczególnych jej przedstawicieli, a spor o taką czy inną poetykę w Dwudziestoleciu istnieją w tej formi w jakiej ją ujęli walczący ze sobą Irzykowski, Zawodziński, Pe per, Przyboś etc. — a więc w formie oczywiście dzisiaj ju absurdalnej, ponieważ odsłoniła się błędność i wąskość dysku sji, rozumiana zresztą już przez wielu i wtedy kiedy ta się to czyła — odnosili się oni (byłem w ich liczbie) do sporów Ska mandra i ,,awangardy'' z pewną obojętnością, wiedząc że dro ga do wzbogacenia języka przebiega poza terenem tych bezpłod nych i mocno parafialnych utarczek. A później — lata wojn i lata powojenne — to już materiał surowy, po który sięga si chyba tylko po to, aby uzasadniać tezy wysunięte na użytek ja najbardziej doraźny.

Mieczysław Jastrun jest wybitnym poetą. Zaczął publiko wać w okolicy roku 1928 i mając przed sobą jego ostatni tom ,,Poemat o mowie polskiej'' *) ma się ochotę zrobić przynajmni próbę krytyki. Jest oczywiście znany tragizm w tym nawoł

---

*) Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1952.

waniu się dwóch polskich autorów poprzez granice ustrojów i wiar, czy przez linie okopoów. I tak to bym ujął :

W metrze paryskim kartki rozcinałem
Tej twojej książki wydanej w Warszawie.
Błysnęło zimą, rankiem, chłodem wód
I zatrzasnęła się ciemność tunelu.

Czyż my nie jednej służyliśmy sprawie,
Czyż mi nie wolno zawołać na wschód
Do ciebie, tam : poeto, przyjacielu,
Więc my, w tej samej zakochani mowie
Mamy być odtąd śmiertelni wrogowie ?

I nigdy, nigdy, po najdalsze wieki
Ręce się nasze w uścisku nie złączą,
Wiersze podjęte myślą współczującą
Nie staną razem w półkach biblioteki ?
Twoje czy moje dzieło trzeba spalić,
Zapomnieć, imię kamieniem przywalić ?

A przecie ja, za każdym twoim zdaniem
Biegnę jak biegnie się znajomym śladem.
Jak dziecku wszystko jest mi powitaniem
I cieszę się zwycięstwem twoim nad nieładem
Tej polskiej składni. Bo składnia zawiła
Sercom dostępu do pieśni broniła.

A przecie ty, niejednym ruchem pióra
To co zdobyłem najwdzięczniej powtarzasz,
Świat swój ze świata już danego stwarzasz,
Bo nikt z nas nie jest olbrzymi ptak-góra
I cień co rzuca nie jest jego cieniem.
Ty wiesz : poeta żyje powtórzeniem.

◆

Brak aparatu polskiej krytyki zmusza mnie do wyznań. To nie znaczy że subiektywne gusty uważam za wystarczającą podstawę oceny. Jednak, aby można się było porozumieć, trzeba się najpierw odsłonić : powiedz mi co lubisz, powiem ci kim jesteś. Szukałem w przeszłości wigoru polskiego wiersza : Wiek Złoty, poezja mieszczańska, Trembecki, Krasicki, Mickiewicz, mniej Słowacki, trochę Norwid. Honory jakie są oddawane dziś w Polsce wiekowi Oświecenia i Mickiewiczowi tłumaczą się zarówno marksizmem jak tym, że do głosu doszło pokolenie mające takie właśnie jak ja literackie skłonności. Jasne, że w takim układzie odium spada na Młodą Polskę jako na okres rozchwiania i niedokrwistości wiersza i na to wszystko co w Dwudziestoleciu było Młodej Polski (nieświadomą najczęściej) kontynuacją. Różnym wielkim nazwiskom zostawiam dobrodziejstwo mego zwątpienia :

może wrócę do nich, ale w tej chwili w ich utworach znajduję : mało pokarmu. Oto co dźwięczy w mojej pamięci :

...Gdzież Esik będzie,
Godniej zasiędzie,
Jak nie w Ostendzie
Królowej mórz.

,,Słówka'' Boya. Cóż mogę poradzić jeżeli one po prostu s bardziej niż uczony Miriam, niż he-he Przybyszewski, niż Te majer, niż ci wszyscy co płynęli ,,po oceanach czarnej kawy wysp ukojenia'' ?

Od Chicago do Tobolska pełna wrzasku ziemia polska...

Smutna prawda wesołków trwa, bo pisząc szopkę Zielone Balonika, rzucając żart, nikt nie może być pewnym czy w t sposób siebie nie utrwala, czy trud i męka poważnych natchni nie będą natomiast zapomniane. Powiedziane jest przecież ,,Nikt nie zna dróg do potomności/Jedno po samodzielnych b jach/Ani w świątyni jej nie gości/W tych, które wybrał sam p kojach''. (To Norwid).

I fragment innego wiersza mnie nawiedza. Powstał t wiersz mniej więcej w tym czasie co ,,Słówka'' Boya, trochę z ledwie później :

Spod końskich pysków słychać traw szczypanie,
Komarów zloty znad moczarów dźwięczą.

Czyż można w mniejszej ilości słów zawrzeć gęstość, m sistość wieczornego polskiego krajobrazu ? Napisał to Ludw Eminowicz, zapomniany poeta, który (wina jego czy warunkó nie spełnił zapowiedzi młodości.

Wraca też to — może dlatego, że słyszałem to raz z muzy jaką do ,,Słowa o Jakubie Szeli'' Brunona Jasieńskiego napi młody (wówczas) kompozytor :

Szumiał deszcz, płakał deszcz,
Umorusał szybki.
W ciasnej izbie świergoliły
Biadoliły skrzypki.

Czy dokładnie tak ? Luka w pamięci. Tylko jeszcze str chłopskiego tańca :

Tańcowała izba, stół,
Cztery konie, piąty wół...

Przychodzi też Józef Czechowicz :

Tych kijanek tych praczek
U potoczka
Kujawiak kujawiaczek
Siwe oczko śpij

Bura burza od boru
I jak bór dudni piorun
Rzucili na wodę
Złocisty kij

Przychodzą również linie ,,Pastorałki'' Tytusa Czyżewskiego i jak obecność, zapach południowych owoców, niezapomniany, litanijny jego wiersz o hiszpańskim mieście ,,Zaragozza Zaragozza''.

I ta wisielcza piosenka Gałczyńskiego :

Kartofle, ach kartofle
Powiedzcie Polsce mej
Że śpi pod wami wódka
Od której sercu lżej,
Kartofle, ach kartofle,
Po czemu dziś kartofle?

Nie chcę zresztą przedłużać tej wyprawy w krainę pamięci. Już kilka przykładów wskazuje, że zwracam się z upodobaniem ku linijkom które swoją uporczywość zawdzięczają oparciu o język potoczny, o piosenkę, a więc o to, co w epoce romantyzmu uważano za jedno ze znamion ,,poezji narodowej'' a co później, w XX-tym wieku, stało się elementem regenerującym mowę zmęczoną koturnowym (i międzynarodowym) tonem.



Młodzi poeci w których pokładaliśmy nadzieje : Gajcy (pseud. Topornicki), Baczyński (pseud. Bugaj), Stroiński (pseud. Chmura) zginęli w powstaniu. Historia poezji lat wojny jest do napisania : ten chaos, to skrzyżowanie wpływu wypadków i wpływu przedwojennych prestiżów działających na wyobraźnię pokolenia, które zaledwie wyszło z ławek szkolnych, nacjonalizm ożeniony z Brzozowskim, ONR z awangardą, filozofia egzystencjalna stosowana w praktyce przez tych co nigdy o egzystencjalizmie nie słyszeli, albo umieranie w imię stronic Heideggera, który w tym samym czasie gloryfikował religię pan-germanizmu. Potem, po ostatecznej przegranej Polski dwudziestolecia, nastąpił niedługi okres rozkwitu poezji — mówię : rozkwitu, świadomy jak mało dane było nam zaznać rozkwitów w historii i jak cenić należy drobne przebłyski umysłowej ruchliwości. Ten okres trwał od 1945 roku do 1948, może do 1949. Względny liberalizm, traktowany przez rządzących jako etap, był wskazany dlatego, że mieli oni inne kłopoty, a również dlatego, że poezja klęski przygotowywała znakomicie grunt pod planową uprawę. Czysto negatywna poezja ,,obrachunków inteligenckich'', gorycz zawodu, nienawiść do ,,londyńczyków'', doświadczenie nihilistyczne młodzieży — wszystko to miało i lokalne i bardziej ogólno-europejskie znaczenie. Jeżeli Tomasz Mann przeciwstawiał w swojej ,,Czarodziejskiej Górze'' liberała Settembriniego katolickiemu totaliście Naphcie, to poezja polska pierwszych lat po wojnie likwidowała szyderczo ich obu — a kto miał przyjść na ich miej-

sce? Na razie nie było odpowiedzi, było stwierdzanie, pisan epilogu. Formalnie — pojawiało się wiele udanych, a jeszc więcej nieudanych eksperymentów, pragnienie prostoty i kom nikatywności było powszechne i już to, że naśladownictwo z chodnich „smaczków" wydawało się czymś nieskromnym, d pomogło grupie literatów którzy wcześnie dostali instrukcje Partii w przeprowadzeniu generalnego ataku. Atak odbył się imię wskrzeszenia wartości pozytywnych tj. odbudowy, patri tyzmu, socjalistycznego budownictwa i w imię doskonalenia rz miosła poprzez powrót do klasycznej, jasnej formy wiersza. N zywam okres do r. 1949 rozkwitem na tej zasadzie, że lepiej je czasem patrzeć na chorego, zgarbionego człowieka, który pr gnie rozpaczliwie powrotu do zdrowia, niż na tego, kto w szty nym gorsecie ukrywa swoje kalectwo.



Mieczysław Jastrun nie należy do cyników. Komunizm, j ko środek ocalenia poezji i całego kulturalnego dziedzictwa a również ocalenia ludzkości — jest jego wiarą. W swoim s mieniu poety ma wiele drzwi na których wypisał sam : wst wzbroniony, ponieważ tak trzeba i ponieważ zaglądanie tam ps je dyscyplinę a nawet zdolne jest przyprawić o rozstrój nerw wy. Jego twórczość, przygłuszona przez zbyt błyszczące nazw ska przed wojną i przez chorobliwą atmosferę lat 1930-1939, z częła nabierać rozpędu w czasie, kiedy wróciwszy ze Lwow ukrywał się w okupowanej przez Niemców Warszawie. Pote wydawał tom za tomem, a równocześnie zabrał się do histo literatury, dając jako główną pozycję wielką biografię Micki wicza. Dzisiaj jest najpoważniejszym bodaj poetą w Polsce ten przymiotnik oznacza tutaj ciągłość wysiłku, stałą pracę n rzemiosłem, wszechstronność zainteresowań i względną wolno od płacenia miedziakami długu należnego linii partyjnej — możliwe jest tylko u poetów nad swoim Marksem myślącyc Do problemu tradycji klasycznego polskiego wiersza przystęp wał z tą zwykłą sobie, nieco namaszczoną, powagą.

Kiedyś, dawno przed wojną, kpili ze mnie poeci „awa gardy", że mówiąc o „klasycznym wierszu" mickiewiczowsk wycofuję się spośród „nieprzejednanych" i chcę schlebiać p bliczności, która zawsze na słowo „klasyczny" mlaszcze z chwytem. Tak się zdarzyło, że w wiele lat później moje skrom przeczucia znalazły nowe uzasadnienie i urzędowe poparcie i jako ironię osobistego losu muszę przyjąć, że nigdy nie mnie tam, gdzie coś realizuje się z tego do czego dążyłem bo realizuje się zawsze inaczej niż w marzeniu i nabiera mnie cech karykatury. Kiedy w Polsce, głównie po wypowie lingwistycznej Stalina, która dała „zielone światło" powroto do tradycji, zaczęto wiele pisać o języku narodowym, odróżn jąc jego główny nurt (np. Oświecenie, Mickiewicz) od boczny rozlewisk — miałem za sobą nie tylko własne przypuszcze

i próby, również lekturę pewnych prac nowoczesnych teoretyków wiersza. Rzecz dziwna, właśnie T.S. Eliot wprowadził rozróżnienie na ,,common language'' i literackie dialekty : za ,,common language'' uważał język zwykły, potoczny, najtrudniejszy do przekucia go w poezję i umiejętność władania nim przyznawał tylko nielicznym autorom żyjącym w szczególnych historycznych warunkach, wymieniając Wergilego i w Anglii (częściowo tylko) Pope'a, natomiast Milton jego zdaniem jest już ,,literacki''. Mybyśmy powiedzieli, że pełniejszym jeszcze przykładem autora władającego mową potoczną jest Mickiewicz. Eliot głosił chwałę języka potocznego na parę dziesiątków lat przed tym nim to stało się w Polsce modne dzięki wypowiedzi Stalina i dzięki temu, że ,,awangardowość'' języka stoi na przeszkodzie trafianiu do odbiorców, którzy powinni zostać urobieni. Gdyby ,,Poemat o mowie polskiej'' Jastruna pojawił się przed modą literacką stworzoną na sygnał, moglibyśmy mu przyznać wielką śmiałość poczynań — tak jak jest, idzie razem z innymi, starając się być dobrym wykonawcą (stwierdzając to, myślę o mało zbadanym zagadnieniu : w czym podobna i w czym różna jest ,,moda'' w Polsce dzisiejszej i moda np. na dworze Ludwika XIV-go). Ponieważ wykonuje pewne przepisy lepiej od innych, idąc za swoim przyrodzonym popędem autora nie-buntowniczego, realizującego się w konwencji, jego wiersze są bardziej od innych godne uwagi, jeżeli porównuje się dwa okresy : 1945-1949 i 1949-1953 ; pierwszy — likwidacji i drugi — ,,pozytywny''.

◆

W poszukiwaniu ,,głównego nurtu'' języka narodowego rozróżnia się dzisiaj w Polsce w poezji wieku Oświecenia tendencje żywe (plebejskie, postępowe) i kanon martwy, literackich salonów. Walka Mickiewicza z ,,salonem warszawskim'' ma ten właśnie sens, że nawiązywał do nurtu żywego a sprzeczność : pseudoklasycyzm-romantyzm zostaje zastąpiona dwiema parami sprzeczności : postępowy klasycyzm z postępowym romantyzmem przeciwko reakcyjnemu klasycyzmowi i reakcyjnej odnodze szkoły romantycznej. Język dzisiejszej poezji ma odzyskać siłę przez to, że sięga się poprzez rozpadową epokę końca XIX-go i początku XX-go wieku (epokę kapitalizmu w fazie imperializmu) ku żywym tradycjom mowy. Ta poezja ma być kontynuacją zdrowych pierwiastków (,,common language''), które zostały najpełniej utrwalone np. u Trembeckiego, Krasickiego, Mickiewicza. Kiedy przyjmiemy taką tezę, natychmiast pojawiają się dokuczliwe pytania.

Osobiście uważam, że malarstwo realistyczne jest więcej warte od dzieł abstrakcjonistów. Czy to znaczy że mogę przyznać wyższość dzisiejszemu malarstwu Moskwy nad malarstwem Paryża ? Wyrażając się inaczej, czy nie istnieją przy ,,powrotach'' granice trudniejsze do przekroczenia niż się to wydaje i czy nawet najbardziej dialektyczne sposoby nie są gwałceniem

tych granic, z zemstą opornego materiału jako wynikiem? Spra
wa nie jest bynajmniej prosta. Nie mieliby racji ci, którzy b
twierdzili, że zapatrzenie w jakikolwiek wzór dawnej dobrej sztu
ki, zachowującej szacunek dla anatomii ciała ludzkiego a w litera
turze dla przyzwoitej, zrozumiałej składni, musi prowadzić dzisia
do bezdusznego rzemieślnictwa. Trzeba jednak być świadomym
faktu, że każdy opis świata współistnieje w naszych czasac
z elementami jakie przyniósł postęp techniczny ostatnich stu la
a raczej z wielkim wszystkim poddanym ciągłej przemiani
Zmienia się rodzaj oporu i to, co kiedyś angażowało cały wys
łek artysty, traci swoją niewinność magicznego wywoływani
kształtów dotychczas nieutrwalonych. Grozi na każdym krok
pastiche : to znaczy pisze się czy maluje rzecz ładną, która s
podoba, bo jakżeby nie podobało się dzieło ,,mające głowę i n
gi'' ludziom znużonym sztuką ekscentryczną? Równocześn
jednak doznanie odbiorcy jest innego rodzaju niż przy dzie
które chwytało świat rzeczywiście — np. rymowany trzynast
zgłoskowiec kojarzy się z ,,Panem Tadeuszem'', na nim s
wspiera i czytelnik łatwo może nie zauważyć, że ta sieć do ł
wienia barw, brył, ruchu, jaką ma być wiersz nie zawsze je
prawdziwa, czasem służy tylko do dekoracji. Jednym słowe
największa wątpliwość powstaje w imię szacunku dla realizm
dla tej pełni przedstawienia, bez której nie warto w ogóle sztuk
się zajmować.

Wkład poetów aktywnych w okresie 1949-1953 jest niewą
pliwy jeżeli chodzi o rzemiosło wersyfikacyjne. Postawione z
stały problemy rymu klasycznego, asonansu ludowego, zaczę
tępić asonans zbyt dowolnych ,,podobieństw'', zwrócono uwag
na odmiany metrum, na dyscyplinę obrazu. Ważną w tych zai
teresowaniach rolę odegrała praca tłumaczy. Czy jednak, chc
nawiązać do zrozumiałej poezji przeszłości nie wpada się w zn
ną pułapkę? Może, negując poezję nowoczesną jako wytwór d
kadencji, prześlepia się sprzeczne nurty jakie na nią się skład
ją, chorobę i zdrowie potępia się na równi czyli ,,dziecko wylev
się z kąpielą''? Opowiadam się oczywiście za poezją prostą, k
munikatywną; pod warunkiem jednak, że praktykuje się ją b
jej zubożania, inaczej mówiąc, pod warunkiem że jest ona mo
liwa i że nie przebywa się w nowym ,,salonie warszawskim
głośno zapewniając że się w nim nie jest.



Pokazywałem ,,Poemat o mowie polskiej'' Jastruna komu
kto nie będąc Polakiem, zna jednak dobrze język polski. Dla i
formacji : duże wykształcenie literackie, ale poezja krajów k
munistycznych zupełnie nieznana. Zapytałem o zdanie.

— To bardzo ładne. Ale to retoryka.

— Co to jest retoryka?

— To jest niedostateczność istnienia.

Z tą definicją mógłbym się może zgodzić, choć właściv
sprowadza się do sądu, że retoryka to coś niedobrego. Czy poe

baroku — Andrzej Morsztyn na przykład — to retoryka? Sęp Szarzyński? Dzisiaj, w poezji nam bliższej rozpoznajemy retorykę po podejrzeniu jakie w nas się wkrada — podejrzeniu skierowanym przeciwko naszemu zachwytowi nad tym co jest ,,ładnie powiedziane''. Retoryka pojawia się być może wtedy, kiedy sieć wiersza jest użyta ,,na niby'', nie po to, żeby schwycić nienazwane dotąd rzeczy i sytuację, ale aby wdzięcznie uformować to co jest już znane.

Nie zgodziłbym się natomiast, że całą twórczość Jastruna da się załatwić mianem retoryki. Splątanie pierwiastków jest tutaj duże i jeżeli stale przechyla się w znacznej części swoich wierszy ku słowom tylko, to w innych, np. o dziecku, osiąga wysoki stopień pierworodności spojrzenia. Oto wiersz ,,W domu'':

Odkąd wszedłeś do domu mego, synku mały,
Wszystkie w nim rzeczy, wszystkie meble odmłodniały,
Graty, lary, penaty też poweselały.
I ożyły kąciki i na cztery strony
Chcą bawić się w chowankę. Tu kosz wywrócony,
Tam krzesło na poręczy stoi, książki z półek
Powyciągane, za to słychać świr jaskółek
Za oknem. Dom wiosennym wita bałaganem
Miłego gościa, który wstaje wczesnym ranem
Na niepojęte dla nas igraszki i gody,
Dziecko jutrzenki, mały posłaniec pogody;
Wśród niewidzialnych dla nas istot się porusza,
Pudełko z zapałkami, wstążka kapelusza
Bawią go, jakby żyła w nich zaklęta dusza;
Cieszy jego paluszki szklanki krawędź śliska,
Cieszy łyżeczka, która w szklanym wnętrzu błyska.
Gdybym ja tak uwielbiał ciała i przedmioty,
Gdybym miał jego oczy, jego czujny dotyk,
Jakim byłbym poetą! badaczem materii!
Gdy blask na jej powierzchni jak piana się perli,
Gdy osmala ją ciemność jak płomień bierwiona —
Dla niego każda rzecz jest na nowo stworzona,
Dla niego każde jabłko jest jabłkiem Newtona.
Sprawdza siłę ciężkości, ruch, odległość rzeczy
I tylko nie zna czasu, co wielki, człowieczy,
Już go napełnia, lecz on jeszcze nie wie o nim,
Rączkami i nóżkami, rzekłbyś, że się broni
Przed nim, co nam przynosi rozstania, spotkania
I u powiek zawiesza ciężar pożegnania —
Czas, cięższy niż powszechne prawo przyciągania
I spadania przedmiotów, nie podparty niczem.
Krwią go żywimy, otwieramy naszym życiem,
Z nami pada jak drzewo ścięte, w nas się rodzi
Na te lat kilkadziesiąt, na tysiące godzin.
Teraz wszedł w ciebie i wesoły rośnie z tobą
W domu, co jest ojczyzną twoją, twoją mową
I gwiazdką śniegu.

Wiersz ten powoduje u mnie następujące refleksje. Porównując rzemiosło poetyckie sprzed 1939 r., i Jastruna i innych poetów, z tym jakie dzisiaj umie się stosować, odkryje się całą

podejrzaną eteryczność Dwudziestolecia. Pierwsza linia nawią zuje jak mi się wydaje do ,,Trenów'' Kochanowskiego, zamias smutnego motywu biorąc radosny. Tam : ,,Wielkieś mi uczy niła pustki w domu moim'', tu : ,,Odkąd wszedłeś do dom mego synku mały''. Poza tym filiacje mickiewiczowskie są wi doczne. Mówiąc na wstępie tego artykułu, że ,,poeta żyje powtó rzeniem'', to właśnie, ten rodzaj powtórzenia miałem na myśl — nie automatyczne naśladowanie poprzedników i nie zużyci sentymentu publiczności do autorów, których się podrabia. Zwią zek z tradycją — pomimo wszelkich niebezpieczeństw, jest prze cie niezbędny i może, jak wskazuje zacytowany przykład, by płodny. Zastanawia mnie jeszcze ton zamyślenia (kiedyś recen zując Jastruna wspominano o Rilkem) i niezbyt ortodoksyjne uję cie czasu (Z nami pada jak drzewo ścięte, w nas się rodzi).

Wybrałem jeden z najlepszych wierszy w tomie, bo odczu wam niepokój ogólnej raczej natury. Nie chodzi mi o to, żeb podważać wartość poezji Jastruna. Subiektywne tło tego nie pokoju tłumaczy się sytuacją potępieńca, który ogląda bramy ra ju. Dostojeństwo, spokój, harmonia są więc poecie dostępne — myślę sobie — a osiąga się je wtedy, kiedy n i e c h c e s i p o w i e d z i e ć z a w i e l e. Czyż ja, wychowany na doś wariackich wierzeniach o misji poety, nie popełniam błędu zby wygórowanych wymagań? Ronsard, Kochanowski, poeci baro ku, czyż nie byli sztukmistrzami biorącymi gotowe (i uświęcon przez konwencję) tematy, poruszając się w wąskich ramach ład ności społecznie uznanej? Jakaż bezczelność potępiać tę mocn spróchniałą poezję dzisiejszego Zachodu, a równocześnie zarzu cać tak doskonałej technice jak Jastruna niedostateczne chwyta nie rzeczywistości, jeśli nie retorykę! Do czego dążę osta tecznie?

Mam jednak wynotowanych kilka wierszy Tadeusza Różewi cza, jednego z tych młodych, którzy publikowali w pierwszych la tach po wojnie swoje rozpaczliwe utwory. Sztuka? Nie wiem c to jest. Wiem, że czasem kilka kresek nagryzmolonych ręk dziecka wstrząsa nami silniej niż obrazy akademików. Wiem, ż nie każdej epoce dozwolone jest osiągnąć spokojną mądrość mi nistra Goethego. I porównuję urwane zdania Różewicza z pełni dojrzałego Jastruna.

Widzę szalonych którzy
chodzili po morzu
wierzyli do końca
i poszli na dno

teraz jeszcze przechylają
moją łódź niepewną

odtrącam te sztywne
dłonie okrutnie żywy

odtrącam rok za rokiem

Czy to jest symbolizm? Mniejsza o nazwy. Ten człowie woła o tych co w Polsce czekali cudu, a kiedy cud nie nastąpi

jeszcze prześladują przegraną wiarą swoich braci chcących żyć za cenę politycznego realizmu. I kto próbuje opowiedzieć treść tego wiersza, spostrzega że używa większej liczby słów niż użył sam autor. Jeżeli liczy się zamknięcie sugestywnego obrazu sytuacji historycznej w jednym, dwóch zdaniach, to Różewicz bije Jastruna : bólem i pasją. Sam obraz łodzi rozbitków nie jest niczym nowym; nabiera on jednak wyrazu, bo odtrącanie (czy odrąbywanie) rąk tych co czepiają się burty jest dla Różewicza niewygasającym konfliktem sumienia. Można o tym wierszu napisać cały traktat. ,,Przechylają moją łódź niepewną'' to inaczej się wyrażając, szukają mego towarzystwa, chcą mieć mnie ze sobą, a ja wiem, mogę się uratować tylko tępiąc to co mnie z nimi łączy. Jest to poezja zaliczana do ,,inteligenckich obrachunków'', jednak bardziej powszechnych spraw dotyka niż przeżycia młodzieży z AK; mamy tu do czynienia nie z wyborem, ale z ugięciem się przed koniecznością i skomplikowane doznania w niej zawarte sprawiają, że pozostaje i świadectwem i czymś więcej niż świadectwem.

Poezji Jastruna i innych autorów ,,pozytywnych'' (czy nie ,,dworskich'', z zastrzeżeniem że sztuka nadworna nie zawsze musi być zła) jest właściwe (a w każdym razie tego się wymaga) eliminowanie tragizmu, jakby przez to, że ma się zrealizować społeczeństwo idealne, zniknąć mogła śmierć, rozpacz osobista, bezsilność wobec cudzego cierpienia. Że aura społeczna jest odpowiedzialna za wiele ponurych stanów jednostki, nikt rozsądny nie będzie przeczyć. Ale nawet założywszy, że pełne więzienia i bunty robotnicze są niegodne aby poeta zapatrzony w wizję doskonałego świata przyszłości odwracał na chwilę głowę — nawet to założywszy, twierdzić że zmianie ulegnie sama condition ludzka jest to narażać się na ryk śmiechu wszystkich demonów piekieł.

Ty będziesz miał odpowiedź na wszystkie pytania
Którą mi czas mój krótki usłyszeć zabrania

powiada Jastrun do syna. A gdzie indziej :

I podniesiony do potęgi,
Nieznanej dotąd, człowiek będzie
Czytał z powietrza żywej księgi,
Z lądów i mórz zalanych słońcem.
Jeszcze przed wieku tego końcem
Ogromna tęcza łuk roztoczy,
Którą już tkacz cierpliwy przędzie.

Tkacz cierpliwy : Historia przez wielkie H.

Ty znał nie będziesz, synku mały,
Ciemności co nas otaczały,
Przerażeń wojny, zawsze głodnej,
Czynów szalonych, ślepych zbrodni,
Władców podobnych do pochodni...

Rzecz jest być może w tym, żeby odważyć się tak pisać. Co do mnie, to wiedząc, że bez nadziei człowiek nie może żyć

i że obowiązkiem pisarza jest pielęgnować nadzieję, pewniebym się nie odważył. Jest więcej niż prawdopodobne, że mój syn nie znajdzie odpowiedzi na wszystkie stawiane przeze mnie pytania. Za wielkość mego czasu i zadatek na epokę moich synów skłonny jestem uważać raczej ostrą świadomość naszych ograniczeń. Nie jedno pokolenie przeminęło od chwili w której Plato stworzył swoją metaforę jaskini i bardziej niż kiedykolwiek wiemy, że jesteśmy jej więźniami. Nie znaczy to, że nie robimy postępów choćby przez zdanie sobie sprawy jak bardzo iskra prawdy jest tworem między-ludzkim. Ale sfera tajemnicy raczej się rozszerza. Co do ,,władców podobnych do pochodni''... Być może że ten właśnie (a bardzo podstawowy) element poezji Jastruna usposabia do sądów, że jest retorem. Każda retoryka ma w sobie coś na wyrost, ciało nie wypełnia ubrania.

Tymczasem jednak mniejsi ludzie, rozporządzający krótkim tylko czasem do przeżycia, oddają się swoim nie-wzniosłym zmartwieniom. Wiersz Różewicza :

Odwróciła twarz do ściany

przecież mnie kocha
dlaczego odwróciła się ode mnie

więc takim ruchem głowy
można odwrócić się od świata
na którym ćwierkają wróble
i młodzi ludzie chodzą
w jedwabnych krawatach

Ona jest teraz sama
w obliczu martwej ściany
i tak już zostanie

zostanie pod ścianą
ogromniejącą
skręcona i mała
z zaciśniętą pięścią

a ja siedzę
z kamiennymi nogami
i nie porywam jej z tego miejsca
lżejszej niż westchnienie

Ja żywy.

Bardzo chorobliwy wiersz. Jeżeli go kocha, to dlaczego odwróciła się do ściany ? Tak nie powinno być. No, a jeżeli tak się zdarzy, to po co o tym pisać ? Jakie to ma właściwie znaczenie i kogo to obchodzi ?

Żeby porównać wiersze Jastruna o dziecku w których celuje z podobnym tematem u Różewicza :

Kanarek żółty
jak cytryna
w drucianym koszyku

babcia w czepku
złowiona
w siatkę zmarszczek

ojciec z czołem ukrytym
w chmurze dymu

chłopcy rżą
rozpuszczają grzywy na wiatr
biją kopytem
w niecierpliwą ziemię

matka chwyciła
wspaniałego rumaka
w białych szelkach
i całuje kwaśną mordkę
pełną szczawiu.

Pierwsza połowa wiersza jest moim zdaniem słaba. Ale dwie ostatnie zwrotki są bardzo dobre. Nie tylko jest tu obraz zabawy w której chłopcy naprawdę są końmi; również ukazuje się stosunek matki do dzieci, matka jest realna w swoim ruchu, bardziej niż gdyby, wzorem Jastruna, zostały opisane obszernie jej myśli. I kto wie, czy nie wolę widzieć taki skrót, niż szlachetną miłość do dziecka jako państwowotwórcze uczucie.

Poezja Różewicza została zahamowana w rozwoju przez wymagania urzędowe, Jastrun o nim i o wszystkich którzy chcieli uratować sztukę poetycką niedostatecznie poważną, mógłby powiedzieć, że ,,przechylają jego łódź niepewną''.



Każda pliszka swój ogon chwali. Ponieważ tak czy inaczej jestem związany z okresem ,,likwidacyjnym'', w nim tylko dopatruję się wartości, tak jak ,,dobre czasy'' dla podtatusiałego jegomościa to te w których był wodzirejem. Ale nie obawiam się takich posądzeń. Okres 1945-1949 jest pogrzebany na zawsze, jak pogrzebany jest Skamander, ,,awangarda'', poezja młodych okupacyjnej Warszawy. Sztuka nie może powstawać poza czasem, nie jest wolna od piętna, styl, język, gatunek wrażliwości (i niewrażliwości) znaczą ją datą i miejscem. Jednak czas to nie wszystko i cofająca się na zawsze fala jakiegoś okresu zostawia na brzegu kilka drogocennych substancji, nie tylko drzewo rozbitych okrętów. Istnieją artystyczne osiągnięcia, które są uwarunkowane zdechlizną, powstają jako protest przeciwko niej, jako bunt zdrowia, albo nawet jako przetworzenie zdechlizny w coś, co nią już nie jest. To właśnie myślę o niedalekiej przeszłości, martwiąc się, że zbyt liczni są ci co naśladują minione — i nie chcąc być do nich podobnym. Jeżeli używałem Różewicza do porównań, to dlatego, że nie wiele mam do rozporządzenia przykładów aby je przeciwstawić potokowi gładkich wierszy opiewających wzniosłe chęci. Wolałbym móc zacytować dużą

ilość nazwisk, cały Parnas pochlebnie opisać — niestety laury dziś rozdane budzą we mnie raczej ochotę, żeby uwolnić się od ich sugestii, co może jest przedszkolem wszelkiej krytyki.



Przewrót jaki odbywa się dzisiaj w polskiej mowie poetyckiej można chyba porównać z inwazją łaciny, która trzebiła słowiańsko-pogańską przeszłość i polszczyźnie narzucała swoją syntaksę. Wbrew twierdzeniom, że restytuuje się ,,główny nurt'' języka narodowego, mamy tu do czynienia z jeszcze jednym literackim dialektem, wszechwładnym, by odstępstwo od niego zostało utożsamione z opozycją polityczną. Dwudziestolecie też miało swoją konwencję, jeden czy kilka takich ,literackich dialektów'', jednak byli świadomi artyści, którzy szukali sposobów, żeby ich nie używać, podobnie jak poprzednio Boy w ,,Słówkach'' płatał figle Młodej Polsce. Józef Czechowicz dobierał swoją linię ciągłości w poezji mieszczańskiej siedemnastego wieku, w pieśni ludowej, w Lenartowiczu; Tytus Czyżewski w barwie jasełkowych widowisk; Gałczyński, anty-kosmopolita, używając dzisiejszej terminologii, przetapiał w swój polski barok cokolwiek ze świata pozbierał. Oprócz ,,lipy w wysokim stylu'' były te odnowienia — próbą odkrycia ,,common language''. na jaki epokę było stać.

Władza literackiego dialektu ma to do siebie, że wyłamanie się z pewnego żargonu uchodzi w krytyce i historii literatury za nieprzyzwoite (,,nienaukowe''), a w poezji odejście od wzorów przepisanych wygląda wtedy na niepotrzebne fantazjowanie (,,nierealistyczne''). Z jakimkolwiek jednak podziwem odniesiemy się do Kajetana Koźmiana i jego ,,tysiąca wierszy o sadzeniu grochu'', nie możemy nie uznać że ta, na znakomitych wzorach oparta, sztuka rymotwórcza wiele pozostawia do życzenia i że ,,Georgiki'' Wergilego są prawdopodobnie bardziej autentyczne. W poprzednim numerze ,,Kultury'' znalazłem reprodukcje obrazów amerykańskiego malarza Ben Shana (którego wystawę nb. starałem się swego czasu zorganizować w Polsce). Oglądając je, wolno się zastanowić czy język porozumienia malarza z widzem, poety z czytelnikiem, język naprawdę realistyczny, jest dziś do pomyślenia bez elementów ironii, sarkazmu, refleksji współczującej — tego wszystkiego co poetom, którzy jak Jastrun, tworzą w służbie optymizmu, jest niedostępne. Szkoda jaka wynika z tego dla całej przyszłości mowy polskiej jest duża, bo istnieje zjawisko automatyzmu literackich chwytów i młodzież wychowywana na tych wzorach zapomina stopniowo, że poezja jest nie tylko sprawą pięknej kompozycji, ale również prawdy zdobywanej w samodzielnych bojach. Co stanowi i stanowić będzie psychologiczną przeszkodę w formowaniu się rzeczywistego ,,common language''.

Czesław MIŁOSZ

Fragmenty dziennika

Poniedziałek.

Po 16-godzinnej, wcale znośnej jeździe autobusem z Buenos Aires (gdyby nie tanga, którymi ział głośnik !) — zielone wzgórza Salsipuedes i ja wśród nich z książką Miłosza pod pachą, której tytuł ,,Zniewolony Umysł''. Wobec tego, że wczoraj lało, dziś dobiegam z lekturą do końca. A więc to wam było sądzone, taki los wasz, taka droga, dawni znajomkowie, przyjaciele, towarzysze z Ziemiańskiej lub z Zodjaku — tu ja — tam wy — tak to wszystko się określiło, tak — zdemaskowało. Miłosz opowiada historię bankructwa literatury w Polsce gładko i jadę jego książką poprzez ten cmentarz potoczyście i równo, jak zaprzedwczoraj autobusem po wyasfaltowanej szosie.

Przerażający asfalt ! Nie przeraża mnie, że tempora mutantur, przeraża mnie, że nos mutamur in illis. Nie przeraża mnie zmiana warunków życia, upadek państw, zagłada miast i inne gejzery niespodzianek, tryskające z łona Historii, ale to, że facet, którego znałem jako Iksa, nagle staje się Igrekiem, zmienia sobie osobowość jak marynarkę i zaczyna działać, mówić, myśleć, czuć wbrew sobie samemu, napełnia mnie lękiem i zażenowaniem. To okropny bezwstyd ! To śmieszny zgon ! Stać się gramofonem, w który wsadzono płytę z napisem ,,His master's voice'' — głos mojego pana ? Cóż za groteskowy los tych pisarzy !

Pisarzy ? Oszczędzilibyśmy sobie wielu rozczarowań nie nazywając ,,pisarzem'' każdego, kto potrafi ,,pisać''... Znałem tych ,,pisarzy'' — były to osoby przeważnie niegłębokiej inteligencji i dość szczupłych horyzontów, które za mojej pamięci nie stały się kimś... wobec czego dziś nie mają właściwie z czego rezygnować. Te trupy odznaczały się za życia następującą właściwością : iż łatwo przychodziło im fabrykować swoje oblicze moralne i ideologiczne, zyskując w ten sposób pochwałę krytyki i poważniejszego odłamu czytelników. Ani przez pięć minut nie wierzyłem w katolicyzm Jerzego Andrzejewskiego, a po prze-

czytaniu kilku stronic jego powieści powitałem w kawiarni Zodjak jego cierpiętniczą i uduchowioną twarz miną tak wątpliwą, iż obrażony autor natychmiast zerwał ze mną stosunki — ale i katolicyzm i cierpienia i książka zostały przyjęte okrzykami ,,hosanna'' przez naiwniaków, biorących odgrzewaną siekaninę za krwisty befsztyk z polędwicy. Rozpijaczony nacjonalizm Gałczyńskiego, zresztą naprawdę utalentowanego, tyleż był war[t] co intelektualizmy Ważyków, czy też ideologia grupy ,,Prosto z mostu''. W kawiarniach warszawskich podobnie jak w kawiarniach całego świata, istniało wówczas zapotrzebowanie na ,,ideę i wiarę'', wobec czego pisarze z piątku na sobotę zaczynali wierzyć w to lub w tamto. Co do mnie, zawsze uważałem to za dziecińpstwo; a nawet udawałem że mnie to bawi, choć w głębi serca strach mnie zdejmował na widok tego wstępu do późniejsze[j] Wielkiej Maskarady. Wszystko to było przede wszystkim tanie i nie mniej tania była, w większości wypadków, ckliwa ludzkość rozmaitych kobiet, poetyckość Tuwima i grupy Skamandra, wynalazki awangardy, szały estetyczno-filozoficzne Peiperów, Braunów, oraz inne objawienia życia literackiego.

Duch rodzi się z imitacji ducha i pisarz musi naprzód udawać pisarza, aby w końcu stać się pisarzem. Literatura przedwojenna w Polsce była z małymi wyjątkami niezłą imitacją literatury, ale na tym koniec. Ci ludzie wiedzieli jaki powinien by[ć] wielki pisarz — ,,autentyczny'' — ,,głęboki'' — ,,konstruktywny'' — więc skwapliwie starali się spełnić te postulaty; ale psuła im zabawę świadomość, że to nie ich własna ,,głębia'' i ,,wzniosłość'' prze ich do pisania, ale że — na odwrót — wytwarzają w sobie owe głębie, aby być pisarzami. Tak dokonywał się ten subtelny szantaż wartościami i już nie wiadomo było czy ktoś nie głosi pokory po to jedynie, aby się wywyższyć i wybić, lub czy ktoś nie głosi bankructwa kultury i literatury po to, aby stać się dobrym literatem. Im większy zaś był wśród tych istot, spętanych własnymi sprzecznościami, głód prawdziwe[j] i czystej wartości, tym bardziej rozpaczliwe stawało się poczucie nieuchronnej i z zewsząd napierającej tandety. O, te inteligencje wypracowane, poziomy wyśrubowane, subtelności wyciągane za włosy, męki duszne dla czytelników! Jeden tylko był środek ażeby wydostać się z tego piekła: ujawnić rzeczywistość, obnażyć cały ten mechanizm i lojalnie uznać prymat ludzkiego prze[d] boskiem — lecz tego właśnie bała się i nie tylko nasza literatura, do tego za nic nie chcieli przyznać się literaci — choć t[o] jedynie mogło ich uzbroić w nową prawdę i szczerość. Oto powód dla którego polska literatura przedwojenna coraz bardzie[j] stawała się naśladownictwem. Ale zacny narodek, który ją bra[ł] na serio, bardzo zdziwił się widząc, jak jego ,,czołowi pisarze'' przyparci do muru przez moment dziejowy, poczęli zmieniać skórę, przyswoili sobie gładko nową wiarę i w ogóle zaczęli tańczyć jak im zagrano. Pisarze! Lecz właśnie w tym sęk, że byli to pisarze którzy za nic nie chcieli przestać być pisarzami, gotow[i] do najbardziej heroicznych poświęceń, aby tylko utrzymać si[ę] przy swym pisarstwie.

Wcale nie twierdzę, że ja, gdybym został poddany tym samym, co oni, ciśnieniom, nie zrobiłbym tej samej plajty i nawet uważam to za bardzo prawdopodobne — ale przynajmniej nie wygłupiłbym się, jak oni, gdyż byłem szczerszy w stosunku do siebie samego i mnie te absolutne wartości tak obficie nie dobywały się z gardła. Wówczas, w rojnych i gwarnych kawiarniach Warszawy, już jakbym przeczuwał zbliżający się dzień konfrontacji, ujawnienia i obnażenia, wskutek czego wolałem na wszelki wypadek unikać frazesów. A jednak nie wszystko jest bankructwem w tym bankructwie i dziś w książce Miłosza skłonny jestem szukać raczej nowych możliwości rozwoju niż znamion ostatecznej katastrofy. Interesuje mnie pytanie : jak dalece te ponure doświadczenia mogą zapewnić pisarzom Wschodu wyższość nad ich zachodnimi kolegami.

Albowiem jest pewne, że, w swoim upadku, górują oni w jakiś specjalny sposób nad Zachodem i Miłosz niejednokrotnie podkreśla swoistą siłę i mądrość, jaką zdolna jest zapewnić szkoła fałszu, terroru i konsekwentnej deformacji. Lecz Miłosz sam jest ilustracją tego swoistego rozwoju, gdyż jego spokojne, potoczyste słowo, które z tak śmiertelnym spokojem przypatruje się temu, co opisuje, ma smak pewnej specyficznej dojrzałości, nieco odmiennej od tej, która zakwita na Zachodzie. Powiedziałbym, że w swojej książce Miłosz walczy na dwa fronty : tu idzie nie tylko o to, aby w imię kultury zachodniej potępić Wschód, lecz także o to, aby Zachodowi narzucić własne, odrębne przeżycie, stamtąd wyniesione, i swoją nową wiedzę o świecie. I ten pojedynek, już nieomal osobisty, polskiego nowoczesnego pisarza z Zachodem, gdzie gra toczy się o wykazanie własnej wartości, siły, odrębności, jest dla mnie ciekawszy niż analiza spraw komunizmu — która, choć wyjątkowo przenikliwa, nie może już wnieść elementów absolutnie nowych.

On sam, Miłosz, kiedyś powiedział coś w tym rodzaju : że różnica pomiędzy intelektualistą zachodnim a wschodnim na tym polega, iż pierwszy nie dostał dobrze w d... W myśl tego aforyzmu atut nasz (włączam w to i siebie) stanowiłoby, że jesteśmy przedstawicielami *kultury zbrutalizowanej*, a więc bliższej życia. Ale Miłosz sam doskonale zna granice tej prawdy — i byłoby żałosne, gdyby nasz prestiż miał zasadzać się wyłącznie na tej zbitej części ciała. Gdyż zbita część ciała nie jest częścią ciała w stanie normalnym, a filozofia, literatura, sztuka muszą być jednak na użytek osób, którym nie powybijano zębów, nie podbito oczu i nie zwichnięto szczęki. I patrzcie na Miłosza, jak on — jednak — usiłuje przystosować swe zdziczenie do wymogów wyrafinowania.

Duch i ciało. Bywa że wygody cielesne wzmagają ostrość duszy i za zacisznymi firankami, w dusznym pokoju burżuja rodzi się surowość, o jakiej nie śniło się tym, którzy z butelkami rzucali się na tanki. A zatem nasza kultura zbrutalizowana przydałaby się tylko wówczas, gdyby stała się czymś przetrawionym, nową postacią prawdziwej kultury, przemyślanym i zorganizowanym wkładem naszym w ducha uniwersalnego.

Pytanie : czy Miłosz, czy literatura polska na wolności, s w stanie spełnić choć w części ten program ?

Piszę to wszystko w moim pokoiku i muszę już kończyć gdyż kolacja czeka na mnie w pensjonacie Las Delicias. Żegna więc chwilowo, dzienniczku mój, wierny psie mej duszy — al nie wyj — pan twój wprawdzie wydala się, ale powróci.

Środa.

Od pewnego czasu (i, być może, wskutek monotonii moje tutaj egzystencji) ogarnia mnie ciekawość, której nigdy dotą nie doświadczałem z tak wydestylowaną intensywnością — cie kawość, co zdarzy się za chwilę. Przed nosem moim — mu ciemności, z którego wyłania się najbardziej bezpośrednie zara jak groźne objawienie. Za tym rogiem... co będzie ? Człowiek Pies ? Jeżeli pies, jakiego kształtu, jakiej rasy ? Siedzę przy sto le i za chwilę objawi się zupa, ale... jaka zupa ? To tak zasad nicze doznanie nie zostało dotąd należycie opracowane prze sztukę, człowiek jako instrument przetwarzający Niewiadome w Wiadome, nie figuruje w liczbie jej naczelnych bohaterów.

Skończyłem książkę Miłosza.

Niezmiernie pouczająca i pobudzająca lektura dla na wszystkich, dla literatów polskich — także wstrząsająca. Be przerwy prawie myślę o tym, gdy jestem sam, i coraz mnie mnie interesuje Miłosz-obrońca zachodniej cywilizacji, a cora bardziej Miłosz-przeciwnik i rywal Zachodu. Tam, gdzie on usi łuje być odmienny od zachodnich pisarzy, jest dla mnie najważ niejszy. Wyczuwam w nim to samo, co we mnie tkwi, to jes niechęć i lekceważenie w stosunku do nich, zmieszane z gorzk bezsilnością. Zestawienie Miłosza z Claudelem,na przykład, al bo z Cocteau, albo nawet z Valerym, dziwne nasuwa wnioski Oto zdawałoby się, że pisarz polski, ten kolega Andrzejewskie go i Gałczyńskiego, bywalec Ziemiańskiej, dysponuje większym zasobem realizmu i bardziej jest ,,nowoczesny'' i, w dodatku bardziej swobodny duchowo, bardziej otwarty na rzeczywistoś i bardziej wobec niej lojalny; a dalej odnosi się wrażenie, że jes może bardziej jeszcze samotny; a dalej, że odrzucił resztki tyc złudzeń, jakich czepiają się jeszcze zachodni wieszczowie (gdy Valery, choć całkowicie wyprany z iluzji, nie przestał jedna być człowiekiem związanym z pewnym środowiskiem i z pew nym ładem społecznym — a Miłosz jest zupełnie wysadzon z siodła). Więc można by sądzić, że owa zbrutalizowana kultur dostarcza — i nie byle jakich — przewag. Lecz to wszystko ja gdyby niedoprowadzone do końca, niedopowiedziane, niekon solidowane i brak nam może tego ostatecznego uświadomienia które by nadało pełną odrębność i siłę naszej prawdzie. Brak nan klucza do naszej zagadki.

Jak drażni niejasność naszego stosunku do Zachodu ! Po lak, konfrontujący się ze światem wschodnim, jest Polakiem określonym i z góry wiadomym. Polak, zwrócony twarzą n

Zachód, ma mętne oblicze, pełne niejasnych gniewów, niedowierzenia, tajemnych zadrażnień.

Czwartek.

Pada deszcz i jest dosyć zimno. Wobec czego przez cały dzień czytałem Braci Karamazow w znakomitym wydaniu, obejmującym także listy i komentarze Dostojewskiego.

Piątek.

Poczta. R. przysłał mi listy i pisma, wśród nich ostatnia ,,Kultura''. Dowiaduję się z niej, że Miłosz otrzymał Prix Europeen za powieść, której nie znam : *La prise du pouvoir*. W tej samej ,,Kulturze'' — uwagi Miłosza o ,,Ślubie i Trans-Atlantyku''.

Sobota.

Większość nielicznych listów, które odbieram ex re Trans-Atlantyku, nie jest ani wyrazem protestu z powodu ,,obrazy najświętszych uczuć'', ani polemiką, ani nawet komentarzem. Nie. Jedynie dwa potężne zagadnienia trapią tych czytelników : jak śmiem pisać słowa z dużej litery w środku zdania? Jak śmiem używać słowa g...?

Co myśleć o poziomie intelektualnym i wszelkim innym poziomie osoby, która dotąd nie wie, że słowo zmienia się zależnie od tego, jak jest użyte — że nawet słowo ,,róża'' może stać się niepachnące, gdy jawi się na ustach pretensjonalnej estetki, a nawet słowo ,,g...'' może stać się doskonale wychowane, gdy posługuje się nim świadoma swych celów dyscyplina?

Ale oni czytają dosłownie. Jeśli ktoś używa wzniosłych słów — szlachetny; jeśli krzepkich — silny; jeśli ordynarnych — ordynarny. I ta tępa dosłowność panoszy się nawet na najwyższych szczeblach społeczeństwa — więc jakże marzyć o literaturze polskiej na szerszą skalę?

Wtorek (w dwa tygodnie później, po powrocie do Buenos Aires).

Otrzymałem list od Miłosza, w którym zawiera się następująca krytyka Trans-Atlantyku.

,,Przy okazji chcę podzielić się z panem myślą o pana pisaniu. Chwilami mam wrażenie, że postępuje pan jak Don Quijote, który nadawał życie swoiste wiatrakom i baranom. Z perspektywy krajowej (czy w ogóle tęgiego bicia, jakie się dostało) ,,Polacy'', których pan próbuje wyzwolić z polskości, są biednymi cieniami o niezwykle słabym stopniu istnienia... Inaczej mówiąc, postępuje pan czasami jakby tamto tj. cała ta likwidacja, straszliwie skuteczna, tam w Polsce, nie istniała, jakby Polskę zmiótł kataklizm księżycowy, a pan przychodził ze swoją

odrazą do niedojrzałej, prowincjonalnej Polski sprzed 1939 *r*
ku. Być może rozprawianie się na własną rękę jest potrzebn
a nawet konieczne, tylko że dla mnie to są ludzie zbyt grunto
nie już rozprawieni. I mnóstwo spraw jest gruntownie już ro
prawionych. To bardzo trudne zagadnienie, które polega na tyn
że marksizm likwiduje *(na tej zasadzie, na jakiej np. zburzen*
miasta likwiduje spory małżeńskie, troski o meble itd.)''

,,Ale tu jest jakaś nihilistyczna pułapka i przebywamy p
między chęcią przemawiania do ludzi w Polsce tj. tworzenia j
kiejś formacji post-marksistowskiej (która musi marksizm prz
trawić i wchłonąć) a chęcią zupełnie własnej, samodzielnej m
śli (która nie może liczyć się z temperaturą tam, w krajach po
bitych, panującą, realną jednak i zmieniającą zarówno przeszło
jak przyszłość). Kiedy pana czytam, zawsze o tej sprawie m
ślę...''

Na co odpisałem :

,,Drogi panie Czesławie,

,,Jeśli dobrze zrozumiałem, pan wysuwa przeciw ,,Tran
Atlantykowi'' dwa zastrzeżenia : że rozprawiam się z Pols
sprzed r. 1939, *która się ulotniła, pomijając Polskę obecną, P*
skę rzeczywistą; i że myśl moja zanadto, jak kot, chodzi wła
nymi drogami, że ja mam swój świat, który może się wydać c
meryczny albo przestarzały''.

,,Ale, jak słusznie pan mówi, ocenia pan tę sprawę z pe
pektywy krajowej. A ja nie mogę widzieć świata inaczej, j
tylko z własnej perspektywy''.

,,Ażeby wprowadzić pewien ład w moje uczucia, postan
wiłem sobie (i już bardzo dawno) że będę pisał tylko o włas
rzeczywistości. Nie mogę pisać o Polsce obecnej, ponieważ
nie znam. Ten ,,pamiętnik'' jakim jest mój ,,Trans-Atlantyk
dotyczy przeżyć moich z roku 1939, *w obliczu ówczesnej p*
skiej katastrofy''.

,,Czy takie rozprawianie się z Polską przeszłą może być w
ne dla Polski obecnej? Wspomina pan w liście don Kiszota
a ja myślę sobie, że Cervantes pisał don Kiszota, aby rozp
wić się ze złymi romansami rycerskimi swojego czasu, z który
nie zostało ani śladu. A don Kiszot pozostał. Z czego nau
taka, i dla skromniejszych autorów, że o rzeczach przemija
cych można pisać w sposób nieprzemijający''.

,,Poprzez Polskę z 1939-*go ,,Trans-Atlantyk'' celuje*
wszystkie Polski teraźniejszości i przyszłości, gdyż mnie id
o przezwyciężenie formy narodowej, jako takiej, o wypraco
nie dystansu do wszelkiego ,,stylu polskiego'', jakiby on
był. Dziś Polacy w Kraju też poddani są pewnemu ,,stylowi p
skiemu'', który tam rodzi się pod presją nowego życia zbio
wego. Za 100 *lat, jeśli pozostaniemy narodem, wytworzą*
wśród nas inne formy i późny wnuk mój będzie się buntował pr
ciw nim, podobnie jak dziś ja się buntuję''.

,,Atakuję formę polską, ponieważ to jest moja forma... i ponieważ wszystkie moje utwory pragną być w pewnym sensie (w pewnym — bo to tylko jeden z sensów mojego nonsensu) rewizją stosunku współczesnego człowieka do formy — formy, która nie wynika bezpośrednio z niego, tylko tworzy się ,,między'' ludźmi. Nie potrzebuję chyba panu mówić, że myśl ta wraz ze wszystkimi jej rozgałęzieniami jest dzieckiem czasów dzisiejszych, w których ludzie z całą świadomością przystąpili do formowania człowieka — a mnie się zdaje nawet, że jest kluczową dla dzisiejszej świadomości''.

,,Ale, choć nic nie przeraża mnie bardziej, niż anachronizm, wolę nie wiązać się zanadto z hasłami dnia dzisiejszego, które zmieniają się szybko. Uważam, że sztuka powinna trzymać się raczej z dala od sloganów i szukać własnych dróg, bardziej osobistych. W utworach artystycznych najbardziej mi się podoba to tajemnicze odchylenie, które sprawia, że utwór, przylegając do swojej epoki, jest jednak dziełem wyodrębnionej jednostki, żyjącej własnym życiem''...

Podaję tę wymianę listów, aby wprowadzić czytelnika w rozmowy takich jak Miłosz i ja literatów, szukających — każdy po swojemu — swojej linii pisarskiej. Muszę jednak uzupełnić to pewnym komentarzem. List mój do Miłosza byłby o wiele szczerszy i pełniejszy, gdybym zawarł w nim tę prawdę, że mnie bynajmniej tak bardzo na tych tezach, drogach, problemach nie zależy; że wprawdzie zajmuję się tym, ale raczej od niechcenia; a w gruncie rzeczy jestem przede wszystkim *dziecinny*... Czy Miłosz także jest *przede wszystkim* dziecinny ?

Środa.

Miłosz jest pierwszorzędną siłą. To pisarz o jasno określonym zadaniu, powołany do przyśpieszenia naszego tempa, abyśmy nadążyli epoce — i o wspaniałym talencie, znakomicie przystosowany do wypełnienia tych przeznaczeń swoich. Posiada on coś na wagę złota, co nazwałbym ,,wolą rzeczywistości'', a zarazem wyczucie punktów drastycznych naszego kryzysu. Należy do nielicznych, których słowa mają znaczenie (jedyne co może go zgubić, to pośpiech).

Ale pisarz ten przetworzył się obecnie w speca od Kraju, a zatem i od komunizmu. Tak jak rozróżniłem Miłosza Wschodniego i Zachodniego, tak też może należałoby zrobić rozróżnienie między Miłoszem-pisarzem ,,absolutnym'', a Miłoszem-pisarzem obecnego tylko momentu dziejowego. I właśnie Miłosz Zachodni (to jest ten, który w imię Zachodu osądza Wschód) jest Miłoszem mniejszego kalibru i bardziej doraźnym. Miłoszowi Zachodniemu można postawić szereg zarzutów, które dotyczą właściwie całego tego odłamu literatury dzisiejszej, żyjącej jednym tylko problemem : komunizm.

Pierwszy zarzut taki : że oni *przesadzają*. Nie w tym znaczeniu że wyolbrzymiają niebezpieczeństwo, ale w tym, że na-

dają tamtemu światu cechy demonicznej nieomal wyjątkowośc czegoś niebywałego a zatem i zaskakującego. A to podejśc nie da się pogodzić z dojrzałością — która, znając istotę życi nie pozwala się zaskoczyć jego zdarzeniom. Rewolucje, wojn kataklizmy — cóż znaczy ta pianka w porównaniu z fundame talną grozą istnienia? Mówicie, że dotychczas czegoś podobn go nie było? Zapominacie, że w najbliższym szpitalu dzieją s niemniejsze okrucieństwa. Mówicie, że giną miliony? Zapom nacie, że miliony giną bez przerwy, bez chwili wytchnienia, początku świata. Przeraża was i zdumiewa tamta groza, poni waż wyobraźnia wasza zasnęła i zapominacie, że o piekło oci ramy się na każdym kroku.

Jest to ważne — gdyż komunizm może być skutecznie os dzony tylko z punktu widzenia najsurowszej i najgłębszej egzy tencji, nigdy — z punktu widzenia życia powierzchownego i zł godzonego — mieszczańskiego. Ponosi was, właściwa artystom chęć wyjaskrawienia obrazu, nadania mu możliwie największ wyrazistości. Stąd literatura wasza jest wyobrzymieniem kom nizmu i budujecie w wyobraźni zjawisko tak potężne i tak w jątkowe, iż nie wiele brakuje, abyście padli przed nim na k lana.

Pytam więc, czy nie byłoby zgodniejsze z historią i z nas wiedzą o świecie i człowieku, gdybyście potraktowali ten świ zza kurtyny nie jako świat nowy, niesłychany, demoniczny, le tylko jako zaburzenie i spaczenie zwyczajnego świata; i gd byście nie zatracali właściwej proporcji pomiędzy tymi konwu sjami wzburzonej powierzchni a nieustannym, potężnym i głęb kim życiem, które toczy się pod spodem?

Drugi zarzut: sprowadzając wszystko do tej jednej ant nomii pomiędzy Wschodem a Zachodem musicie — bo jest ni uniknione — ulec schematom, które sami stwarzacie. I ty bardziej, że niepodobna rozróżnić co jest w was dążeniem prawdy a co dążeniem do mobilizacji psychicznej w tej walc Nie chcę powiedzieć przez to, że uprawiacie propagandę — ch powiedzieć, że odzywają się w was głębokie instynkty zbior we, które dziś każą ludzkości skupiać się na jednym tylko z gadnieniu, przygotowywać się do jednego tylko boju. Płyniec z prądem wyobraźni masowej, która już stworzyła sobie sw język, swoje pojęcia, obrazy i mity, i prąd ten unosi was da niżbyście pragnęli. Ile jest w Miłoszu z Orwella? Ile w Orwel z Koestlera? Ile w nich obu z tych tysięcy i tysięcy słów, któ dzień w dzień produkują — na ten sam temat — maszyny dr karskie, co bynajmniej nie jest sprawą dolara amerykańskieg ale wynika z samej natury naszej, która życzy sobie świata zd finiowanego? Bezmiar i bogactwo życia streszcza się w was kilku zagadnień i operujecie koncepcją świata uproszczoną, ko cepcją o której doskonale wiecie, że jest tymczasowa.

Otóż wartość czystej sztuki polega na tym, że ona rozb schematy.

A trzeci zarzut jest jeszcze bardziej dotkliwy: komu pr gniecie służyć? Jednostce czy masie? Gdyż komunizm to co

co podporządkowuje człowieka zbiorowości ludzkiej, z czego wniosek, że najesencjonalniejszym sposobem walki z komunizmem jest wzmocnienie jednostki przeciw masie. A jeśli jest aż nadto zrozumiałe, że polityka, że prasa, że literatura doraźna i obliczona na praktyczny efekt pragną wytworzyć siłę zbiorową zdolną do walki z Sowietami, to jednak zadanie sztuki poważnej jest inne — i ona albo pozostanie na wieki tym czym była od początku świata, to jest głosem jednostki, wyrazicielem człowieka w liczbie pojedyńczej, albo zginie. W tym sensie jedna strona Montaigne'a, jeden wiersz Verlaine'a, jedno zdanie Prousta są bardziej ,,antykomunistyczne'' niż oskarżający chór jaki stanowicie. Są swobodne — są wyzwalające.

I wreszcie czwarty zarzut : sztuka prawdziwie ambitna (gdyż te zarzuty nie dotyczą byle kogo, ale jedynie twórców o aspiracjach na wysoką miarę, tych którzy nie rezygnują z miana artystów) musi wyprzedzać swój czas, być sztuką jutra. Jak pogodzić to kapitalne zadanie z aktualnością, to jest z dzisiejszością ? Artyści są dumni, że ostatnie lata niezmiernie poszerzyły ich wyobrażenie o człowieku — i do tego stopnia, że w porównaniu z tym niedawno zmarli autorzy wydają się naiwni — lecz wszystkie te prawdy i półprawdy zostały im dane po to jedynie, aby je przezwyciężyli i odkryli inne, które za nimi się kryją. Sztuka zatem musi być burzycielką dzisiejszych pojęć w imię pojęć nadchodzących. Ale te nowe, nadchodzące smaki, jutrzejsze uczucia, czekające nas stany duchowe, koncepcje, emocje — jakże mogą urodzić się pod piórem, które dąży jedynie do konsolidacji dzisiejszej wizji, dzisiejszych sprzeczności ? Uwagi, jakie Miłosz zamieścił w ,,Kulturze'' o moim dramacie stanowią niezłą tego ilustrację. Dostrzegł on w ,,Ślubie'' to co jest ,,na czasie'' — rozpacz i jęk wskutek poniżenia godności ludzkiej i gwałtownego krachu cywilizacji — ale nie dostrzegł jak dalece rozkosz i zabawa czają się za ową dzisiejszą fasadą, gotowe w każdej chwili wywyższyć człowieka ponad jego klęski.

Stopniowo zaczynamy się przesycać dzisiejszymi uczuciami. Symfonia nasza zbliża się do momentu, w którym wstaje baryton i intonuje : bracia, rzućcie swe pieśni, inne niech zabrzmią tony ! Ale śpiew przyszłości nie urodzi się pod piórem, zanadto związanym z czasem teraźniejszym.

Byłoby głupie, gdybym występował z pretensjami do ludzi, którzy, widząc pożar, uderzają w dzwony. Nie takie są moje intencje. Ale mówię : niech każdy robi to, do czego jest powołany i uzdolniony. Literatura ciężkiego kalibru musi strzelać na daleką metę i dbać przede wszystkim o to, aby nic nie osłabiło jej zasięgu. Jeśli chcecie aby pocisk daleko zaleciał, musicie lufę skierować do góry, na pozór o wiele wyżej waszego celu.

Piątek.

Nowy numer ,,Wiadomości'', a w nim mój ,,Bankiet''. Oraz ,,pochlebny'' artykuł o Miłoszu. Czytam : ,,Zniewolony Umysł'' to wielkie odpompatycznienie literatury emigracyjnej. Dalej :

pewne rozdziały Miłosza ,,ze znanych mi rzeczy przypominają m najbardziej sposób pisania Prousta, tylko że są od dzieł Proust lepsze''. Dalej taki ustęp : ,,Reszta rozdziałów — to teorie his toryczno-ekonomiczno-filozoficzne wyraźnie przerastające zasó wiedzy autora. To aforyzmy doskonale wypowiedziane, którym brak podstaw wiedzy i nauki : pretensje tej książki wyrastaj o wiele ponad jej wartość realną''.

Obawiam się, że pretensje tej recenzji wyrastają o wie ponad jej wartość realną. Jeśli literatura emigracyjna jeszcze po trzebuje ,,odpompatycznienia'' i jeśli to ma być główna zasług Miłosza, to... no to lepiej nie wspominać o Prouście, który bąd co bądź ma na głowie mniej elementarne kłopoty. Ale w ogół zestawienie Miłosza z Proustem jest zdolne wprawić czytająceg w pomieszanie wszystkich zmysłów i wydrzeć mu okrzyk w ro dzaju : co ma piernik do wiatraka ? Co ma kur do indyka ?

To jednak mniej ważne. Godniejszy uwagi jest trzeci passu przeze mnie cytowany. Któż, panie Mackiewicz, z literatów, któ z ludzi wykształconych, któż z mędrców nawet posiada w nale żytym komplecie te ,,podstawy wiedzy i nauki'' ? Czy nie jes tak, że biblioteki nasze przerosły naszą pojemność, że wszysc jesteśmy mniej lub więcej ignorantami i że jedyne co nam po zostaje, to z najlepszą wolą posługiwać się tym zasobem wiedzy jaki posiadamy. A więc człowiek wybitnej inteligencji, jak Mi łosz, nie ma prawa opowiedzieć po prostu swych najbardziej oso bistych przeżyć, ani szukać w nich tej prawdy, na jaką go stać aby mu nie powiedziano, że jest pretensjonalny, że jest zarozu miały i ignorant ? W szóstej klasie byłem członkiem Klubu Dys kusyjnego i przypominam sobie, że to były najbardziej morder cze zarzuty — tym bardziej mordercze, iż jak piłka były odsy łane z powrotem : — To nie ja, to ty jesteś zarozumiały igno rant !

I skąd on wyciągnął to o teoriach historyczno-ekonomiczno filozoficznych, które rzekomo stanowią większą część książki Zaprawdę, pisze się o książkach byle co.

Stosunek mój do ,,Wiadomości'' (także do ,,Kultury'') i d St. Mackiewicza jest skomplikowany. ,,Wiadomości'' uważam za znakomity i niezwykle pożyteczny tygodnik, a Mackiewicz czytam z najżywszą przyjemnością, nawet gdy mnie drażni — a przygniatająca łatwość z jaką publicystyka literacka rozprawi się z literaturą pobudza mnie do oporu. W samej naturze pras literackiej zawiera się coś co literaturze musi stanąć kośc w gardle.

Czwartek.

Kiedyś tłumaczyłem komuś iż, aby należycie odczuć ko miczne zaiste znaczenie jakie dla człowieka ma człowiek, nale wyobrazić sobie co następuje : jestem zupełnie sam na pustyn nigdy nie widziałem ludzi, ani nie domyślam się, że inny czł wiek jest możliwy. Wtem ukazuje się w polu mego widzen istota analogiczna, a jednak nie będąca mną — ta sama zasad

wcielona w obce ciało — ktoś identyczny a jednak obcy — i ja doznaję jednocześnie cudownego uzupełnienia i bolesnego rozdwojenia. Ale nad wszystkim góruje jedno objawienie : stałem się nieograniczony, nieprzewidziany dla siebie samego, pomnożony we wszystkich możliwościach swoich tą obcą, świeżą a jednak identyczną siłą, która zbliża się do mnie jak gdybym to ja sam do siebie przybliżał się z zewnątrz.

Aby zakończyć rozważania nad Miłoszem : usiłuję zrozumieć jaka może być ta idea kluczowa, którą nasze wschodnie doświadczenia mogą przynieść Zachodowi, jaki może być wkład nowoczesnej literatury polskiej w literaturę zachodnią.

Zapewne ujmę tę rzecz nieco subiektywnie. Nie jestem specjalistą od myślenia i nie ukrywam, że myśl jest dla mnie tylko pomocniczym rusztowaniem. Chcę powiedzieć jedynie, jakie struny potrąca we mnie tamta nasza, wschodnia, rzeczywistość.

Wierzącemu komuniście rewolucja wydaje się triumfem rozumu, cnoty i prawdy, więc dla niego nie ma w niej nic co by odbiegało od normalnej linii postępu ludzkiego. Natomiast ,,poganinowi'' jak mówi Miłosz, rewolucja przynosi inną świadomość, którą zawarł on w następującym zdaniu : że człowiek może zrobić wszystko z człowiekiem.

W tym mieści się to coś, co nas, literatów wschodnich, zaczyna z grubsza dzielić od Zachodu. (Zauważcie jak jestem ostrożny. Mówię : ,,z grubsza'', ,,zaczyna''). Zachód żyje, pomimo wszystko, wizją człowieka odosobnionego i absolutnych wartości. Nam zasię w sposób bardziej namacalny poczyna objawiać się formuła : człowiek plus człowiek, człowiek pomnożony przez człowieka — i nie należy bynajmniej łączyć jej z jakimkolwiek kolektywizmem. Buber, żydowski filozof, wcale nieźle określił to mówiąc, że dotychczasowa indywidualistyczna filozofia już się wykończyła i że największym rozczarowaniem, jakie oczekuje ludzkość w najbliższej przyszłości, będzie bankructwo filozofii kolektywnej, która ujmując jednostkę jako funkcję masy, poddaje ją w rzeczywistości abstrakcjom takim jak klasa społeczna, państwo, naród, rasa ; a dopiero na trupach tych światopoglądów urodzi się trzecie widzenie człowieka : człowiek w związku z drugim, konkretnym człowiekiem, ja w związku z tobą i z nim...

Człowiek poprzez człowieka. Człowiek względem człowieka. Człowiek stwarzany człowiekiem. Człowiek spotęgowany człowiekiem. Czy to moje złudzenie, że widzę w tym utajoną nową rzeczywistość ? A przecież, rozważając te nieporozumienia, które wyrastają obecnie pomiędzy nami a Zachodem, zawsze natykam się na tego ,,drugiego człowieka'' podniesionego do kategorii potęgi stwarzającej. Można to zawrzeć w dwudziestu rozmaitych definicjach, wypowiedzieć na sto pięćdziesiąt sposobów, lecz pozostanie faktem że nam, synom Wschodu, zaczyna topnieć w rękach problem indywidualnego sumienia, którym tuczy się jeszcze połowa literatury francuskiej, a Lady Macbeth i Dostojewski stają się niewiarygodni... że co najmniej połowa tekstów rozmaitych Mauriac'ów wydaje się nam na księżycu na-

pisana, a w głosach Camusa, Sartre'a, Gide'a, Valerego, Elio-ta, Huxleya wyczuwamy niestrawne luksusy, pozostałości z cza-sów, które dla nas się skończyły. A te różnice stają się w prak-tyce tak wyraźne, że ja, na przykład (i mówię to bez najmniej-szej przesady) nie jestem w ogóle w stanie rozmawiać o sztu-ce z artystami — gdyż Zachód, wierny dotąd swym absolutnym wartościom, jeszcze wierzy w sztukę i w rozkosze, jakich ona nam przysparza, dla mnie zaś rozkosz ta jest narzucona, ona ro-dzi się między nami — i tam gdzie oni widzą człowieka klęczą-cego przed muzyką Bacha, ja widzę ludzi, którzy wzajemnie zmuszają się do uklęknięcia i do zachwytu, rozkoszy, podziwu. Więc takie widzenie sztuki musi odbić się na całym moim z ni obcowaniu i ja inaczej słucham koncertu, inaczej podziwiam wielkich mistrzów, inaczej oceniam poezję.

I tak jest ze wszystkim. Jeżeli to nasze odczuwanie nie wy-dostało się jeszcze z nas z dostateczną siłą, to ponieważ jeste-śmy niewolnikami odziedziczonego języka; lecz coraz silniej prze-szczeliny formy przenika ono na powierzchnię. Co narodzi się, co *mogłoby* narodzić się w Polsce i w duszach ludzi zrujnowa-nych i zbrutalizowanych, gdy pewnego dnia zniknie i ten nowy porządek, który zdławił stary, i nastąpi Nic? Oto obraz: do-stojna budowla tysiącletniej cywilizacji runęła, cicho i pusto, a na gruzach — rój szarych i drobnych istot ludzkich, które nie mogą jeszcze otrząsnąć się ze zdumienia. Albowiem runął ich kościół i te ołtarze, te malowidła, witraże, posągi, przed który-mi oni klękali, to sklepienie, które ich chroniło, już zamienione w gruz i pył, a oni — w całej nagości swojej, obnażeni. Gdzie się schronić? Co wielbić? Do kogo się modlić? Kogo się lękać? W czym umieścić źródło natchnienia i siły? Czyż byłoby dziwne, gdyby oni w sobie ujrzeli jedyną siłę stwarzającą i jedyne do-stępne im Bóstwo? To jest droga, która prowadzi od uwielbie-nia wytworów ludzkich do odkrycia człowieka, jako decydującej i nagiej potęgi.

Mieszkańcy wspaniałego gmachu cywilizacji zachodniej po-winni przygotować się na inwazję ludzi bezdomnych, z ich no-wym wyczuciem człowieka... która nie nastąpi. Tak. W tej chwili zmieniłem zdanie. Gdyż Bułgar nie ufa Bułgarowi, Buł-gar gardzi Bułgarem, Bułgar Bułgara ma za... (tu trzeba by użyć słynnego wykropkowanego słowa). My zatem nikomu nie narzucimy naszego uczucia, ponieważ uczuć naszych nie bie-rzemy na serio. I byłoby zbyt dziwne, gdyby takie widzenie czło-wieka urodziło się wśród ludzi, którzy siebie lekceważą.

Wtorek.

Inna recenzja, tym razem w „Orle Białym", o „Trans-Atlantyku i Ślubie". Jan Ostrowski. Jeżeli ja nic nie mogę zro-zumieć z tych zdań z powykręcanymi członkami, rozczochranych, niedomytych i ziejących dzikim bełkotem, cóż zrozumieją inni?

„Jak zwykle, awangardowe czujki literatury trafiają przede wszystkim w wypiętą „pupę", na rzeczy najdrastyczniejsze".

„Sądząc z jego oświadczeń, problematyka Gombrowicza polega na... objawieniu cząstkowej doskonałości".

„Gombrowicz z importera nowinek literackich podczas wojny przeistoczył się w eksportera polskich wyrobów piśmiennictwa".

Albo taki byk gramatyczny :

„Gotową książkę, jako dzieło sztuki, teorie autora nie rozgrzeszają".

Trzy szpalty tego niechlujstwa. Ostrowski jest, o ile mi wiadomo, kierownikiem działu literackiego w „Orle". W istocie, ten artykuł mógł zostać zakwalifikowany do druku tylko i wyłącznie przez osobę, która go napisała.

Dlaczego zniewolony umysł pana redaktora daje kuksy mojej książce i podszczypuje ją jak może ? Szukałem tego sekretu i znalazłem go w następującym zdaniu : „Splugawił" siebie i emigrację... „Na razie dostaje polemiczne cięgi, dawki znieczulającego milczenia". Pan Ostrowski uznał, że polemiczne cięgi są skuteczniejsze, choć osoby, które nie umieją mówić powinny by raczej wybierać znieczulające milczenie. Milczenie na mój temat, panie Ostrowski, jest bardziej mordercze w ustach, które stać tylko na głupstwo.

Co począć z uroczym zjawiskiem „felietonisty" w typie p. Ostrowskiego ? Rozkoszny kibic, który w kilku słowach rozbija światopoglądy, udziela pouczeń, odkrywa prawdy, kształtuje, konsoliduje, formuje, demaskuje, konstruuje, lansuje, orientuje... Opieprzy swój felieton nawet Bogiem, ale, Bogiem a prawdą, nie idzie mu wcale o Boga, a jedynie o to, żeby komuś wsadzić szpilę w... Cóż go upoważnia do takiego nadużywania imienia boskiego oraz nadużywania tylu poważnych nazwisk, którymi naszpikował swój felieton, i nadużywania dobrej wiary czytelnika ? Co ? Oczywiście — zdrowe ideały. Ale ja, który jestem niecny burzyciel i cynik, wiem że nie ma nic łatwiejszego niż mieć zdrowe ideały. To potrafi byle kto. Zdrowe ideały ma każdy — oczywiście, we własnym przekonaniu. Te zdrowe ideały, to klęska, choroba, przekleństwo naszego nierzetelnego stulecia. Ostrowski to mikrob tej właśnie choroby, której diagnozę daje nam Miłosz — tak to małe przyczyny wywołują potworne skutki. Nie sztuka mieć ideały, sztuka — w imię bardzo wielkich ideałów nie popełniać bardzo drobnych fałszerstw.

Witold GOMBROWICZ

Siedem urywków ze Słownika Biograficznego

KOMPOZYTOR

gdy się począł
we wczesny poranek niedzielny
wyścielany kilimami jesieni
harmonia sfer
był w fazie
najbardziej niezwykłych zestawień
na liniach zodiaku
mistrz liczb
czas
kunsztowny rysował kontrapunkt

w czasie żywotonosin
macierzy w obu uszach
dzwonił niebiański przegłos
potem na falach kołysanki
siadały kołyszące się
świegoty wróbli

staroświecki zegar
całemu życiu
rzeźbioną wskazówką
zaszczepił
najniezawodniejszy rytm

lat trzydzieści się tułał
po pustkowiach biedy
gdy wrócił
tłumaczył na język płomienny
(język zesłańców na wyspy
poszukiwań
najbardziej zaklętych)

pieśni podsłuchane
podpatrzone w deszczu
w tajnych obradach milczenia

pod jesień żywota
z drzew powodzenia
złociste czeki
spadały mu jak liście

spisał dwanaście ksiąg
z nutowymi przepisami
jak warzyć
odwar smutku
w naczyniach muzyckich

POETA LAUREAT

był kołodziejem nasamprzód
kół błędnych w antylogicznej wozowni
siodlarzem siodeł misternych
dla snów
galopujących na oślep
szewcem
co butom siedmiomilowym
bajkarskie zelował podeszwy

pojęli go
rajcy miejscy
w laurową pętlicę
uwikłali w sidła uśmiechów
gdy głowę zamyśloną wychylał niebacznie
jadąc najstromszym tramwajem
ku górnym przystankom szaleństwa

potem na smyczy pochwalnej
wodzili go w procesjach sztandarnych
(w każdym pochodzie są cielce
w każdym obchodzie pogaństwo)

umarł za życia w dosycie
w sam dzień jubileuszu
gdy z niebios otwartych wiosennych
spadała ulewa metafor
zdławiła jubilata tej wiosny
dusznica zamknięta bolesna

buty siedmiomilowe
można teraz oglądać za darmo
w gablotce miejskiego muzeum

ZAŁOŻYCIELKA OGRÓDKÓW DLA DZIECI

nie miała majątku wdzięków
ani gotówki zalotów
i nigdy żaden mężczyzna
w jej banku dziewiczym
nie otworzył konta uczuć

lecz macierzyńska dobroć
nie zużyta
mnożyła się w jej łonie
procentem składanym

zbudowała domki kwietne
by życie
dziatwie podmiejskiej upszczelić

w jesień
miodową lipową
osiemdziesiątą piątą
umarła srebrnowłosa
królową pasieki

PODRÓŻNIK

po afrykach obłędnych
i praszczurzych azjach
szukał ucieczki
od nud pierworodnych

był żeglarzem-lotnikiem
nurkiem rowerzystą
w brzuchu słonia grasował
wśród czarnych bębnistów

wśród ludożerców szyderców
jadł własnego trupa
śmiejąc się tropikalnie
przez tłumacza rozmawiał
ze starostą ptaków
w księstwie zodiaku

wśród hindusów-sanskrytów
udawał kangura
tylko w ten sposób
zdołał odwiedzić zatopione miasto
(z trzeciego okresu
paleogamicznej epoki)

o poligamcach błogożeńcach
napisał dwadzieścia powieści

na lwie protoaryjskim
siadał bez obrazy
i bardzo naukowo pisywał do gazet

UCZONY

matka
gdy go nosiła pod sercem
zapatrzyła się kiedyś
w kolorowe zjawy
w witrynie księgarskiej

urodził się z duszą-książnicą
i pół wieku spędził
pielgrzymem
po krainach stronnic

aż jad farb drukarskich
poprzeżerał mu w oczach
życiodajne przewody

brał lecznicze okłady z chmur
na schorowane źrenice

zapatrzył się
tak się lecząc
i wstąpił w przestwór obłoków
wpisano w katalog śmiertelny
ciało koślawe pochyłe

BISKUP

był najmłodszym z wrzaskliwej czeladki
dla której ojciec
kilofem górniczym
wyszarpywał czarny chleb ziemi

we wczesnych latach
śnił sny podniebne
jakby się życiu dobrem za zło
odpłacić
za ojcowską ciężką
potem cuchnącą podziemność
za rąk patriarchalnych
czarną skamielinową dotkliwość

młodzieńcem terminował u ojców pustynnych
potem w oporne woły orał
na opuszczonych ugorach

pod koniec orki
złoconym krzyżem biskupim zabłysnął
na czerni piersi pochyłej
na podobieństwo ojcowego krzyża
krzyża z węgla

FINANSISTA

twarz miał okrągłą
i metaliczny głos
dwa dary jedyne
z rodzicielskiej mennicy

w początkach
na wąskich kółkach krążył
rozwożąc po mieście gazety
później coraz srebrniejsze
koła zataczał
aż w końcu
składy maszyny i domy
w złote powpisywał obwody

chodził mu
obłaskawiony kapitał
w dywidendowym kieracie
obroku innego nie żądał
niż papier weksli i czeków

przez wiele lat budżetowych
szczęśliwy był szczęściem
bardzo wysoko cyfrowym

ponieważ jednak na giełdzie
nie ma ubezpieczeń od śmierci
zainkasował go grabarz
po zwykłym ludzkim kursie

Bogumił ANDRZEJEWSKI

Archiwum polityczne

List z Wyspy

„MARKSIŚCI", KTÓRZY NIE WIEDZĄ O TYM, ŻE SĄ „MARKSISTAMI"

Wielu czytelników oburzy się gdy powiem na samym wstępie, że Anglicy są romantykami w polityce. Nasz polski romantyzm polega na tym, że wierzymy, iż wbrew wszystkiemu zwyciężymy. Anglicy natomiast wierzą, iż wbrew wszystkiemu dogadają się i pokierują sytuacją ku jej polepszeniu. Anglicy wierzą w „improvement". Mają nieufność do polityki „rozstrzygnięć" i stawiania sprawy na ostrzu miecza. Czasami jednak „improvement" jest równie nierealne jak szukanie rozstrzygnięć ostrzem miecza. Dziś z perspektywy lat 14 — można stwierdzić, że lanca polskiego ułana, którą szarżował na hitlerowskie czołgi i parasol monachijski Chamberlaina — były symbolami dwóch różnych form romantyzmu. Choć odmienne w treści i różne w geście, oba powyższe romantyzmy wydają się dziś równie patetyczne w swej naiwnej bezradności.

Gdy premier Sir Winston Churchill przed swą niedyspozycją wysunął projekt konferencji na Bermudach, która torować miała drogę do bezpośrednich rozmów z Rosją — znakomita większość opinii brytyjskiej poparła ten plan. Co to oznacza? Wnioskować należy, że pomimo różnic polityczno-wewnętrznych, istnieje wśród Brytyjczków intymne wzajemne zrozumienie — istnieje wspólność wizji zasadniczego problemu naszej epoki. Sir Winston nie przekonał ani jednego Polaka, iż należy rozmawiać z Rosją — przekonał natomiast bez trudu niemal wszystkich Brytyjczyków. Dlaczego? Ponieważ my uważamy, że polityka „improvement" jest romantyczną mrzonką, która wprowadzona w czyn przyniesie w konsekwencji kapitulację — Brytyjczycy natomiast uważają, że polityka „rozstrzygnięć" i „liberation" jest romantyczną mrzonką, która wprowadzona w czyn przyniosłaby w konsekwencji katastrofę wojny światowej.

Innymi słowy uważamy się nawzajem za romantyków.

Ale wróćmy do tematu i spróbujmy odpowiedzieć na pytan na czym oparte jest rozumowanie tych, którzy są zwolennikan cierpliwego poszukiwania porozumienia ? Nad tym pytaniem wa to się zastanowić albowiem w Anglii formułuje się powoli p gląd na Rosję, który jest pewną koncepcją. Zachodnia Europ musi sformułować własną teorię działania i określić swój stos nek do sowieckiego sąsiada. Linię polityki w danej sytuacji mog narzucić Stany Zjednoczone, ale Waszyngton nie jest w moż ności podyktować przekonań i nastrojów masom zachodnio-eur pejskim. Ameryka nie jest w stanie w pełni przeciwstawić się pr cesowi przystosowywania się zachodnich europejczyków do n wej sytuacji.

Co stanowi istotę tej nowej sytuacji ?

Istotą rzeczy są następujące fakty. Potencjał przemysłow Sowietów przewyższy niebawem łączny potencjał zachodnich Ni miec, Francji i Wielkiej Brytanii. Innymi słowy, zachodnia Eur pa graniczy bezpośrednio z nową ,,Ameryką'', która wedle opir wielu — już w niezbyt odległej przyszłości zrówna swój potencj przemysłowy z potencjałem Stanów Zjednoczonych.

Co należy robić w takiej sytuacji ? Rozpatrzmy anali i wnioski tych, którzy sądzą, że należy dążyć do ,,improvement' Klasycznym dziełem tej szkoły politycznej jest świeżo wydar książka I. Deutschera pt. ,,Russia after Stalin''*). Autor polityc nej biografii Stalina, który przygotowuje obecnie do druku po tyczną biografię Trockiego — wypracował w swej ostatniej ksią ce odpowiedzi, które mają rozproszyć wszystkie wątpliwości jak mogłyby jeszcze dręczyć zwolenników rozmów i układów.

Przede wszystkim Deutscher udawadnia swym czytelnikor że Rosja Sowiecka jest nie tylko zjawiskiem stałym ale i nieo wracalnym. Nikt nie jest w stanie ,,odrobić'' rewolucji bolszewi kiej. I tak przemysł jest w całości stworzony przez państwo i n ma żadnych prywàtno-kapitalistycznych tradycji. Problem upr watnienia przemysłu w Rosji w ogóle nie mógłby powstać. kraju, gdzie państwo zatrudnia w swych zakładach przemysł wych ponad 40 milionów robotników i gdzie zmechanizowane r nictwo w całości zależy od sprawnie funkcjonującego przem słu — jakakolwiek reforma w kierunku decentralizacji przyni słaby w rezultacie miliony bezrobotnych i miliony umierający z głodu.

Kolektywizacja rolnictwa jest również zjawiskiem nieodw calnym. Oficjalne statystyki sowieckie stwierdzają, że obecna p dukcja rolna jest o 40 % wyższa niż przed kolektywizacją. Z chodni specjaliści — a wśród nich I. Deutscher — przyjmują, jest o 20 % wyższa. Faktem jest jednak, że nawet ,,biali'' R janie, jak wybitny znawca problemów agrarnych Rosji Dr N. Jasny, obliczają, że gdyby rolnictwo rosyjskie powróciło do p watnych form gospodarki byłoby zdolne wyżywić tylko poło obecnej miejskiej ludności Rosji. Poza tym technologiczna org

*) Tłum. franc. : Isaac Deutscher ; *Staline*, Gallimard, Paris 195

nizacja wielkich farm kolektywnych wyklucza dzielenie tych obszarów na mniejsze jednostki.

Jeżeli przyjmiemy, że te dwa zasadnicze fundamenty gospodarki tj. przemysł i rolnictwo muszą pozostać takimi jakimi są — cóż w końcu można by jeszcze zmienić po „liberation"? Może łagry? Okazuje się jednak, że z łagrami nie jest tak źle jak na ogół w polskich emigracyjnych kołach przypuszcza. Do niedawna na Zachodzie twierdzono oficjalnie, że system łagierny obejmuje w Sowietach około 20 milionów ludzi. Jednak p. Deutscher powołując się ponownie na „białych" rosyjskich specjalistów redukuje tą cyfrę do 3 lub 4 milionów. Wprawdzie autor zaznacza, że z moralnego punktu widzenia jest rzeczą obojętną czy zmusza się do pracy niewolniczej 3 miliony czy 20 milionów ludzi to niemniej, w świetle cyfry 3 milionów łagierników w zestawieniu z 40 milionami robotników przemysłowych upaść musi mit, który głosi, że gospodarka sowiecka oparta jest na pracy niewolniczej. Wskutek tego p. Deutscher stwierdza, uprzemysłowienie Sowietów spoczywa wyłącznie na barkach zdyscyplinowanej wprawdzie ale normalnej klasy robotniczej.

Jakie z powyższych faktów należy wyciągnąć wnioski przy formułowaniu polityki państw zachodnio-europejskich?

P. Deutscher jak i wielu innych pisarzy politycznych na Zachodzie — reprezentuje pogląd, że rozwój wewnętrznej sytuacji w Rosji w znacznym stopniu zależeć będzie od polityki wolnego świata w stosunku do Związku Sowieckiego. Innymi słowy będziemy mieli taką Rosję na jaką sobie zasłużymy.

Jeżeli do trudności wewnętrznych z jakimi walczą dziś przywódcy sowieccy doszłyby jeszcze trudności zewnętrzne w formie polityki żądań i gróźb ze strony Zachodu — wówczas stworzylibyśmy idealne warunki dla powstania bonapartyzmu sowieckiego. Jak dotąd, rewolucja sowiecka w przeciwieństwie do wszystkich innych poprzednich rewolucji — uniknęła fazy bonapartystycznej, lecz p. Deutscher podkreśla, że niebezpieczeństwo tego rodzaju wciąż istnieje. Jeżeli trudnościom wewnętrznym towarzyszyłoby niebezpieczeństwo od zewnątrz — wówczas na scenę wkroczy sowiecki Napoleon, który przewyższy swój korsykański prawzór i — jak obrazowo zauważa p. Deutscher — „rzuci Europę i Azję pod stopy Rosji".

Z powyższego wynika jasno, że tylko ignoranci mogą mniemać, że obecny moment nadaje się szczególnie do realizacji pewnych minimalnych postulatów polityki wyzwolenia.

Na marginesie warto zauważyć, że według założeń tej szkoły politycznej pod adresem Rosji nie należy *nigdy* wysuwać jakichkolwiek żądań. W okresach gdy Rosja jest silna a jej sytuacja wewnętrzna wykazuje stabilizację, nie należy niczego od niej żądać, bo wiadomo z góry, że na żadne ustępstwa nie pójdzie. Wysuwanie wówczas nierealnych żądań nie prowadzi do niczego a wzmaga jedynie napięcie międzynarodowe. Natomiast gdy Rosja jest wyraźnie osłabiona piętrzącymi się trudnościami wewnętrznymi nie można również pod jej adresem wysuwać żąd-

nych żądań, gdyż tego rodzaju żądania spotęgowałyby w Ro
poczucie zagrożenia co w konsekwencji utorowałoby drogę dy
taturze wojskowej, której finałowym rezultatem byłby podb
Europy i Azji.

Co nam więc pozostało? Na co możemy jeszcze liczyć r
nieszczęśni zachodni europejczycy?

Powinniśmy liczyć na „improvement" na „demokratycz
regenerację" jak to określa p. Deutscher. Autor „Russia aft
Stalin" sądzi, że byłby to znak wielkiej niedojrzałości, gdy
Rosjanie rządy nagana NKWD-zisty zamienili na rządy miec
wojskowego dyktatora. Obecna sytuacja w Rosji wskazuje,
naród rosyjski dojrzał i ma już dość mentorstwa stalinizmu, kt
ry to system traktował wszystkich obywateli jako małoletnic
Wprawdzie liberalizacja ustroju prowadzić może do rozruchó
co z kolei staje się pretekstem do wznowienia dyktatury — le
p. Deutscher sądzi, że wolność tylko na pusty żołądek wywoł
takie niepożądane manifestacje. Era stalinowska przyniosła je
nak taki postęp ekonomiczny i podniesienie stopy życiowej,
powolne przejście od stalinizmu ku „demokratycznej regene
cji" nie grozi żadnym kataklizmem.

Przez demokratyczną regenerację autor cytowanej książ
rozumie porzucenie zasady „Fuehrerprinzip". W erze stalino
skiej na każdym szczeblu hierarchii rządziła jednostka — rep
ka Stalina. Zastąpienie rządów „Fuehrerów" rządami komitet
będzie wstępem do demokratycznej regeneracji. Chodzi tu ocz
wiście o „zdemokratyzowanie" metod rządzenia partii komun
tycznej a nie o upodobnienie Rosji demokracjom Zachodu.

Zrekonstruujmy szkielet mitu zachodnich pacyfikatorów.

A. — Rosja pod względem potencjału gospodarczego prześciga państ
zachodnie. Jest drugą „Ameryką", której granica przebiega przez śro
Europy.

B. — Rosja pragnie pokoju i dziś, jak i w okresie Stalina, zdecydowa
jest prowadzić w stosunku do Zachodu politykę „containment".

C. — W okresie ostatnich 30 lat Rosja dokonała skoku od drewnia
sochy po bombę atomową. Osiągnięto ów postęp dzięki planowaniu gos
darczemu, którego Rosja Sowiecka jest najpełniejszym przykładem i n
świetniejszym pomnikiem.

D. — Polityka żądań i gróźb nie rozwiąże problemu sowieckiego. R
należy dopomóc w odnalezieniu jej utraconej drogi — a rewolucji sowieck
trzeba pomóc odszukać jej utracony sens. Wszelka polityka żądań a w szc
gólności polityka domagająca się ustępstw terytorialnych doprowadziła
do dyktatury wojskowej i wojny.

E. — Rozsądną polityką Zachód może w znacznym stopniu ułatwić
sji opanowanie jej wewnętrznych trudności co jest koniecznym warunkie
by ewolucja systemu sowieckiego potoczyła się ku demokratycznej re
neracji.

Postawmy kropki nad tymi pięcioma „i". Zastanówmy
jak wyglądać będzie Europa, gdy za lat 30 Rosja — dzięki us
pliwej polityce Zachodu dokona w spokoju swego dzieła. O
biście nie wierzę w żadną demokratyczną regenerację ustr

owieckiego, uważam natomiast za całkowicie możliwe, że Ro-a dzięki swej planowanej gospodarce oraz metodom ,,dyscypli-y'' pracy może istotnie w zakresie produkcji węgla, żelaza, stali, nergii elektrycznej i zbrojeń — prześcignąć i to wydatnie łączny otencjał Europy zachodniej *). Przed Europą zachodnią są tyl-o dwie drogi. Wiązać się coraz ściślej z anty-komunistyczną olityką amerykańską i wziąć na siebie pewne ryzyko z tą po-tyką związane — albo zostać satelitą Sowietów w niezbyt od-głej przyszłości.

Takie określenie może się wydawać przykre i przesadne. Vydaje mi się jednak, że w oparciu o wnioskowanie pacyfis-cznej szkoły myślenia Zachodu nie można dojść do innej pro-nozy chcąc pozostać w zgodzie z logiką. Jeżeli połowa Europy a pozostać w obrębie imperium sowieckiego Rosja staje się ajwiększą potęgą na kontynencie, a kadłubowa zachodnia Euro-a nie jest w możności odbudować jakiekolwiek ,,balance of po-er''. Jeżeli Anglia nie chce być ,,lotniskowcem'' amerykań-kim — to czym chce być? Tradycyjna polityka W. Brytanii stosunku do Rosji opierała się na fakcie, że Anglia była potę-ą morską a Rosja potęgą lądową. Lecz dziś Rosja jest drugą o St. Zjednoczonych potęgą morską świata a nie Anglia. Odtwo-yć równowagę sił w Europie można tylko za cenę odepchnięcia osji na granice z 1939 r. i związania zjednoczonej całej Europy Ameryką. Jeżeli reprezentuje się pogląd, że tego rodzaju po-tyka zwiększa ryzyko wojny na terenie europejskim oraz utrud-a pokojowe ułożenie stosunków z Rosją, nie pozostaje nic in-ego jak zrezygnować z odbudowy ,,balance of power''. Tego odzaju rezygnacja jest w swym politycznym sensie — kapitu-cją.

Rosjanie zdają sobie doskonale sprawę, że narody zachod-ej Europy przez wolność rozumieją wolność od lęku przed woj-ą. Dlatego pokój i wolność na Zachodzie są synonimami. Je-li dojdzie do zjednoczenia Niemiec Rosja — być może okaże kłonność do ustępstw w sprawie wolnych wyborów, być może ykaże ugodowość i w innych punktach spornych — jednak z ca-pewnością nie zrezygnuje z żądania, by wojska okupacyjne uściły zjednoczone Niemcy. I w dniu w którym tego typu układ stanie podpisany cień ,,żelaznej kurtyny'' padnie na całą Euro-zachodnią. Albowiem armie amerykańskie wyjadą za ocean armie czerwone cofną się o czterdzieście kilka mil na wschód Berlina na linię Odra-Nisa.

Jeżeli pragnie się spacyfikować Europę, jeżeli chce się za-wnić zachodnim europejczykom pokój, nie ma innej drogi tyl-trzeba zjednoczyć Niemcy, wycofać wojska okupacyjne i uznać fakt dokonany absolutną przewagę Rosji na kontynencie. Bę-ie to pokój na warunkach rosyjskich — ale nie mniej będzie kój.

---

*) Ekonomista amerykański i podsekretarz stanu obecnej administracji muel C. Waugh ocenia, że Sowiety pod względem przemysłowym prze-gną Europę zachodnią na przestrzeni 15 do 20 lat.

O czym jednak współcześni zachodni europejczycy nie miętają to o tym, że za ów pokój zapłatą nie będzie niev Polaków, Czechów, Węgrów czy Rumunów. Ceną za ów p będzie niepodległość zachodniej Europy.

Pisarze pacyfistycznej szkoły zachodnio-europejskiej z sobie z tego sprawę, że w chwili wycofania się Ameryka z kontynentu przewaga Rosji będzie całkowita i Sowietom bę dość trudno upewnić zachodnią Europę, że nie jest obsza satelickim. P. Deutscher nie ma również wątpliwości na ten mat i rzeczowo stwierdza : ,,Rosyjski rząd, nawet najbar pokojowo usposobiony, będzie mógł niewiele, lub nawet z nic, uczynić by upewnić Zachód. W najlepszym razie bę mógł zobowiązać się, że nie wykorzysta pozycji Rosji dla be średniej politycznej czy wojskowej ekspansji''.

Skłonny jestem przypuszczać, że w razie zjednoczenia miec i ewakuacji wojsk amerykańskich za ocean Sowiety nie mą zachodniej Europy. Lecz cóż stąd? Okupacja nie jest jed formą utraty niepodległości. Jeżeli akceptuje się układ, kt gruntuje całkowitą przewagę jednego mocarstwa na konty cie — mocarstwa, które jest w możności zająć resztówkę zach niej Europy w przeciągu kilkunastu dni — czy w takich wa kach można mówić o niepodległości? Można mówić tylko o koju. Nie jest niepodległym ten, kto rezygnuje z możliw obrony swej niepodległości i na tego rodzaju układ wyraża s ją zgodę.

Pacyfiści zachodnio-europejscy opierają swoje nadzieje wierze, że stosunki w Rosji ulegną zmianie, że nastąpi ,,de kratyczna regeneracja'' i władcy Kremla przekonają się, że ność nie jest wrogiem lecz sojusznikiem socjalizmu. Wów Rosja przemieni się w nowy ,,Commonwealth of Nations'' w związek wolnych narodów.

Sądzę, że powyższa wizja z politycznym wnioskowaniem ma nic wspólnego. Daleko realniejszą jest niestety inna pers tywa a mianowicie, że po zjednoczeniu Niemiec i ewakuacji w amerykańskich wpływy sowieckie przeobrażą po pewnym cz stosunki polityczne w wolnej resztówce kontynentu europejs go. W takiej konstelacji to nie ,,petainowska'' zachodnia E pa będzie liberalizowała Sowiety, tylko Sowiety będą ,,so lizowały'' zachodnią Europę. Wpływ wywiera zawsze par silniejszy i bardziej dynamiczny. Obawiać się należy, że w Związku Sowieckim nastąpi ,,demokratyczna regeneracja' nie co czwarty ale co trzeci, a może co drugi Francuz i W głosować będzie na komunistów.

Sytuacja państw zachodniej Europy nie jest bynajmnie twa. Jedno wszakże jest całkowicie pewne. Rozwiązanie pr mu niemieckiego w oderwaniu od Europy środkowo-wschod utwierdzi całkowitą przewagę Rosji na kontynencie a tym sa uzależni resztówkę Europy zachodniej od imperium sowiecki Europa zachodnia mogłaby uniknąć losu potencjalnego sate gdyby rozwiązanie problemu niemieckiego uzależniono od

oczesnego problemu Europy środkowo-wschodniej. Jeżeli Amerykanie mają wycofać się z Niemiec za ocean — to Rosjanie winni się wycofać przynajmniej na granicę z 1939 r. Jeżeli mają yć wolne wybory w Niemczech to identyczne wybory winny się dbyć w krajach za „żelazną kurtyną". Jeżeli ma ulec likwidaji satelicki reżim wschodnio-niemiecki — winny ulec likwidacji wszystkie reżimy satelickie w Europie.

Losy Europy zadecydują się w Niemczech. Jak powinna potąpić polityka amerykańska w takiej sytuacji? Niewątpliwie rudno jest wyzwalać Europę wbrew jej woli — trudno jest wyzwalać ujarzmione narody europejskie bez poparcia wolnych narodów europejskich. Jeżeli jednak zjednoczenie Niemiec miaoby oznaczać ewakuację wojsk amerykańskich z kontynentu . dla Rosjan cofnięcie się jedynie na linię Odra-Nisa — w takim wypadku należy nie dopuścić do zjednoczenia Niemiec. Albowiem jednoczenie Niemiec na takich warunkach byłoby wstępem do jednoczenia całej Europy pod hegemonią Sowietów.

Juliusz MIEROSZEWSKI

P.S. P. Isaac Deutscher jest anty-stalinowskim marksistą. ego interpretacja procesów historycznych jest zgodna z doktryną. Tym bardziej godnym zadumy jest fakt, że jego książka jest akby „zamówieniem społecznym" i dostarcza naukowej podbudowy odczuwanej na Zachodzie potrzebie bezwarunkowego porozumienia się z Rosją. Wszystkie „pobożne życzenia" uspakajaczy i pacyfikatorów wyposażone zostały w sankcję „konieczności historycznej". W zgodzie z marksistowską logiką procesu historycznego są zwolennicy polityki, która nie wysuwa pod adresem Rosji żadnych żądań. Ameryka nie rozumie „konieczności historycznych".

Okazuje się, że wielu polityków na Zachodzie ma poprawny punktu widzenia marksistowskiego pogląd na historię i właściwie wnioskuje. Jakiż można by znaleźć lepszy dowód, że marksizm jest jedyną słuszną filozofią historii? Obserwując politykę europejskiego Zachodu p. Deutscher nie ma powodu wątpić w słuszność swojej egzegezy. Wielu zachodnich europejczyków stae się mimo woli „marksistami" i zaczyna właściwie pojmować ogikę dziejów. Okazuje się, że można być marksistą samemu tym nie wiedząc.

(Osobiście widzę tylko jedną skazę na geniuszu Marksa mianowicie, że nie przewidział jakże oczywistego faktu, iż „konieczność historyczna" i „interes Rosji" to są pojęcia synonimiczne).

J. M.

Kronika angielska

LEWICA — PRAWICA

W oświadczeniu, które złożył gen. Sosnkowski w przededniu swego jazdu z Londynu — czytamy co następuje : „Prawdą jest, że istniejąca trowersja obraca się dokoła jednego krótkiego zdania, lecz jakże treści i brzemiennego w skutki".

Jak wiadomo owo jedno zdanie dotyczy obozu p. Mikołajczyka.

Z różnych doniesień prasowych i agencyjnych należy wnioskować PPS uważa za możliwe utworzenie „frontu demokratycznego" z obozer Mikołajczyka. Wydaje się jednak, że do tej pory w samej PPS nie ma tym względem jednolitej opinii.

Oczywiście podział emigracji na zasadzie ideologii politycznej — pra contra lewica — byłby zdrowszy niż podział obecny. Gdyby jednak do typu podziału doszło front prawicy byłby znacznie silniejszy niż front lev

Sądząc po kampanii prasowej prowadzonej przez pisma popierające PN — trudno jest sobie wyobrazić formułę akcesu PPS do obozu p. Mikołaj ka, która choć częściowo ratowałaby „twarz" socjalistów.

Trudność rozmów z p. Mikołajczykiem polega na tym, że popełni w przeszłości wiele błędów, dziś, dobudowuje on mozolnie teorię, która błędy ma usprawiedliwić a co ważniejsze uzasadnić. W dramatycznym mencie historycznego kryzysu łatwo jest popełnić kapitalny błąd w opa o najuczciwsze przesłanki ale miarą męża stanu jest ilość błędów z któ zdołał się wycofać. Tymczasem p. Mikołajczyk z uporem trwa przy sw błędach w naiwnym przekonaniu, że „right or wrong" dochowuje wierr samemu sobie. Tymczasem nie ma nic głupszego jak dochowywanie w ności błędom i poglądom, które owe błędy spowodowały. Z jakąż łatwo zachodni mężowie stanu porzucają swe dawne opinie, błędne oceny czy t taty. Natomiast polski polityk musi mieć zawsze i niezmiennie „rację". żeli fakty przeczą jego „racji" — tym gorzej dla faktów!

W Radzie Politycznej dopuszczalne są bardzo znaczne różnice z Sądząc po wachlarzu wydawnictw PNKD w politycznym obozie p. Mik czyka obowiązuje przestrzeganie „linii generalnej". Wydaje się, że wy cowanie formuły kompromisowej, która pozwoliłaby na połączenie PPS z KD byłoby zadaniem równie trudnym jak pogodzenie Rady Narodowej z dą Polityczną. Jednak mylą się ci, którzy sądzą, że p. Mikołajczyk jest definitywnie „poza koniunkturą". Jego czas może jeszcze nadejść.

RHEE — ADENAUER — MIKOŁAJCZYK

Jest rzeczą oczywistą do czego zmierzają Chiny. Mao-Tse pragnie dować wokół Chin identyczny pas państw satelickich jaki chroni Rosję. W becie powiodło się zorganizować państwo satelickie — na innych odcin azjatyckiego przedpola ów proces znajduje się w stadium realizacji.

Prezydent Rhee jest w podobnej sytuacji jak Dr Adenauer. Obaj bo stoją na czele państw „przepołowionych". Państwa „przepołowione" s wią w naszej epoce twory pośrednie pomiędzy państwami niepodleg a satelitami. Zarówno na Korei jak i w Niemczech znajdują się wojska rykańskie. Tak w jednym kraju jak i w drugim pytanie zasadnicze brz co się stanie gdy Amerykanie odpłyną do domu ?

Jeżeli chodzi o Koreę to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że C wypracowały już plan pokojowej infiltracji Korei południowej. Prezy

Rhee zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że północni Koreańczycy przy poparciu chińskim mają wielkie szanse przemienić na drodze „pokojowej'' całą Koreę na państwo satelickie. Natomiast prezydent Rhee nie ma praktycznie żadnych szans na drodze pokojowych negocjacji wyrzucić komunistów z północnej Korei i zjednoczyć kraj pod władzą legalnego rządu. Jeżeli nie powiodło się wyrzucić komunistów z bronią w ręku, jakież są możliwości wyrzucenia ich poprzez OZN ?

Wcześniej czy później Amerykanie wyjadą a zostaną tylko misje i doradcy. Na tę właśnie chwilę ze spokojem czekają północni Koreańczycy i ich protektorzy chińscy.

Jeżeli rozpatrywać ją pod tym kątem widzenia, tj. interesów Korei — to trzeba stwierdzić, że polityka prez. Rhee jest całkowicie zrozumiała, logiczna i słuszna. Reakcje mocarstw anglosaskich świadczą, że choć po tej stronie barykady wszyscy są równi i niepodlegli to jednak byłoby naiwnością brać takie wzniosłości dosłownie. Stopień suwerenności i niepodległości w naszym świecie jest jeszcze ciągle funkcją siły a nie prawa. Obywatele amerykańscy w myśl „Deklaracji Niepodległości'' rodzą się wolni. Niestety narody nie rodzą się wolne i osiągają stopień wolności proporcjonalny do ich sił. Dlatego silniejszy sojusznik jest zawsze bardziej niepodległy i bardziej suwerenny niż sojusznik słabszy. Biada mu jeżeli o tym nie pamięta!

Dr Adenauer jest w nieco innej sytuacji. Gdyby doszło do zjednoczenia Niemiec na warunkach amerykańskich — co w obecnym okresie jest mało prawdopodobne, lecz nie wykluczone — Polska zyskałaby bezpośrednią granicę z Zachodem. Im wpływy Ameryki byłyby w Niemczech silniejsze tym większa byłaby szansa ewolucji reżimu komunistycznego w Polsce ku titoizmowi. W zupełnie specyficznych warunkach, których jednak nie można wyłączyć — może w Polsce powstać sytuacja, kiedy niepodległość będzie jeszcze nieosiągalna lecz titoizm czy pół-titoizm będzie już osiągalny.

Powstanie titoizmu w Polsce otworzyłoby nowy rozdział w dziejach polityki emigracyjnej. Polityk emigracyjny, który miałby możność zbliżenia się do titoizmu polskiego w oczach Anglosasów urósłby natychmiast do roli opatrznościowego męża stanu. Polityk ów musiałby być gotów wejść do rządu wraz z komunistami gdyby „liberalizacja'' ustrojów satelickich posunęła się tak daleko.

Nie wiem czy p. Mikołajczyk taką ofertę by przyjął. Sądzę jednak, że w takiej sytuacji tylko on jeden mógłby wchodzić w rachubę. Obawiam się jednak, że do swych dawnych błędów dodałby błąd nowy i gdyby sytuacja taka powstała ustosunkowałby się do niej negatywnie. Udział w komunistycznym rządzie polskim po Jałcie był błędem, ponieważ wówczas było pewne całkowite zwycięstwo komunistów. Gdyby natomiast na skutek rozwoju sytuacji powstał w Polsce titoizm byłaby to forma przejściowa od satelictwa ku niezależności. W tej całej sprawie nie jest istotna doktryna tylko stopień niezależności od Rosji. Albowiem komunizm polski bez poparcia Sowietów bardzo szybko przestałby być komunizmem.

WSZĘDZIE DOBRZE ALE W LONDYNIE NAJLEPIEJ

W swym projekcie Aktu Zjednoczenia gen. Sosnkowski wysunął propozycję przeniesienia polskich władz państwowych z Anglii do Stanów Zjednoczonych. Polska prasa londyńska gwałtownie zaatakowała ten projekt. Jest to w pewnym sensie zrozumiałe jeżeli się zważy ów głęboko zakorzeniony patriotyzm lokalny, który każe nam Londyńczykom uważać gród nad Tamizą za „tymczasową stolicę Polski''. Ten punkt widzenia jest mi osobiście bliski, gdyż w przeciwieństwie do p. St. Mackiewicza — lubię Londyn. Londyn jest zresztą tak dziwaczny i tak do niczego niepodobny, że musi się go albo lubić albo nie znosić. Do tego gigantycznego małego miasteczka nie można mieć obojętnego stosunku.

Ale tego rodzaju sentymenty nie mogą odgrywać roli w wyborze siedz polskich władz państwowych. Wszystkie argumenty obiektywne przem wiają za przeniesieniem rządu do Stanów Zjednoczonych. Czyż potrzeba wyliczać ? — Ale nasi mężowie stanu i politycy osiedlili się tu, urządz wrośli, pokupowali domy, powynajmowali biura i cenią sobie ową ,,splen isolation", która jest rezultatem całkowitego braku zainteresowania wła brytyjskich zarówno dla ich osób jak i działalności. Byle prawidłowo pr chodzili przez jezdnię to mogą być pewni całkowitej anonimowości. W c niu tej uprzejmej obojętności można spokojnie budować ,,emigracyjne pa stwo", którego eksterytorialność brytyjska rzeczywistość w pełni uszanu W Londynie jest miejsce na wszystko — na świątynie buddyjskie, na lo teozofów, na rządy emigracyjne, na kluby żeglugi międzyplanetarnej. Życ brytyjskie jak dobrze uregulowana rzeka omija izolowane wysepki i nig ich nie zalewa. Prawo do dziwactwa i prawo do osamotnienia jest tu prz wilejem każdego — pod warunkiem, że nie zagraża otoczeniu.

Argument (główny) że w Londynie nasz rząd jest niezależny i nikt n miesza się do jego działalności — jest całkowicie bez sensu. Już najwyżs czas, by ktoś zechciał się wmieszać w naszą politykę. A zresztą i w Am ryce — jak się ktoś uprze — może nie brać dolarów i pokrywać budżet Skarbu Narodowego. Niemniej łatwiej tam niż tu otrzymać pożyczkę n szerszą akcję niepodległościową i łatwiej tam niż tu wypracować jakąś fo mułę przejściową, która pozwoliłaby rządowi R.P. mimo, że nie jest uzn ny — podjąć na większą skalę zadania do których jest powołany.

Ale oczywiście z tego nic nie wyjdzie. Bo któżby chciał dobrowolnie w jeżdżać z Londynu ?

WYPOWIEDŹ KPT. E. PRCHALI

Londyński ,,Dziennik Polski" podał za agencją FCI sprawozdanie I Prchali o przebiegu katastrofy lotniczej w której poniósł śmierć gen. Sikorsk Kpt. E. Prchala, który przebywa obecnie w Stanach Zjednoczonych był pilo tem i jedynym, który ocalał z katastrofy.

Oświadczenie pilota samolotu gen. Sikorskiego nasuwa cały szereg uwag które powinny być wyjaśnione. Jako przyczynę katastrofy Prchala podaj odłamanie się pewnej części steru. Stwierdza on również, że nurkowie wydo byli z morza wszystkie szczątki samolotu. Do Gibraltaru natychmiast po wy padku przybyła specjalna komisja Min. Lotnictwa, do której przydzielon rzeczoznawców polskich. Po długim i starannym śledztwie sporządzono ofi cjalne sprawozdanie, którego odpis przesłano rządom — polskiemu i czecho słowackiemu.

Summer Welles, b. podsekretarz stanu w latach 1937-43 oświadczył w ub r. na posiedzeniu katyńskiej komisji Kongresu, iż w jego przeświadczeni przyczyną katastrofy samolotu gen. Sikorskiego był sabotaż. Cat-Mackiewic przeprowadził w tej sprawie wywiad z gen. L. Rayskim, byłym szefem lot nictwa w Polsce przed wojną. Na zapytanie czy nie można wykluczyć sabo tażu — gen. Rayski oświadczył : ,,Oczywiście nie można go wykluczyć".

To są tylko dwa wybitniejsze przykłady opinii wypowiedzianych na po wyższy temat. Niemniej p. Prchala przez 10 lat milczał jak zaklęty i dopier obecnie zdecydował się oświadczyć, ,,że cała sprawa otoczona była niepo trzebnie całunem tajemnicy, co wywołało jak najdziksze pogłoski".

P. Prchala od października 1950 roku a więc niemal od trzech lat przeby wa po tej stronie ,,żelaznej kurtyny" i nie miał żadnych trudności złożeni swych wyjaśnień wcześniej. Jest również rzeczą niezmiernie dziwną, że n przestrzeni tych trzech lat władze polskie nie usiłowały nawiązać z nim kon taktu w celu wydobycia od niego dokładnego opisu katastrofy.

LONDYŃCZYK

Sprawy i Troski

Czytelnik polski w W. Brytanii

Rzecz dzieje się w Wielkiej Brytanii tj. kraju, który chlubi się, nie bez racji, sprawną i dobrze zorganizowaną służbą bibioteczną. Bezpłatne biblioteki publiczne znajdują się w pieszym ub autobusowym zasięgu większości mieszkańców, uzupełnia je lbrzymia sieć tanich wypożyczalni płatnych, czasem bardzo dorych, częściej dalekich od ideału. W trzecim wreszcie kręgu vidzimy zasobne księgozbiory domowe i możność łatwego ich ızupełniania tanimi wydaniami dawnych i nowych autorów, które nabywać można w lokalnych księgarenkach i kioskach kolejowych. Troską bibliotekarzy angielskich jest obecnie nie tyle zdobywanie funduszów na prowadzenie bibliotek ile pozyskiwanie nowych czytelników i zahamowanie spadku ilości wypożyczeń. Bibliotekarz brytyjski wabi czytelnika, namawia go, by raczył czytać, by w pilnie nadal obserwowanych wieczornych godzinach odpoczynku obok oglądania filmów, albo wpatrywania się w ekran odbiornika telewizyjnego, — obok słuchania radia — znalazł także miejsce na książkę, rozrywkę niemal staroświecką, przeżytek ery wiktoriańskiej — złotego wieku książki ! — kiedy to np. zgromadzona przy kominku rodzina słuchała czegoś wręcz nieprawdopodobnego... głośnego czytania.

Zastrzec się tu muszę, że nie podzielam stanowiska wielu bibliotekarzy brytyjskich, którzy w filmie, radiu i telewizji widzą wrogów książki, potępiając je w czambuł. Mają one wiele wad, — tę przede wszystkim, że w granicach małego wyboru, podają tę samą strawę milionom, automatycznie otwierającym aparaty o oznaczonej godzinie albo wędrującym do lokalnego kina na każdą zmianę programu.

Gdy są dawkowane odpowiednio i filmy i programy radiowe i telewizja stają się częściami istotnymi, ważkimi i żywotnymi składnikami życia kulturalnego nowoczesnego człowieka. ,,Wyspa grzeszników'' czy ,,Don Camillo'' w wersji filmowej,

filmy naukowe, reportaże, filmy geograficzne nie potrzebują obrony. Uzasadnianie racji ich istnienia równałoby się obronie teatru czy koncertów przed zarzutem, że szkodzą czytelnictwu. Radio spełniać może ogromną rolę w popularyzowaniu dobrej muzyki, — słuchanie płyt gramofonowych przekazujących grę znakomitych artystów daje więcej niż najautentyczniejsze wyczyny drugorzędnego grajka, — wiersz recytowany w programie radiowym może być rewelacją talentu, — moglibyśmy nigdy nań nie natrafić i zubożyć siebie o głębokie przeżycie. Sztuka teatralna w dobrej obsadzie oglądana na ekranie odbiornika telewizyjnego będzie doznaniem różnym od zobaczenia jej w teatrze na autentycznej scenie, da jednak prawdopodobnie więcej od przeczytania jej tekstu w wydaniu książkowym, co — nawiasem mówiąc — jest przyjemnością małej tylko garstki wybrańców. Większość z nas nie lubi czytać sztuk teatralnych — i na to nie ma rady. Gdybyśmy na jakimkolwiek inteligenckim zebraniu zapytali, ilu spośród obecnych czytało „Trans-Atlantyk" a ilu „Ślub" Gombrowicza, otrzymalibyśmy zapewne niewiele wiarogodnych odpowiedzi twierdzących w odniesieniu do „Ślubu".

Trzeba odważnie spojrzeć prawdzie w oczy. W roku Pańskim 1953 tak zwanych potrzeb kulturalnych normalnego obywatela w normalnym kraju nie mogą zaspokoić tylko książki i czasopisma, choćby najpiękniej wydane i najobficiej ilustrowane. Ma on do dyspozycji wielorakie formy zaspakajania szlachetnego głodu wiedzy czy rozrywki i osobistą jego sprawą, sprawą wyboru, który każdy sam dla siebie swobodnie dokonuje jest wyszukanie najbardziej mu odpowiadających czy potrzebnych. Pamiętajmy nadto, że wspólną cechą bibliotek, radia i telewizji jest zaspakajanie żądań odbiorcy anglosaskiego w zakresie dania mu : informacyj, pomocy w nauce i uprzyjemnienia mu odpoczynku (information, education, leisure). Statutowym niejako zadaniem Muzeum Brytyjskiego jest „zaspakajanie ciekawości i służenie postępowi nauk". Czytelnika anglosaskiego nie kształci się politycznie, nie uświadamia, nie narzuca mu się kierunku zainteresowań. Nam, od dzieciństwa przywykłym do kaganków oświaty i wychowania obywatelskiego liberalizm ten wydaje się nieraz przesadny, lekkomyślny a nawet niebezpieczny. Pozór to jednak tylko. Gdy głębiej wmyślimy się w istotę systemu, w przenikający go szacunek dla jednostki i wolności myśli, — gdy poznamy rezultaty stuletniego stosowania tych zasad, ich zalety — a nawet wady i zestawimy z metodami pracy za Żelazną Kurtyną, z owym narzucaniem, kierowaniem, podsuwaniem, pouczaniem, — owymi przedmowami, komentarzami i posłowiami tak dobrze nam znanymi z wydawnictw krajowych — liberalizm czy nawet relatywizm Zachodu wyda się nam ożywczą czystą wodą, — czymś wreszcie do czego my tu przywykliśmy lub przywykamy.

Powiedzmy sobie szczerze : my już zapomnieliśmy o przedwojennych niedociągnięciach bibliotek polskich, o ubóstwie ich księgozbiorów i przestarzałych systemach ich pracy. Biblioteka publiczna — łatwodostępna, zasobna, z wolnym dostępem do

półek, z książkami ustawionymi działowo, czystymi, oprawnymi solidnie i estetycznie, uzupełnianymi stale najnowszymi wydawnictwami — jest już dla nas czymś oczywistym i naturalnym. W r. 1942 czy 1943 korzystaliśmy z takich właśnie bibliotek w małych miasteczkach szkockich, w Kirckcaldy, czy Dunfermline, obecnie mamy je pod bokiem w Coventry czy Croydon. Dla czytelników liczących obecnie koło trzydziestki wizja przedwojennych polskich bibliotek publicznych zatarła się już w pamięci. Starsi przyjęliby także niechętnie nawrót do dawnego systemu. Jestem pewna, że czytelnicy emigracyjni, którzy w W. Brytanii czy Stanach Zjednoczonych zakosztowali dobrodziejstw wolnego dostępu do półek, — gdyby tylko było im dane powrócić do Kraju w normalnych warunkach, staliby się przywódcami rewolucji bibliotecznej, której sensem głębszym byłoby wołanie o szerszy, swobodny wybór lektury. Potrzebę unowocześnienia metod pracy bibliotek polskich uświadamiała sobie przed wojną niewielka garstka, dziś już w większości nieżyjących postępowych bibliotekarzy polskich, a więc np. Faustyn Czerwijowski, dyrektor Biblioteki Publicznej w Warszawie albo Jan Muszkowski, dyrektor Biblioteki Ordynacji Krasińskich i doskonały znawca nowoczesnych systemów pracy bibliotecznej. ,,Nowoczesnych'' zresztą w cudzysłowie. To, o co w Polsce walczyć w przyszłości wypadnie, jest od kilkudziesięciu lat normalną praktyką bibliotek anglosaskich i skandynawskich.

Wróćmy jednak na teren W. Brytanii. Wydawcy (w większości firmy prywatne) robią swoje. Produkcja wydawnicza pokrywa w pełni potrzeby bieżące zarówno w zakresie książek naukowych, podręczników jak i wydawnictw na czasie a zwłaszcza literatury pięknej. Gdy wyczerpie się drugie wydanie, wychodzi trzecie. Gdy powieść ,,chwyci'', przedrukowuje się ją po roku w tanich Penguinach. Biblioteki mają zapewniony dopływ nowości, mają nadto możność zastąpienia egzemplarza zniszczonego nowym. Gdy nie wystarcza jeden egzemplarz — kupują drugi, trzeci, czwarty. Jeśli książki dostarczyć nie mogą bezpośrednio — działać zaczyna organizacja wypożyczań międzybibliotecznych, wypełnia się zamówienia kierowane do National Central Library, trwa to czasem przydługo, ale w ostatecznym rezultacie książka dociera do rąk czytelnika.

Kontrast między bibliotekami angielskimi a własnymi naszymi placówkami jest oczywiście ostry i — oczywiście — na naszą niekorzyść. Najzasobniejsze nawet biblioteki emigracyjne stłoczone są w ciasnych i nieodpowiednio umeblowanych lokalach. Najchętniej umieszcza się je w szafach zdobiących sale konferencyjne, odczytowe albo pomieszczenia biurowe. Z konieczności, z braku funduszów. Tam właśnie wieczorami, przy mdłych żaróweczkach działają ofiarni bibliotekarze, częściej bibliotekarki, borykając się z kluczykami nie pasującymi do zamków spaczonych szaf-trumien ze zwłokami sędziwych książek, wzruszająco nieraz okutanych w kolorowe papiórki, z czarnymi kolejnymi numerami, książek ustawionych w chronologicznym porządku napływu a nie w porządku działowym; — to słowem, co od

kilkudziesięciu lat jest tematem humorystycznych ,,numerów'' w rewiach bibliotekarzy angielskich — to właśnie jest obrazem typowym dla rzeczywistości emigracyjnej. W świadomości starszego pokolenia tak właśnie być powinno : książki wtłaczać należy do piwnic, kuchni i schowków, ładować — jak urzędników w dawnym ,,Rubensie'' do, powiedzmy, łazienek, do skrzyń, do garaży — a oszczędności zaczynać od paragrafu na zakupy książek nowych. Oprawa ? — po co oprawiać ? Nowe egzemplarze na miejsce zniszczonych ? Egzemplarze ? — wystarczy jeden egzemplarz ! — a kto go pożyczy ? — oczywiście inicjator oszczędności, u którego upomnieć się o zwrot nie wypada.

Po najtrudniejszym, tragicznym okresie pierwszych lat wojny, po przeżyciach obozowych, sowieckich, jenieckich, dipisowskich etc. pozostało w umysłach wielu z nas przekonanie, że książka polska może być nieoprawna, brudna, obszargana, koślawo wydrukowana na gazetowym papierze. Ten stan rzeczy ulega stopniowo zmianie na lepsze. Tempo jest jednak zbyt powolne !

A dlaczego ? — bo oto przebrała się miara cierpliwości i kontrast między normalnymi bibliotekami angielskimi a naszą biedą — czy w pełni usprawiedliwioną ? — razić zaczyna coraz bardziej nie tylko młodych, którzy bez wielkich skrupułów przechodzą od brzydkiej zniszczonej książki polskiej do estetycznej, dobrze ilustrowanej książki angielskiej ale i szarą większość, tj. nas, czterdziesto- i pięćdziesięciolatków, którzyśmy się już osiedlili, ustatkowali, sprawili łachy i graty i chcieli teraz, jak sąsiad przez płot czy z naprzeciwka, zasiąść na spłaconym do ostatniej raty fotelu i po pracy poczytać spokojnie, przy kominku, książkę polską, już nie pierwszą lepszą, nie tę, która spadła za półkę i przy pomocy gimnastyki akrobatycznej dała się wyciągnąć ze szczeliny, i nie tę, którą zwrócił nasz poprzednik w bibliotecznej ,,kolejce'' a która na półki w ogóle nie wraca — ale według pewnego planu, według takiej bodaj listy z jaką wędruje się do Boots'a, Smith'a czy innej podobnej wypożyczalni płatnej angielskiej.

Nie będę charakteryzować tu szczegółowo przyczyn tego wysoce niezadawalającego stanu rzeczy. Polacy w Wielkiej Brytanii chcą czytać i czytają dużo. Dali temu wyraz wielokrotnie, ostatnio zaś we wzruszającym, pięknym i szczerym porywie masowym, bez precedensu bodaj w historii bibliotek, gdy złożyli 23.000 podpisów pod petycją do brytyjskiego ministra oświaty w obronie uratowanej przez nich ostatecznie Biblioteki Polish University College. A przecież i w tej właśnie bibliotece, stosunkowo zasobnej, ograniczać trzeba ilość wypożyczanych ,,na głowę'' książek polskich do dwu, bo kilkunastotysięcznym polskim księgozbiorem obsłużyć trzeba ponad cztery tysiące czynnych (a nawet bardzo czynnych) czytelników. ,,Czytelnik'' jest tu rzeczownikiem zbiorowym, delegatem raczej jakiegoś zespołu lokatorów domu czy licznej rodziny. Przychodzi do biblioteki w wolne od pracy popołudnia albo w soboty, a raczej nie przy-

chodzi tylko przyjeżdża nierzadko za składkowe fundusze, z dalekiego przedmieścia i hurtem zmienia książki, polskie i angielskie, po czym wędruje do pobliskich aptek, by wysłać do Kraju Rimifon i żyletki. Nikt go nie zmusza do przyjścia, na drzwiach biblioteki brak nawet szyldu z nazwą instytucji, bo nie życzą jej sobie właściciele typowej wiktoriańskiej kamienicy. Tym, co biblioteka może ofiarować tym niewyobrażalnie doskonałym czytelnikom jest sterta dobrze podniszczonych książek, tak szybko przechodzących z rąk do rąk, że na półki nie wracają w ogóle. Na tzw. ,,polskich'' półkach spoczywa dwieście czy trzysta niedobitków, książeczek może nawet wartych przeczytania, ale małych objętością, a więc otwierających niesłychanie małe możliwości wypełnienia lekturą samotnej niedzieli czy też wieczoru po wieczorze, od soboty do soboty, od jednej wizyty w bibliotece do drugiej. Nadchodzi transport od introligatora, sto pięknie oprawnych tomów. Wypożyczalnia rozświeca się złoconymi napisami na grzbietach. Trwa to jak kaprys angielskiej pogody godzinę, w soboty nawet krócej. Czytelniczka z Earls' Court'u, która dowiedziała się od przyjaciółki o nowych i książkach i przyjechała pierwszym pociągiem, spóźniła się o kwadrans : nie ma już ani Naglerowej, ani Gołubiewa, ani Czarnyszewicza. Dziesięć tysięcy tomów poczytnej beletrystyki (tzw. ,,dobrej'', z pominięciem sensacyjnych bredni, literatury kryminalnej i sentymentalnych romansów), przemieszanych z publicystyką, pamiętnikami i bardzo poszukiwanymi książkami popularno-naukowymi — poprawiłoby sytuację na 2-3 tygodnie i przyniosło lawinowy dopływ nowych czytelników. Ale o tym marzyć tylko można.

I tu w skrócie widzimy żałosny portret czytelnika emigracyjnego. Nie garstki wybrańców, dla których otwarte są bogate zbiory poloniców w British Museum, nie tych, co od książki polskiej przechodzą, prawie nie zauważając do francuskiej czy angielskiej, woląc czytać rzecz w oryginale, ale tysięcy, dziesiątków tysięcy czytelników *skazanych na polskość,* od książki polskiej oderwać się nie chcących a czasem także dosłownie nie mogących. Ściślej : książki w języku polskim. Większość Polaków w Wielkiej Brytanii pracuje w zakładach przemysłowych, biurach, sklepach, hotelach etc. angielskich, przez dzień cały mówi po angielsku i słyszy mowę angielską dokoła. Czyta gazety angielskie, słucha angielskiego radia. Wymaga to, czasem już tylko podświadomie, dodatkowego natężenia uwagi, męczy. Książka polska jest odpoczynkiem w podwójnym sensie : i jako zawartość treściowa i jako przestawienie się na swobodne szlaki myślenia. Opierając się na doświadczeniach całego zespołu obecnych i dawnych pracowników Biblioteki Polish University College, stwierdzić mogę z pełnym poczuciem odpowiedzialności, że Emigracji potrzebne są nadal dobre przekłady z angielskiego, francuskiego i innych języków obcych. Potwierdza to w czasie ostatnich miesięcy ogromna poczytność ,,1984'' Orwell'a i ,,Biernego oporu czy wyzwolenia'' Burnhama, — przekładów Greene'a, Chestertona czy Marshall'a, cieszących się powodzeniem równym

nowościom polskim a przez nowości rozumiem każdy nowy tytuł pojawiający się na półkach.

Aby zrozumieć to zjawisko uprzytomnić sobie trzeba szereg faktów. Nieliczni tylko Polacy mają za sobą gruntowną, systematyczną naukę języka angielskiego czy francuskiego. Większość opanowała język pośpiesznie, użytkowo, — tyle ile trzeba koniecznie, by porozumieć się w sklepie, w kolejce, przy pracy. Trudności przy lekturze autorów angielskich są dla nich nie do pokonania, a występują na każdym kroku, nie tylko przy czytaniu Shakespear'a czy Miltona, ale nawet ,,Kapitanów zuchów'' Kiplinga czy zasadniczo łatwych powieści Cronin'a. Przezwyciężać tu trzeba zależnie od autora : archaizmy, gwarę rybacko-morską, wyrażenia gwarowe. Aldous Huxley albo W. Somerset Maugham są w pewnym sensie pisarzami ,,łatwiejszymi'' od Agathy Christie, autorki powieści sensacyjno-kryminalnych. W latach przedwojennych produkcja krajowych firm wydawniczych wyłapywała na gorąco najlepsze, dobre i mierne głośne ,,nowości'' literatur światowych. Dziś ukazuje się ich na ilość może nie mniej, ale w powodzi przekładów z rosyjskiego i pisarzy ,,krajów demokracyj ludowych'' świata toną nieliczne i tendencyjnie dobrane przekłady autorów zachodnich, zwłaszcza współczesnych. Biblioteki emigracyjne odczuwają to w sposób szczególnie dotkliwy. Przesadą byłoby niewątpliwie przychylenie się do opinii tych, którzy twierdzą, że czytelnik polski na Zachodzie zna gorzej bieżącą produkcję literacką świata, niż przedwojenny czytelnik w Kraju, — jest jednak w tej pesymistycznej ocenie przysłowiowe ziarno prawdy. W skali światowej wygląda to jeszcze gorzej : czytelnik polski we Francji czy Argentynie, nie znający języka angielskiego, odcięty jest w 100 proc. od wydarzeń literackich świata. Obserwacje te potwierdza powolne wychodzenie z kręgu przedwojennych wielkich nazwisk, — irytujące już dziś do żywego upominanie się o Galsworthy'ego, Huxley'a, Martin du Gard'a etc. — trwanie w kręgu pisarzy wielkich ale wczorajszych, z zamykaniem oczu na dzień dzisiejszy. Czyja to jednak wina ? czytelnika — odbiorcy czy wydawców, księgarzy, bibliotekarzy wreszcie emigracyjnych ? Oni to przecież powołani są do śledzenia literackich wydarzeń i uprzystępniania ich szerokiej publiczności czytającej. Co robią, by zaspokoić normalne potrzeby ogółu na odcinku czytelniczym ? — Zaiste, niewiele. Da temu wymowne świadectwo bliska już w czasie publikacja ,,Materiałów do bibliografii druków polskich i Polski dotyczących wydanych za granicą w latach 1939-1951'', wyliczająca tytuły około 6.000 książek i broszur emigracyjnych, przygotowywana przez Bibliotekę Polish University College w Londynie. Książki tzw. ,,Biblioteczne'' : beletrystyka, pamiętniki, biografie, książki na tematy aktualne, reportaże, wydawnictwa popularno-naukowe stanowią nie więcej niż 10 proc. ogółu produkcji wydawniczej. Publikowano ich najwięcej w latach 1943-6, a więc ubogo i oszczędnie, drobną czcionką, na złym papierze. Są już dziś w większości wyczerpane i wyczytane. Nie można zaspakajać przy ich pomocy normalnych potrzeb czytel-

niczych. Co rozumieć przez nie należy? W potocznym żargonie bibliotekarskim oznacza to danie czytelnikowi takiego zespołu książek, z którego mógłby wybrać rocznie około 40-50 interesujących go tytułów. Oznacza to konieczność dopływu co najmniej 200 tytułów rocznie w dobrze wyważonej mieszance wartościowych prac oryginalnych, przekładów i przedruków. W obrębie owych 40-50 tytułów (jedna książka na tydzień!) na głowę czytelnika podziały będą bardzo różnorodne. Jednych stać jeszcze na to, by czytać ,,Chłopów'' po raz trzeci, inni czynić już tego nie mogą. Jedni, że tak powiem z zamkniętymi oczyma, wyławiają z półki ,,nową'' tzn. nieznaną im jeszcze powieść Kraszewskiego, inni cierpliwie szukają dalej, czekając na nadejście czytelników, którzy, może, zwrócą jakąś bardziej atrakcyjną powieść. Jednych urzeka język ,,Bolesława Chrobrego'' Gołubiewa, inni załamują się na 50-tej stronie. Jedni czytać mogą pisarzy krajowych, Brezę, Brandysa czy Putramenta, by wyciągać z nich wnioski o sytuacji w Kraju, inni czytać nie chcą tego nawet, co na Emigracji pisze się o Kraju. To samo z literaturą obozową, to samo z książkami wojennymi czy wspomnieniami z łagrów sowieckich. Ci, którzy ich uniknęli w strusim odruchu odcinają się od opisów okropności, pogrążają się w nie natomiast gorliwie ci, których wyzwolić byśmy chcieli od koszmarów przeszłości.

W warunkach, gdy wybór lektury ograniczony jest w praktyce do kilkudziesięciu książek znajdujących się danego dnia na półkach — trudno wysnuwać miarodajne wnioski ze statystyk bibliotecznych. Trzeba bowiem chwalebnego uporu i samozaparcia, by cierpliwie czyhać, powiedzmy, na ,,Alchemię słowa'' Parandowskiego albo ,,Listy Nikodema'' Dobraczyńskiego. Biblioteka dysponuje sześcioma egzemplarzami ,,Przymierza'' Zofii Kossak albo ,,Gwałtowników'' Dobraczyńskiego. Nie wracają nigdy na półkę. Krążą z rąk do rąk. Czy znaczy to, że czytelnik lubi książki o tematyce biblijnej albo wyszukane esseje literackie? Czy zawrotna poczytność Gołubiewa jest oznaką wyraźnych zainteresowań powieścią historyczną? — Tu już powiemy: Tak! — bo na tym jednym, jedynym odcinku potrzeby zarysowują się wyraźnie i czytelnicy dają im wyraz w zdecydowanych żądaniach. Tę rzekomo specyficznie polską cechę upodobań czytelniczych zauważyli także bibliotekarze brytyjscy, obsługujący publiczność polską w okręgu przemysłowym Anglii środkowej.

Długa ,,kolejka'' czytelników czeka na Pamiętniki Chłędowskiego. Czemu? — czy interesuje ich autor, środowisko, epoka? Do wyjątków należy świadoma odpowiedź twierdząca. Dla większości będzie to podróż w nieznane. Gdy zapytamy, czemu w nią wyruszają, odpowiedź brzmieć będzie najczęściej: ,,Mam już dosyć powieści, chcę przeczytać coś poważniejszego, książkę o ludziach i sprawach rzeczywistych''.

Wspomniani poprzednio czytelnicy, ci których pociąga przeszłość w powieściowym bodaj ujęciu pragnęli właściwie tego samego: książki o ludziach i sprawach rzeczywistych. Głód realizmu? — oczywiście! Na skalę wręcz zastraszającą, po trupach

pisarzy ,,Młodej Polski'' — a nawet, ciężko to napisać, Wyspiańskiego i Żeromskiego. Nie znaczy to, by odrzuciwszy ich książki, ten sam czytelnik sięgał po Mniszkównę czy Mostowicza. Pisarzem, który odpowiadać mu będzie może okazać się Flaubert albo Orwell (po polsku !). Nie chodzi tu o skalę trudności, istotą rzeczy jest zaspokojenie głodu autentyzmu albo upewnienie się, że opis zdarzeń zewnętrznych czy też doznań wewnętrznych jest wiarogodny (lub wysoce prawdopodobny, idący po linii jego własnych przypuszczeń), zasługujący na zaufanie.

Przeciętny czytelnik wyraża w tym, jak mi się wydaje, coś jeszcze innego : głód wiedzy i szukanie własnej postawy filozoficznej. Ma on przeważnie jakiś fach, czasem dwa : dawny przedwojenny i nowy, wyraz częściej deklasacji niż awansu społecznego. Uczyć się otwarcie nie chce, nie zawsze sprecyzowane ma zresztą dostatecznie wyraźnie kierunki zainteresowań. Ujściem byłoby dla niego podsunięcie tomów czegoś co byłoby aktualnym odpowiednikiem Biblioteki Wiedzy Trzaski, Everta i Michalskiego, książek popularnych ale rzeczowych z zakresu historii, archeologii, nauk przyrodniczych i społecznych. My tego wszystkiego dać mu nie możemy. Dajemy mu niemal wyłącznie beletrystykę i to w większości pisma tzw. klasyków literatury, swoich i obcych. Czemu ? — bo dominują one wyraźnie wśród wydawnictw krajowych, nadających się na nasze półki biblioteczne. Czytelnik bierze więc powieść, ale sumienie go gryzie, że nie kształci się przy tym, że czas marnuje. I dlatego sięga tak chętnie po powieść historyczną, biografię czy pamiętnik. Zostaje po tym zawsze garść wiadomości historycznych, czasem żałośnie fragmentarycznych, którymi chętnie będzie się później popisywał. Nie sądźmy go za to surowo. Naszą jest winą, że teraz dopiero, dopiero w r. 1952-53, podejmuje się po długiej przerwie nieśmiałe próby zaspokojenia potrzeb czytelniczych Emigracji, co znalazło wyraz w niewątpliwym ożywieniu produkcji wydawniczej. Studium o zbieżnościach w utworach pisarza X i pisarza Y może być źródłem radości garstki specjalistów. Przyjemnie jest pracować nad nowym tematem, robić odkrycia literackie. Książka popularna czy podręcznik satysfakcji tej nie daje, czy raczej podobno nie daje. Jest sprawą naszą własną, sprawą naszego sumienia, co jest ważniejsze, co jest potrzebniejsze.

W sposób tendencyjny, czasem przerażająco perfidnie, robi się w Kraju niesłychanie dużo, by zaspokoić potrzeby czytelnika tzw. masowego. Książek tam wydrukowanych używać nie możemy *en bloc* dla zaspokojenia indywidualnych potrzeb naszych czytelników. I w kółko dzień po dniu odpowiadamy : oto zarys historii Polski Lewickiego, oto literatura Chrzanowskiego, oto ,,Polska w zwyczaju i obyczaju'' Dynowskiej, — przestarzałe ? — prawda, ale nowszych nie ma. Podręcznik historii literatury okresu pozytywizmu i ,,Młodej Polski'' — nie ma takiego w ogóle na naszych półkach.

Kurs dziejów Polski porozbiorowej gen. M. Kukiela wydany zawstydzająco ubożuchno i w mikroskopijnym nakładzie jest

— oby — pierwszą jaskółką zmian. Autorowi należy się szczera wdzięczność za to, że czasu swego i wiedzy nie szczędził na napisanie pożytecznego popularnego zarysu. Wzór to i pożyteczny i zawstydzający.

Ale wróćmy do litanii braków. Co dzień, dosłownie co dzień, odpowiadamy czytelnikom : nie ma zbioru biografij wybitnych Polaków, nie ma życiorysu Sienkiewicza, Orzeszkowej, Prusa, Konopnickiej, Żeromskiego. Nie ma polskiej biografii Chopina. Nie ma książki o Wielkiej Emigracji. Nie ma zarysu stosunków kulturalnych polsko-angielskich. Nie ma książki o wielowiekowych związkach Polski z Zachodem — Terlecki napisał tylko krótki szkic na ten temat. Nie ma zbioru polskich legend historycznych. Nie ma bajarza polskiego. Nie ma książki o polskim roku obrzędowym, o polskiej sztuce ludowej. Nie ma antologii materiałów na obchody rocznic narodowych. Nie ma książki popularnej, syntetycznej o Polsce współczesnej. Nie ma książek o miastach polskich, o Warszawie, Poznaniu, Katowicach, Toruniu, Wilnie, Krzemieńcu, Lwowie — książek, które by ukazały młodemu pokoleniu rację naszej tęsknoty za utraconą Ojczyzną. I to właśnie jest nienormalne i niezrozumiałe. Gdyby o potrzebach tych mówiło się więcej i bardziej rzeczowo, doszłoby zapewne do realizacji najpilniejszych postulatów, w formie nie przedruków i przeróbek, ale nowych opracowań, jeśli nie indywidualnym to zbiorowym wysiłkiem, tak jak powstały ongiś urwane w pół drogi „Straty kultury polskiej”, praca zbiorowa, bez cech przecież negatywnych tzw. „zamówienia społecznego”. Cechą wspólną wymienionych wyżej wydawnictw jest to właśnie, że zaspakajać one mają głód informacyj, chęć samokształcenia.

Czytelnik polski szuka jednak poza tym czegoś więcej : gruntu pod nogami, osadzenia się w ramach jakiegoś określonego i konsekwentnego poglądu na świat, szuka drogowskazów i rady. Prof. Konrad Górski zastanawiał się niedawno nad problemem wartościowania dzieł literackich. Co składa się na dobrą recepcję dzieła u czytelników i krytyków ? Do dwu wymienianych zazwyczaj elementów : treści i formy (w sensie i kompozycji i języka) dodał trzeci : wartości moralne a w szczególności wartość dzieła literackiego jako bodźca działań lub kierunku myślenia. Tkwią one nieraz podświadomie, podskórnie, w treści a nawet języku. Występować mogą bezpośrednio i dobitnie, wywołując sprzeciw, albo porywając za sobą. Mogą, jak przysłowiowa kropla drążyć kamień. Ale tkwić w dziele muszą. I tym właśnie tłumaczą się ogromne sukcesy moralne, sukcesy w najlepszym znaczeniu, pisarzy, których dzieła są świadectwem głębokich i autentycznych zmagań, z których wyszli oczyszczeni i lepsi — a więc Norwida, a więc Jerzego Lieberta, a więc Herlinga-Grudzińskiego, a więc Orwella.

W społeczeństwie emigracyjnym nie ma prawie jednostki wolnej od kompleksu tak czy inaczej pojętej winy, a błądzenie i szukanie towarzyszy nam najwierniej. Ci więc, którzy szukali, błądzili, których dzieła są wyrazem jakiegoś ukończonego zwycięstwem przynajmniej etapu szukania, ci są właśnie czytelniko-

wi emigracyjnemu szczególnie bliscy i nigdy nie są dla niego zbyt trudni.

Jest to znów, jak poprzednio, w wypadku realizmu sprecyzowanie postulatu bliskiego pozornie krajowym bohaterom pozytywnym. Słowa jednak kłamią. Żaden z wymienionych przykładowo autorów nie odpowiadałby oficjalnym wymaganiom krajowym. O porozumienie byłoby bardzo trudno.

Jeden jeszcze czynnik występuje wyraźnie przy gromadzeniu wypowiedzi czytelniczych takich jak te oto : ,,Biorę po raz drugi listy Słowackiego dla ich pięknego języka''. ,,Nie podobała mi się ostatnia książka X, ale przyznać muszę, że podsłuchał dobrze język kresowy'', ,,Muszę przeczytać coś pisanego dobrą polszczyzną dla odświeżenia słownictwa, przebywam stale wśród Anglików''. Wydaje się, że troska ta znajduje wyraz praktyczny w tekach językowych, odpowiedziach redakcji itp., które tak chętnie czytane są przez szerokie rzesze, — a także w zdecydowanym zaniku wpływu Wiecha na mowę inteligencji emigracyjnej. Język blady, potoczny albo przesadnie staranny nie podoba się także. Czytelnik zdecydowanie niewyrobiony zaskoczył mnie kiedyś ostrą krytyką języka Mostowicza, którego uważał poza tym za wielkiego pisarza, klasyka, którego książki ,,należały do lektury szkolnej i z których pisało się wypracowania''.

Gdy formułuję uwagi o czytelnictwie podświadomie wracam stale do czytelników najmniej wyrobionych, najliczniejszych i najbardziej zaniedbanych. Oni właśnie karmieni dziś literaturą ojczystą po troszeczku, jakby z kroplomierza, winni być okiem w głowie pisarzy, wydawców i bibliotekarzy. Ale nie są. Na niedawnym wieczorze poświęconym emigracyjnemu *pisarstwu* dużo mówiło się o sztuce dla sztuki a bardzo mało o odbiorcy, a już, jeżeli to o tym dalekim, pogrobowym, który tu niedocenionych, gdzieś tam w przyszłości dalekiej odkryje i oceni. Wydawcy ? — ci nie rozumieją czytelnika i niewiele robią, by go poznać, a raczej robili do niedawna, bo w miesiącach ostatnich coś się zmieniać zaczyna na lepsze. Bibliotekarze ? — i ci także nie są bez winy.

Wróćmy do punktu wyjścia. Wielorakim formom rozrywek kulturalnych, które stoją otworem przed obywatelem krajów anglosaskich, my przeciwstawiać możemy to tylko : książki, czasopisma, strzępy audycyj radiowych. Najlepiej wygląda odcinek czasopism : nie tylko zaspakajają one — i to na ogół dobrze — potrzeby czytelnicze w zakresie informacji o sprawach bieżących, ale pełnią nadto funkcje zastępcze, łatając braki na odcinku książkowym. Stosunek Emigracji do czasopism zasługuje na obserwację i badanie; rola ich w kształtowaniu opinii publicznej i budzeniu potrzeb kulturalnych jest zasadnicza, kluczowa i bez precedensu. Zawdzięczamy im ciągłość tradycji literackiej, na łamach ich witamy nowe nazwiska. Pozostaną po nas, jako zjawisko dla epoki naszej najbardziej charakterystyczne — a wstydzić się ich, zdaje się, nie będziemy potrzebowali. Towarzyszą im wiernie czytelnicy, — i ci, którzy grosz do grosza ciułając

składają na prenumeratę, — i ci także, którzy wykradają je z czytelni i podrzucają z wyciętym artykułem Wańkowicza albo ,,Katedrą Sandwiczów''.

Wzmianka o opowiadaniu Straszewicza pozwala mi na przejście do ostatniego punktu moich rozważań — osadzenia czytelnika emigracyjnego w W. Brytanii w określonej warstwie społecznej, ,,klasie''. Nie jest nią na pewno tylko i wyłącznie tzw. inteligencja. Czytelnikami najgorliwszymi, najwdzięczniejszymi i co więcej, nabywcami książek są w przygniatającej większości ex-żołnierze, pracownicy fizyczni, drobni urzędnicy itp., rzadko mogący wykazać się świadectwem ukończenia pełnej szkoły średniej. Zadziwiająca odporność psychiczna, zdrowy sens, zaradność i rzetelność każe przeciwstawiać tę ogromną grupę mniej licznej ale bardzo typowej grupie zdeklasowanych i obarczonych kompleksami, załamanych nerwowo inteligentów, nie mogących zdobyć się na sformułowanie własnej opinii, zdolnych jedynie do powtarzania gotowych prefabrykowanych sądów. Zarysowało się to szczególnie ostro w wypadku ,,Katedry Sandwiczów', o której szary ludek dowiedział się natychmiast, psim swędem, pocztą pantoflową, na nocnej zmianie, w ogonku u Sainsbury'ego, — a której tzw. elita intelektualna opornie przeciwstawia się dotąd.

Na oczach naszych, na pożywce samouctwa i dobrej woli, w twardej szkole życia, — co by się nie mówiło, — zachodnioeuropejskiego wyrasta i dojrzewa nowa fala czytelników, obejmująca coraz szersze kręgi. Żal, że można im dać tak mało. Że karmi się ich owymi nowościami à la Kraszewski, owymi rozlatującymi się brudasami, które biorą bezgłośnie, choć wiedzą, że brak kartek i że czekać wypadnie na tom drugi. Coś by jednak zrobić warto, by ów żywiołowy proces tworzenia się nowej inteligencji przyśpieszać i podsycać, wyprostowywać i upowszechniać.

Maria DANILEWICZOWA

"Świt" - tajemnica Naczelnego Wodza

(Dalszy fragment wspomnień osobistych, umieszczonych w „Kulturze" Nr 7/24 z 1949 r., pt. „Pierwsze władze Polski Podziemnej" oraz w Nr 11 z 1948 r., pt. „Ostatnie Miesiące Delegatury Rządu")

Wydawnictwo Komisji Historycznej Polskiego Sztabu Głównego w Londynie, pt. „Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej Tom III — Armia Krajowa", na str. 286 zawiera wzmiankę treści następującej :

„Należy tu przede wszystkim sprostować dość rozpowszechnione lecz mylne mniemanie, jakoby radiostacja „Świt" nadawała z Kraju. W rzeczywistości była to stacja angielska, nadająca spod Londynu audycje w języku polskim, opracowane przez zespół polski, pod ścisłą kontrolą angielską".

W ten sposób tajemnica „Świtu", która już zaczęła przesiąkać na zewnątrz w końcowym okresie Drugiej Wojny Światowej, została jak gdyby oficjalnie zaliczona do materiału historycznego i nic już nie stoi na przeszkodzie, by oświetlić działalność „Świtu" od strony krajowej. Przystępuję do tego zadania, znając obecnie odwrotną stronę medalu, tj. spory i rozbieżne opinie, jakie w sprawie „Świtu" były wypowiadane w czasie wojny na emigracji, głównie na temat, czy „Świt" służył polityce angielskiej, czy polskiej. To dodało mi bodźca do ujawnienia krajowego oblicza tej imprezy, oblicza tak odmiennego od tego, jakie „Świt" posiadał dla wtajemniczonych w Anglii. Dla nas bowiem w kraju, w podziemiu, był on radiostacją polską, którą osłaniała tajemnica najwyższego rzędu — bo Naczelnego Wodza.

Materiały drukowane w tym dziale są zamieszczane na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

I

W kwietniu 1941 roku zostałem mianowany Pełnomocnikiem dla spraw ruchu oporu całej ludności polskiej. Stanąwszy na czele Kierownictwa Walki Cywilnej, postawiłem sobie m.in. za zadanie zorganizowanie własnego połączenia radio-telegraficznego z Londynem. To się udało : pierwsza tajna radiostacja nadawcza została wybudowana w Warszawie przez siedemnastoletniego krótkofalowca-amatora Ziutka, który chociaż pisze nieortograficznie, bo skończył tylko szkołę powszechną, to jednak potrafi budować radiostacje. Jest to swego rodzaju geniusz techniczny, przedmiot podziwu ludzi, związanych z naszą robotą. Po paru miesiącach bezskutecznych prób, nawiązuje on, przy pomocy dwudziestoletniego telegrafisty Janka, łączność z Londynem w dniu 2 sierpnia 1941 roku. Od tego czasu sieć łączności rozwija się coraz bardziej i w roku 1942 mamy już kilka radiostacji, komunikujących się z Londynem, który informujemy o wszystkich wydarzeniach w Polsce. Radiostacje są ulokowane częściowo w Warszawie, częściowo w podmiejskiej okolicy i praca ich jest niesłychanie niebezpieczna. Rozwija się bardzo szybko dramatyczna i pełna napięcia walka radiostacji i ich osłon ze specjalnymi oddziałami niemieckimi, składającymi się z Gestapo i techników radiowych. Jest to walka nie tyle na broń, ile na wzajemne szpiegowanie, podstępy i lepszą organizację. Na wywiad Niemców odpowiadamy kontrwywiadem, na ich zasadzki swoimi, na ich ulepszenia — naszymi. Broń odzywa się tylko wtedy, gdy wszystko zawodzi i jest to z reguły sygnał śmierci dla naszych ludzi, którzy w mieście pełnym Niemców, nie mogą walki wygrać. Ekipy goniometryczne tropią nasze stacje w dzień i w noc. Używają do tego stałych punktów podsłuchowych, rozlokowanych po całym kraju systemem „trójkąta", samolotów i samochodów zaopatrzonych w aparaty pomiarowe, wreszcie wywiadowców, przebierających się za przekupniów, miejskich czyścicieli ulic, kolejarzy a nawet księży. Węszą oni w bloku domów, wskazanym przez pomiary. Strój, w jaki się przebierają, ma ich uczynić niewidocznymi w tłumie polskich mieszkańców i przechodniów. Wielu z nich mówi po polsku. Bronimy się ciągłą zmianą mieszkań, z których radiostacje nadają, ale o które bardzo trudno, zmianą tak zwanych „elementów ruchu", tj. długości fal, godzin pracy, znaków wywoławczych, po których nasza stacja poznaje się z londyńską i które co dzień są inne według ustalonego systemu, zmianą rodzaju szyfrów itd. Słowem robimy wszystko to, co utrudnia Niemcom pomiary i zidentyfikowanie radiostacji. Ostatnią deską ratunku są nasze obserwatorki, kobiety spacerujące po ulicach, w okolicy domu, gdzie radiostacja pracuje, a także czuwające w lokalu samej radiostacji, przy oknie; obserwują one wszystko i alarmują w razie spostrzeżenia krążącego po niebie samolotu (często ze zgaszonym motorem, by hałas nie zwracał uwagi), lub kręcących się po ulicy podejrzanych samochodów i ludzi. Na dany przez nie sygnał,

stacja przerywa pracę i aparat wędruje do tajnego schowka. Obserwatorki te, dla usprawiedliwienia długiej obecności na ulicy, zajmują się sprzedażą gazet, owoców, chleba lub udają handlarki domokrążne. Z czasem nabierają doświadczenia i rozwija się w nich wspaniały instynkt, działający jak dzwonek alarmowy, który ratuje nie raz nasze radiostacje przed niechybną zgubą.

Jeśli szperaczom niemieckim uda się zmylić czujność obserwatorek i przejść przez ich linie niespostrzeżenie, telegrafiście na radiostacji pozostaje tylko pistolet i granaty, z którymi w czasie pracy nie rozstaje się ani na chwilę i którymi broni się póki nie padnie. Czasami udaje mu się uciec. Na inny ratunek liczyć nie może.

Ten system obrony funkcjonuje do roku 1943 dobrze. Nasze radiostacje nie ponoszą w tym czasie żadnej straty. Później jednak... !

II

Pod koniec 1941 roku, Ziutkowi udało się zrealizować nasz wymarzony projekt, jakim było zorganizowanie tajnej radiostacji fonicznej (pracującej na głos), umożliwiającej nadawanie tajnych audycji dla kraju i zagranicy. Wybudował on taką stację foniczną z części, pościąganych od różnych krótkofalowców amatorów, o mocy 300 wattów i nadaliśmy z niej w przeddzień Bożego Narodzenia audycję, przeznaczoną dla Polaków w Anglii. Została ona przez nas powtórzona w przeddzień Nowego Roku i odbiór jej został potwierdzony w przemówieniu członka rządu polskiego, który odpowiedział na nią przez BBC w dniu 10 stycznia 1942 roku. (Patrz ,,Biuletyn Informacyjny z 22 stycznia 1942 roku).

Przy pomocy tej samej radiostacji udało nam się nadać we wrześniu 1942 roku jeszcze jedną audycję w języku angielskim i polskim dla Anglii. Niestety, tylko jej fragmenty zostały utrwalone w Anglii na taśmie, gdyż na ogół była tam źle słyszana z powodu małej mocy naszej stacji i przeszkód w eterze. Nienagrane części przemówień zostały wobec tego później przetelegrafowane. Ówczesny premier, generał Władysław Sikorski, zdecydował transmitować te audycje przez kilkadziesiąt radiostacji alianckich, ale przedtem zwrócił się telegraficznie do swego pełnomocnika w kraju, delegata rządu Stanisława Piekałkiewicza — który objął stanowisko po Ratajskim — i do Komendanta AK, generała Jana Roweckiego, z zapytaniem, czy się na to zgadzają. Delegat Piekałkiewicz nie tylko że udzielił natychmiast swej zgody, ale prosił generała Sikorskiego o jak najszersze rozpowszechnienie nadanych z Polski przemówień. Natomiast generał Rowecki odmówił swej zgody, tłumacząc się obawą doprowadzenia do wściekłości Niemców i pogorszenia przez to bezpieczeństwa pracy innych radiostacji. Wobec dwóch sprzecznych opinii, transmisji zaniechano ku oburzeniu Ziutka,

Zosi i wszystkich, którzy w tę imprezę włożyli tyle pracy i ryzyka.

Miałem na ten temat burzliwą rozmowę z Roweckim. Pod koniec jej Rowecki rozłożył ręce : ,,Może macie rację, ale ja nie mogę iść przeciw opinii mego szefa łączności, a on się sprzeciwia transmisji''.

Niemniej nie zrezygnowaliśmy z ulubionego pomysłu i Ziutek zaczął budować nową radiostację, o mocy jednego kilowata, dla której lampy nadawcze otrzymaliśmy już ze zrzutów, dokonanych przez samoloty alianckie.

III

Któregoś dnia, w jednym z naszych tajnych lokali, szyfrantka Zosia podniosła głowę znad obszernego stołu, założonego arkuszami papieru, na których odszyfrowywała otrzymaną tylko co z Londynu depeszę i powiedziała podnieconym głosem : ,,Przeczytaj, to coś ciekawego''.

Pochyliłem się nad kolumnami cyfr, z którymi Zosia wyrabiała jakieś dziwy dla wydobycia tekstu i odczytałem mniej więcej, co następuje : ,,Czy słyszycie tajną radiostację, pracującą na fali 31 metrów, o godzinie ósmej rano i siódmej wieczór, w języku polskim ?''

Byłem zdumiony i zaskoczony. O istnieniu takiej radiostacji nic nam nie było wiadomo. Jedyną dobrze nam znaną radiostacją, używającą polskiego języka, było BBC, które wobec skonfiskowania przez Niemców radioaparatów, słuchane było potajemnie, na odbiornikach nie oddanych, lub wybudowanych w konspiracji. Na długo przed siódmą czatowaliśmy, Zosia, Ziutek i ja, w naszym lokalu, w jednej z najwyższych kamienic na Marszałkowskiej. Był tam warsztat Ziutka, do którego można było się dostać tylko po uruchomieniu specjalnej sieci sygnalizacyjnej. Wprawiało ją w ruch naciśnięcie główki od szpilki, ukrytej we framudze drzwi. Pokój zawalony drutami, lampami, transformatorami i mnóstwem rzeczy, znanych tylko specjalistom. Ziutek, blady, wysoki, pochylony chłopak, o dziwnie dojrzałym spojrzeniu i wielkich, zrośniętych brwiach, przygotował już odbiornik. Punktualnie o siódmej odezwał się głos mocny i czysty, widać, że stacja na wysokim technicznym poziomie. Już z pierwszych słów tekstu było widoczne, że stacja jest antyniemiecka i że mówi z kraju, z okupowanej Polski. Zaczęliśmy sobie łamać głowy. Kto to mógł zrobić ? Znaliśmy dobrze konspiracyjne środowisko radiowe i jego możliwości, toteż cała sprawa wydała nam się nie do wiary. Ale nasz zwariowany pomysł został przez kogoś zrealizowany i tajna radiostacja krajowa mówi przecież, i to doskonale !

Wysłałem natychmiast depeszę do Londynu, podającą bardzo pochlebne techniczne uwagi o nieznanej stacji. Zarazem podałem, że nic o niej nie wiemy. Chodziliśmy w dalszym ciągu zaintrygowani, słuchając regularnie zagadkowych audycji.

Wyjaśnienie nie kazało na siebie długo czekać. Pewnego dnia otrzymałem własnym szyfrem depeszę, zastrzegającą niezwykłą tajemnicę, bo przed wszystkimi w Polsce, bez wyjątku, włączając w to władze podziemne. Informowała ona, że tajna radiostacja o nazwie ,,Świt'', znajduje się w kraju alianckim i jej zadaniem jest udawanie stacji krajowej, gdyż to z jednej strony wzbudzi na zachodzie większe zaufanie dla wiadomości przez nią podawanych, a z drugiej będzie to dobra dywersja i propaganda antyniemiecka. Depesza podkreślała, iż powierzono nam tajemnicę najwyższego rzędu, bo Naczelnego Wodza, który wziął na siebie odpowiedzialność za jej dochowanie. Następne depesze podkreśliły z naciskiem, że cała ta koncepcja może się załamać, jeśli nasza organizacja radiowa nie będzie w stanie stale zaopatrywać ,,Świtu'' w świeże, możliwie codzienne wiadomości z Polski. One tylko mogą pozwolić ,,Świtowi'' na odgrywanie z powodzeniem roli radiostacji krajowej.

Pomysł nam się bardzo spodobał. Wpadliśmy w nastrój radosnego podniecenia i zaczęliśmy na wyścigi dyskutować możliwości robienia Niemcom różnych kawałów. Rozumieliśmy przy tym doskonale doniosłość tej koncepcji z punktu widzenia akcji antyniemieckiej. Oczywiście na czoło wybijała się konieczność dostarczania ,,Świtowi'' jak najwcześniej i jak najwięcej wiadomości z okupowanego kraju. Z tego znów wyłonił się pomysł, by umożliwić ,,Świtowi'' podawanie wiadomości o wydarzeniach w Warszawie z tego samego dnia. Było to możliwe, gdyż nasze radiostacje były na miejscu, w Warszawie, a główna szyfrantka, Zosia, zawsze pod ręką. Była to przecież moja żona, z którą od przeszło dwóch lat ukrywałem się, coraz to zmieniając nazwisko i fałszywe dokumenty. Z tego wszystkiego wyłonił się następujący system, stwarzający nie raz karkołomne sytuacje.

IV

Wychodziłem wcześnie na miasto, rozglądając się pilnie, czy nie jestem obserwowany, lub by nie natknąć się na Niemców, łapiących po ulicach ludzi na roboty. Rozpoczynałem w ten sposób polowanie za jakąś sensacyjną wiadomością, która by dała ,,Świtowi'' temat do audycji tego samego, lub następnego dnia. Jeśli nieszczęście chciało, że Niemcy w nocy na przykład rozplakatowali listę osób, rozstrzelanych z tego czy innego powodu (duże, rzucające się w oczy czerwone afisze, dobrze znane każdemu mieszkańcowi Warszawy z tego okresu czasu) lub rozlepili jakieś rozporządzenie, lub też w ogóle coś się stało, o czym całe miasto mówiło, wówczas wracałem do kryjówki i po ułożeniu tekstu i zaszyfrowaniu go przez Zosię, depesza wędrowała na stację tak, by zdążyć na rozpoczęcie pracy z Londynem.

Gdzieś na Ogrodowej czy na Chłodnej, obserwatorki kręcące się po ulicach, wymieniają z Zosią, która niesie depeszę, porozumiewawcze spojrzenia : ,,Wszystko w porządku, możesz

iść''. Rzut oka na okno. Firanka odchylona, czy też doniczka z kwiatami ustawiona w umówiony sposób. Znaczy to — droga wolna. Teraz pukanie do drzwi według systemu ustalonego na dany okres czasu. Drzwi się uchylają. Przy stole siedzi ze słuchawkami na uszach jeden z naszych telegrafistów, Władek, Janusz czy Mirek i ,,łapie Londyn''. Telegrafista ma twarz skupioną, wpatrzony gdzieś przed siebie. Ręce miarowo wystukują : ,,tu woła stacja nr 30...'' Sygnał idzie raz po raz w powietrze, a po tym : ,,przechodzę na odbiór...'' Ręka telegrafisty odskakuje od klucza i cały zamienia się w słuch. Za chwilę rozjaśnia mu się twarz, kiwa głową z zadowoleniem i wyciąga rękę po depeszę. W Londynie słyszą go i to dość dobrze. Wkrótce Londyn zaczyna odbierać wiadomości dla ,,Świtu''.

Wieczorem słyszymy ją nadaną przez ,,Świt'', rozbudowaną i skomentowaną. Słyszą ją tysiące Polaków, słuchających w kraju radia potajemnie, nie bacząc na grożącą im za to karę śmierci. Nie słyszą jej tylko Polacy w... Anglii, gdyż dzięki specjalnym urządzeniom technicznym, ,,Świt'' nie jest tam słyszany.

V

Niemiecka gazeta ,,Nowy Kurier Warszawski'', wydawana w języku polskim, wychodzi na miasto około pierwszej po południu. Zalana jest obrzydliwą, niemiecką propagandą, ale ma zawsze jakiś materiał, nadający się dla ,,Świtu'', którego zadaniem jest także zwalczanie tej propagandy. Jednak przygotowanie i wysłanie depeszy zajmuje parę godzin i ,,Świt'' nie byłby w stanie cytować ,,Nowego Kuriera Warszawskiego'' tego samego dnia. Ale czasami udaje się na to znaleźć sposób.

Oto któregoś dnia, wcześnie rano, stoję czujny i baczny na to co się wokół dzieje, na rogu ulicy Marszałkowskiej i Placu Zbawiciela, niedaleko miejsca, gdzie się drukuje ,,Nowy Kurier Warszawski''. Po paru minutach z tramwaju wyskakuje znajoma postać. Oczy zaspane, twarz nieogolona. Wchodzimy, rozejrzawszy się starannie naokoło, do pierwszej lepszej bramy, a stamtąd na schody. Nasłuchujemy — nikt nie idzie. Mój towarzysz wyciąga z kieszeni zwitek papieru, wpycha mi w rękę i ze słowami ,,do widzenia'', zbiega ze schodów.

Śpieszę do naszego lokalu, zadowolony jak zawsze, gdy coś idzie gładko. Rozwijamy z Zosią paczkę i oto przed nami leżą mokre jeszcze płaty ,,Nowego Kuriera'', na kilka godzin przed wypuszczeniem go na miasto. Udało nam się pozyskać pracownika redakcyjnego i ten, gdy tylko okoliczności mu pozwolą, będzie nam dostarczał wcześnie rano pierwsze odbitki NKW, robione dla korekty. Nasz łącznik dostał już dzisiaj od niego pierwszą porcję. Przejrzenie tekstu, znalezienie materiału, ułożenie depeszy wraz z dodaniem wskazówki takiej, jak ,,wykpijcie'' lub ,,pogróżcie'', to tylko kwestia kilku kwadransów. Więcej czasu zabiera przewiezienie i nadanie depeszy, zależne od wa-

runków w eterze. Ale na ogół, po paru godzinach depesza jest w Londynie, a wieczorem, nasz przygodny kontroler audycji ,,Świtu'', Józef Wierusz-Kowalski, Polak, obywatel szwajcarski, mający z tego powodu prawo posiadać oficjalnie odbiornik, słucha w swym mieszkaniu na kolonii Staszyca :

,,Tu mówi ,,Świt''... Dzisiejszy ,,Nowy Kurier Warszawski'' przynosi rozporządzenie Gen. Gubernatora Franka, podwyższające normy tłuszczu dla ludności polskiej tzw. Generalnej Gubernii. Głupi Niemiec myśli, że Polacy dadzą się pozyskać kilkoma gramami słoniny...'' i tu następują dalsze kpiny z Niemców.

Wierusz-Kowalski nie wie, że ,,Świt'' jest poza krajem, a że mu mówię z góry, co ma w audycji sprawdzić, więc jest może najbardziej ze wszystkich przekonany, że ,,Świt'' jest w kraju.

Nasz wywiad donosi, że Niemcy się wściekają i szukają ,,Świtu'' zawzięcie. Nic nie może nam sprawić większej satysfakcji !

VI

Spotykam się w małej kawiarence, jakich było wtedy w Warszawie bez liku, z moim znajomym, redaktorem tajnego pisma podziemnego. Pytam go : ,,Kiedy wypuszczasz najbliższy numer ?'' — ,,W czwartek''. Dziś jest poniedziałek, więc jest dosyć czasu na zrealizowanie nowego pomysłu. Pytam : ,,Czy podasz jaką ważną wiadomość ?'' — ,,Tak. Sztab lotnictwa niemieckiego ulokował się w Konstancinie, pod Warszawą''.

Następnego dnia idzie o tym depesza do Londynu, z dodatkiem : ,,Podajcie to w czwartek''. Toteż w czwartek rano ,,Świt'' mówi : ,,Podziemna gazeta... z dnia dzisiejszego donosi, że sztab lotnictwa niemieckiego ulokował się w Konstancinie, pod Warszawą''. A dalej następuje komentarz, omawiający znaczenie tego faktu.

Z nasłuchów BBC dowiadujemy się, że ta właśnie konkretna wiadomość obleciała prasę i radio całego świata.

W ten sposób nie tylko zagranica, ale i ludzie z polskiego Podziemia, np. w Warszawie, z jednej strony słuchający ,,Świtu'', a z drugiej czytający prasę podziemną, widząc, że ,,Świt'' podaje wiadomość, zawartą w podziemnej gazecie z tego samego dnia, daliby się posiekać w kawałki, że ,,Świt'' jest w kraju.

VII

Cały system już chwycił i funkcjonuje, toteż czas było postawić kropkę nad ,,i''. I oto w całej prasie podziemnej ukazał się komunikat Kierownictwa Walki Cywilnej, donoszący o istnieniu tajnej radiostacji ,,Świt'' i podający godziny jej pracy oraz

fale, na jakich należy jej słuchać. Komunikat nie stwierdzał, że „Świt" jest w kraju, ale stwarzał takie domniemanie, w każdym razie łączył z nim KWC (Patrz „Biuletyn Informacyjny" nr 24, z 17 czerwca 1943). Staje się on sensacją dnia w podziemnej Warszawie.

VIII

W ten sposób zaczynamy przy pomocy „Świtu" nie tylko informować świat o wydarzeniach w Polsce, ale też terroryzować Niemców, pilnie zresztą kontrolujących audycje „Świtu". Zwracamy się specjalnie do tych, którzy dopuszczają się okrucieństw. „Świt" wymienia ich zbrodnie i grozi. Ponieważ nie rzucamy pogróżek na wiatr, o czym Niemcy dobrze wiedzą, zatem zdarza się, iż niektórzy z nich łagodzą postępowanie, inni starają się o przeniesienie do Rzeszy, wreszcie Kreishauptmann pow. warszawskiego, Richter, stara się wytłumaczyć przed ruchem podziemnym przy pomocy przywołanego pod pretekstem choroby lekarza polskiego i przyrzekając poprawę prosi o litość. Oto przykład pogróżek :

„Dwudziesty kwietnia 1943 r. Pogróżcie komendantowi niemieckiej policji w Kielcach, Geyerowi, który podczas ekspedycji odwetowej w Samsonowie osobiście zabił żonę i dwie córki sekretarza gminy i dwóch urzędników gminy. Pogróżcie gestapowcowi Witkowi, w Łagowie Kieleckim, za zamknięcie w oborach i spalenie żywcem kilku rodzin i urzędnikowi kolejowemu Vogtowi w Jędrzejowie, który bez powodu zastrzelił pasażera i kolejarza Kuderę".

„Piętnasty października 1943. Po południu podali Niemcy przez megafony nazwiska dalszych czterdziestu zakładników. Ogółem wzięli stu. Podajcie i powtarzajcie następującą zapowiedź : w ostatnich dniach Gestapo rozpoczęło nową falę terroru w formie masowych łapanek niewinnych ludzi oraz brania i rozstrzeliwania zakładników, jak to miało miejsce w Warszawie, w dniach 13 i 14 października br. Polacy nie dadzą się zastraszyć taką bezmyślną i okrutną akcją. W odwet za tego rodzaju akty terroru zostaną wykonane dodatkowe uderzenia dywersyjne i represyjne".

„Świt" ogłasza wykonane przez KWC wyroki śmierci na agentach Gestapo, podaje do wiadomości ludności polskiej zarządzenia sabotażowe KWC, apeluje do aliantów o odwet za okrucieństwa niemieckie, nawet podaje dowcipy antyniemieckie, stając się skutecznym narzędziem w walce z okupantem. Oto przykłady tego rodzaju depesz :

„Dwudziesty drugi czerwiec 1944. Ogłoście o rozstrzelaniu z wyroku Sądu Specjalnego okręgu Kraków : Walentego Pawlika, Walentego Deca, Wandy i Sławomira Madradów, konfidentów Gestapo, oraz Sądu Specjalnego w Warszawie : Antoniego Pietrzaka, kaprala policji granatowej, za współpracę z Niemcami w tropieniu Żydów".

„Dwudziesty trzeci kwietnia 1943. Dziś rozlepiono w Warszawie odezwę burmistrza Leista, wzywającą do dobrowolnego zgłaszania się do pracy w Rzeszy i w GG, pod groźbą zastosowania środków przymusowych.

Zapewnia on wyżywienie takie, jak dla Niemców, opiekę księży, dobre mieszkanie itd. Wezwijcie imieniem Kierownictwa Walki Cywilnej do oporu".

„Dwudziesty drugi czerwca 1944. W Krakowie, przy kościele Św. Wojciecha przewrócono słup z megafonem, na którym napisano : Kłamałem cztery lata, idę do spowiedzi".

IX

Pewnego dnia dostałem wiadomość, że emisariusz rządu polskiego, który przybył do Polski, pragnie się ze mną widzieć. Wyznaczyłem spotkanie na Pl. Małachowskiego, obok skwerku. W piękny, słoneczny dzień przyszedłem punktualnie na miejsce i wśród nielicznych przechodniów rozpoznałem szybko emisariusza. Opis się zgadzał, więc zagadnąłem go umówionym hasłem. Uśmiechnął się porozumiewawczo i odpowiedział. Wyciągnąłem do niego rękę — wszystko w porządku.

Emisariusz Nowak, bo takie miał pseudo, młody człowiek z krótkim, przystrzyżonym wąsikiem i szramą na twarzy, przyglądał mi się z zaciekawieniem : „Mam informację, że pan jest kierownikiem „Świtu" ? Spojrzałem na niego złym okiem. Takich pytań, zadawanych przez ludzi z konspiracji, miałem powyżej uszu. — „A dlaczego pan o to pyta ?" — I za chwilę z trudem musiałem kryć zakłopotanie. Nowak przemykał się do Polski drogą przez Szwecję i tam się zetknął z polską placówką, która go ekspediowała dalej. Przy tej okazji dowiedział się, że polska kolonia w Szwecji słucha „Świtu", ale zdania wśród niej są podzielone. Jedni twierdzą, że to jest niemożliwe, by tajna radiostacja foniczna mogła przemawiać dwa razy dziennie w kraju, okupowanym przez Niemców. Ci upierają się przy zdaniu, że już po paru audycjach Niemcy by ją zlikwidowali. (Pomyślałem z uznaniem, że muszą to być nieźli fachowcy). Drudzy, zapaleni zwolennicy „Świtu", utrzymywali na podstawie audycji, omawiających wydarzenia z Warszawy z tego samego czy poprzedniego dnia, że stacja musi być w Polsce i to blisko Warszawy, inaczej nie mogłaby podawać tak świeżych wiadomości. W rezultacie Nowak przyrzekł, że gdy dotrze do kraju, wyjaśni sprawę w ten sposób, że jeśli stacja jest w Polsce, to nada umówione z rodakami w Szwecji hasło.

Gdy Nowak skończył i patrzył na mnie pytająco, odpowiedziałem : „To się da zrobić. Jakie hasło trzeba nadać ?" — Usłyszałem w odpowiedzi coś w rodzaju : „Janek pozdrawia Stasię".

Obliczyłem szybko w myśli : dziś jest poniedziałek, jutro wyślę depeszę, w środę będą mogli już hasło nadawać. Zwróciłem się do Nowaka : „Załatwione. Od środy „Świt" będzie nadawać hasło przez trzy dni".

Nowak był zadowolony i zaczął rozpływać się nad wspaniałą organizacją „Świtu" i bohaterstwem ludzi w nim pracujących, którym przecież każdego dnia grozi straszne niebezpie-

czeństwo. Słuchałem tego bez żadnego zażenowania. Istotnie, nasi telegrafiści i obserwatorki to byli bohaterowie, narażający swe życie każdego dnia dla należytej obsługi ,,Świtu''.

Odpowiednia depesza została wysłana i od środy wysłuchiwaliśmy, jak ,,Świt'' wołał : ,,Uwaga, uwaga ! A teraz nadamy ważne hasło : Janek pozdrawia Stasię''.

Jak sądzę, wątpliwości placówki polskiej w Szwecji zostały rozchwiane, ale pozostał jeszcze swego rodzaju dług, zaciągnięty wobec Nowaka, z którym spotkałem się znacznie później, gdy już tajemnica ,,Świtu'' była mu znana. Na szczęście brał wszystko na wesoło. ,,Ależ pan mi zrobił kawał ! Nie mam jednak pretensji, gdyż tajemnica ,,Świtu'' tego wymagała. Niech pan sobie wyobrazi, że gdy przedostałem się z Polski z powrotem do Anglii, to nawet wobec wtajemniczonych przysięgałem na wszystko, że ,,Świt'' jest w Polsce i że nawet rozmawiałem z jego kierownikiem''.

Mam nadzieję, że pan Jan Nowak, obecny kierownik Radia Wolnej Europy w Monachium, nie weźmie mi za złe opowiadania o tym epizodzie, który zasługuje, moim zdaniem, na to, by go podać, jako przykład dziwacznych sytuacji, jakie narzucała — powtarzam narzucała — tajemnica ,,Świtu''.

X

A oto inne, podobne sytuacje.

Któregoś dnia przyszedłem na rozmowę z wyższym funkcjonariuszem Delegatury Rządu, związanym z działem propagandy i informacji, który naturalnie nie orientował się wówczas, że ,,Świt'' jest zagranicą. Mój rozmówca był wyraźnie wzburzony i z miejsca przystąpił do rzeczy :

,,Świt'' kompetencyjnie należy do naszego Departamentu i dołożę wszelkich starań, by Delegat nakazał oddanie go w nasze ręce''.

Oświadczyłem na to, że ,,Świt'' jest przede wszystkim instrumentem Walki Cywilnej, na której czele stoję, i nie mam zamiaru pozbywać się tego środka działania. Rozmówca mój nieco złagodniał.

,,To w każdym razie liczę na to, że pan weźmie do zespołu ,,Świtu'' naszych pisarzy i odda pan nam do wyłącznej dyspozycji kilka audycji tygodniowo''.

Odparłem na to, niewiele zresztą rozmijając się z prawdą, że ,,Świt'' ma skompletowaną ekipę i nie może organizacyjnie być w dyspozycji dwóch różnych ośrodków redakcyjnych. Mój rozmówca wówczas wybuchnął :

,,Jeśli pan się nie godzi na moje propozycje, to w takim razie w ciągu trzech miesięcy uruchomię własny ,,Świt''. — ,,Wątpię, by się to panu mogło udać''. — ,,Mogę się z panem o to założyć, że w trzy miesiące będę mówił z własnej stacji''. — ,,Byłoby to nieuczciwością z mojej strony, gdybym taki zakład przyjął, bo wiem, że to niemożliwe''. — Mój nowoupie-

czony konkurent zatriumfował : ,,A widzi pan, boi się pan zakładu ! Zobaczy pan za trzy miesiące".

Nie zobaczyłem nic, ani za trzy miesiące, ani za sześć, ani za rok, bo nie mogłem zobaczyć. Konspiracyjna radiostacja foniczna w okupowanym kraju, mówiąca dwa razy dziennie, o tych samych godzinach i na tych samych falach, o wielkiej mocy, pracująca na tzw. fali ciągłej, niezmiernie łatwej do wymierzenia — byłoby to szaleństwo. W granicach możliwości leżały tylko krótkie, rzadkie i nieregularne audycje, takie jakich próbowaliśmy w 1941 r. Jeśli chodzi o ,,Błyskawicę", uruchomioną w Warszawie w czasie Powstania Warszawskiego, to trzeba pamiętać, że pracowała ona w warunkach zupełnej swobody.

Kiedy indziej spotkałem się z jednym z przywódców własnego stronnictwa ludowego. Ten z kolei był zasępiony, przygryzał nerwowo wargi i przestępował z nogi na nogę — nieomylny znak dla tych, którzy go znali, że ma coś przykrego do powiedzenia. Tym razem wyglądało to w sposób następujący :

,,Moi drodzy, w tym waszym ,,Świcie" uwzględniacie wszystko, prócz spraw ludowych. Czytam jego nasłuchy i nic w nich o wsi nie znajduję, a tylko wszystko związane z AK".

Zaoponowałem gorąco, gdyż nie raz czerpałem materiał do depesz z agencji ,,Wieś" i podziemnej prasy ludowej. Kolegi partyjnego jednak nie przekonałem i rozstaliśmy się dość ozięble.

Trzeba trafu, że z tego spotkania pomaszerowałem wprost na widzenie z pułkownikiem Rzepeckim, szefem Biura Informacji i Propagandy AK. Siedziała przede mną żywa kopia poprzedniego rozmówcy. Twarz zasępiona itd. Bez dłuższego wstępu wyłożył ,,kawę na ławę". — ,,W tym waszym ,,Świcie" nie ma nic, prócz demagogii ludowej. Kontroluję jego audycje i myślę, że zaniedbanie spraw AK jest skandaliczne".

Wpadłem w doskonały humor. Obie pretensje wzajemnie się znakomicie kasowały i można było machnąć na nie ręką.

Jednakże mnożące się na tym tle konflikty stworzyły konieczność wtajemniczenia we wszystko generała Roweckiego. Reakcje jego były mieszane. Był z jednej strony wściekły na Londyn za nie poinformowanie go z góry, z drugiej strony rzecz całą uznał za sensowną i śmiał się przy tym z kawałów, jakie robiliśmy Niemcom przy pomocy ,,Świtu". Do mnie zaś powiedział : ,,Mam do was trochę żalu, że jako mój pełnomocnik, nie wtajemniczyliście mnie od razu, ale pal sześć ! Robota dobra, więc szczęść Boże !"

W rezultacie rozładowywał konflikty, dochowując do końca tajemnicy nawet w stosunku do najbliższych współpracowników.

XI

Ogólnie znana była w Polsce w tym czasie straszna zbrodnia, dokonana przez Niemców w Zbydniowie, majątku ziemskim Horodyńskich, dokąd Gestapo wpadło w czasie wesela i wymordowa-

ło wszystkich gości i służbę, prócz państwa młodych, Wańkowiczów, którzy wyjechali do sąsiedniego miasteczka do fotografii i dwuch młodych Horodyńskich, Zbigniewa (Inia) i Andrzeja, który zdążyli dostać się do schowka na strychu. ,,Świt'', w obszernych audycjach, podał na podstawie naszych depesz przebieg potwornej zbrodni, nazwiska pomordowanych i zapowiedział śledztwo oraz karę na winnych. Słuchacze ,,Świtu'' byli wstrząśnięci tym niezwykłym nawet na warunki okupacyjne, zbiorowym morderstwem. Wszyscy czekali na odwet podziemia.

Po paru miesiącach zapowiedź się spełniła. Konspiracyjne śledztwo wykazało, że inicjatorem mordu był dygnitarz hitlerowski z Krakowa, o ile pamiętam, nazwiskiem Fuldner, który chciał zabrać majątek Zbydniów dla siebie, co też po dokonanym morderstwie zrobił. Niedługo się jednak nim cieszył. Pewnego dnia, gdy odbywał konferencję we dworze, w Zbydniowie, z dwoma urzędnikami hitlerowskimi, którzy przybyli z Krakowa, dotknęła go ręka podziemnej sprawiedliwości. Do dworu wtargnęła grupa uzbrojonych ludzi, prowadzonych przez Inia Horodyńskiego i jego przyjaciela Horocha, i po sterroryzowaniu obecnych Niemców, odczytali struchlałemu Fuldnerowi wyrok śmierci, po czym go zastrzelili na oczach przybyłych z Krakowa urzędników,którym polecili odjechać i zawiadomić generalnego gubernatora Franka o tym, co widzieli.

Przedepeszowaliśmy ,,Świtowi'' dokładny opis tej egzekucji, wraz ze wskazówką : ,,Nadajcie wiadomość o tym w sobotę wieczorem. Słuchać jej będą wykonawcy wyroku''.

W sobotę, w mieszkaniu Wierusz-Kowalskiego, uprzednio wspomnianego naszego współpracownika, gdzie za drzwiami, oznaczonymi szwajcarskim krzyżem można było zaznać trochę spokoju, zebrało się zaufane grono osób. Rozmawiano półgłosem, oczekując na audycję ,,Świtu''. Gospodarz manipulował przy odbiorniku. Coraz to ktoś nadsłuchiwał, czy nie nadchodzą Inio Horodyński i Horoch, dla których audycja miała specjalne znaczenie. ,,Świt'' odezwał się, jak zwykle punktualnie i nadał wstrząsającą audycję o wymierzeniu sprawiedliwości zbrodniarzowi zbydniowskiemu. Audycja kończyła się słowami : ,,Wiemy, że słuchają nas dziś wykonawcy tego sprawiedliwego wyroku. Cześć im, bohaterom Polskiego Podziemia''.

Wszyscy byli wzruszeni, kobiety ocierały łzy. Ale ci, dla których przeznaczone były te słowa, nie przybyli. Nie wrócili na czas z jakiejś akcji ,,Kedywu'. Później, gdy ich spotkałem, żałowali bardzo, że ich ta audycja ominęła.

Na Zbydniowie nie skończyła się jednak tragedia rodziny Horodyńskich. Bracia Zbigniew i Andrzej i ich przyjaciel Horoch, zginęli wkrótce po tym, wszyscy razem, gdy jako żołnierze ,,Kedywu'' mieli osłaniać ucieczkę grupy więźniów z Pawiaka. Rzekoma ucieczka była prowokacją i wszyscy trzej, wpadłszy w zasadzkę wraz z innymi żołnierzami AK, otoczeni przez oddziały SSmanów, znaleźli śmierć w walce na cmentarzu Powązkowskim.

XII

Nasze stacje w Warszawie są coraz częściej podjeżdżane przez Niemców i muszą wstrzymywać pracę i zmieniać lokale, o które zawsze bardzo trudno. Przecież po pierwsze, właściciel mieszkania musi być osobą jak najbardziej zaufaną, po drugie rzadko kto godzi się na udzielenie swego mieszkania na pracę tajnej radiostacji, po trzecie mieszkanie musi mieć odpowiednie warunki techniczne. W czasie takich przerw, kiedy nie jesteśmy w stanie dostarczyć ,,Świtowi'' świeżego pokarmu, urządza on prawdziwe ,,przedstawienie''. W trakcie audycji, speaker ,,Świtu'' przerywa w pół słowa, po czym ,,Świt'' nie odzywa się przez parę dni. Wszyscy słuchacze przerażeni sądzą, że ,,Świt'' wpadł. Jestem zasypywany przez górę konspiracyjną zapytaniami, ale muszę uspakajać wszystkich, że to tylko przejściowe trudności. Jeśli znajdzie się ciekawski, który pyta jakie, muszę robić tajemniczą minę, lecz ta zabawa porządnie mi już dokucza.

Po paru dniach ,,Świt'' się odzywa na nowo. Speaker mówi : ,,Przepraszamy słuchaczy za przerwę, spowodowaną nieprzewidzianymi okolicznościami, których jednakże nie możemy wyjaśnić''.

Wszyscy się cieszą, że ,,Świt'' uniknął wpadki, i mówi dalej. Powoli powstaje wokół ,,Świtu' atmosfera tajemniczości, niebezpieczeństwa, która nie jest pozbawiona prawdziwego podłoża, gdyż często przyczyną przerw ,,Świtu'' jest bezpośredni atak Niemców na nasze radiostacje. Wszak ,,Świt'' jest naszym głosem, gdy podaje nasze depesze, a my jego oczami w kraju.

Histeria też przychodzi do głosu, bo oto pewnego dnia otrzymujemy pocztą alarmową następującą wiadomość : ,,Helena z komórki X ostrzega, że wedle uzyskanych przez nią wiadomości, siedziba ,,Świtu' została przez Niemców wykryta i schwytanie radiostacji jest kwestią najbliższych dni'.

XIII

Wybuchło powstanie w ghetcie 19 kwietnia 1943 r. Cała Warszawa, mimo strasznego terroru, jaki nad nią wisi i mimo, że każdego dnia giną w niej setki Polaków, zelektryzowana, wstrząśnięta, bezsilna i... dumna. Po całym mieście krąży wiadomość : nad murami walczącego ghetta powiewa sztandar polski i żydowski.

Staramy się dotrzeć jak najbliżej ghetta i organizujemy specjalną obsługę informacyjną powstania. Powoli koncentrują się w KWC wiadomości ze wszystkich źródeł, dotyczące walk w ghetcie i depesze idą jedna za drugą. Jedna z naszych stacji pracuje w kamienicy na Marszałkowskiej, z otwartym widokiem na Pole Mokotowskie. Z dachu widać dymy i ogień nad ghettem

i słychać huk wystrzałów. Wyglądamy z dymnika, Zosia, Ziutek i ja, po czym wysyłamy depeszę: „Z miejsca, gdzie pracuje radiostacja widać ogień i dymy nad ghettem i słychać kanonadę artyleryjską. Robi to straszne wrażenie".

Za kilka godzin słyszymy, jak „Świt" nadaje audycję opartą na tej depeszy, skonstruowaną w ten sposób, że speaker mówi o swych wrażeniach, gdy patrzy z okna radiostacji na płonące ghetto i widzi dymy oraz słyszy wystrzały. Gdy kontrolujemy tę audycję, jesteśmy sami wzruszeni dramatyczną opowieścią speakera, który — poznajemy to po głosie — jest także głęboko przejęty tym, co mówi. Patrzymy na siebie w milczeniu, ze smutną satysfakcją. Przerywa je Zosia:

„Chyba jest im tam lżej umierać, gdy wiedzą, że o tym wie cały świat".

Wszystkie załogi stacji mają w tym czasie szczególną świadomość swej odpowiedzialności. Cały mechanizm działa sprawnie i z poświęceniem. Zimne rachuby jednak mówią, że nadużywamy pracy i że Niemcy muszą nas wykryć i schwytać. Ale przychodzi z pomocą przysłowiowy „łut szczęścia" i kończy się tylko na „zamrożeniu" dwóch czy trzech lokali, do których Niemcy dotarli zbyt blisko samochodami goniometrycznymi, spostrzeżonymi na szczęście w porę. W rezultacie „Świt" jest w stanie podawać dzień po dniu wiadomości o przebiegu walk i doskonale opracowane przez ekipę zagraniczną apele i protesty.

Oto próbki depesz, których tragicznej wymowy nie chcę popsuć żadnym komentarzem.

„21 kwietnia 1943. W ghetcie opór trwa. Całą noc słychać strzały, wybuchy, miejscami pożary".

„28 kwietnia 1943. W ghetcie walka trwa. Niemcy palą dom za domem".

„7 maja 1943. „Rzeczpospolita" z 6 bm. zawiera oświadczenie Pełnomocnika na Kraj, które piętnuje zbrodnie niemieckie w ghetcie. Wyraża szacunek i współczucie dla Żydów, którzy walczą i wzywa Polaków do pomagania tym, co uciekli".

„15 maja 1943. Od trzech tygodni trwa straszliwa masakra resztek ghetta warszawskiego. Ghetto pod przewodnictwem Żydowskiej Organizacji Bojowej broniło się bohatersko z bronią w ręku i Niemcy użyli w walce artylerii oraz broni pancernej. Bojowcy żydowscy zabili przeszło trzystu Niemców, ranili około tysiąca. Niemcy wywieźli i zamordowali lub spalili żywcem dziesiątki tysięcy Żydów".

„22 maja 1943. Wśród Niemców jest plotka, że odwołany szef Gestapo w Warszawie, doktór von Sammern, został skazany na śmierć za kompromitację Niemców przez opór zbrojny w ghetcie".

„9 czerwca 1943. Tajny Biuletyn Gospodarczy z 15 maja podaje, że w ghetcie w Warszawie spalono i wysadzono sto tysięcy izb mieszkalnych, dwa tysiące lokali przemysłowych, trzy tysiące handlowych i kilkanaście fabryk. We wrześniu 1939 zniszczono tylko 78 tysięcy izb mieszkalnych w całej Warszawie".

„29 czerwca 1943. Wymordowano całkowicie ghetta w Stanisławowie Łukowie, Węgrowie i Żółkwi. W Warszawie, po piwnicach i gruzach dogo rywa dwa tysiące Żydów. W nocy są jeszcze potyczki. Żydów z zagranic Niemcy witają na stacji w Sobiborze z orkiestrą”.

◆

W okresie powstania w ghetcie udałem się, jak zwykle, na co tygodniową konferencję z Delegatem Rządu, wicepremierem Janem Jankowskim. Szedłem do głowy Polskiego Państwa Pod ziemnego z zachowaniem szczególnych ostrożności. Drogę na tak ważne spotkanie rozpoczyna konspirator zwykle od tego, że np gdzieś na zakręcie ulicy, gdzie tramwaj zwalnia biegu, wskakuje w taki wóz, który idzie w przeciwnym niż trzeba kierunku Wskoczywszy, obserwuje pilnie, czy kto inny nie zrobił tego sa mego. Jeśli nikt go nie śledzi, uspokojony zmienia tramwaj na inny, idący we właściwym kierunku, przy czym nie raz te czyn ności powtarza jeśli cokolwiek wydaje mu się podejrzane. Duża rolę odgrywa tu jego samopoczucie w danym dniu. Nikt nie jest tak przesądny i wrażliwy na przeczucia, jak konspirator. Być może działa w nim instynkt samozachowawczy, który często ra tuje go przed aresztowaniem lub śmiercią.

Zastosowawszy cały przepisany arsenał ostrożności, dotarłem do mieszkania w podwórzu, przy ulicy Marszałkowskiej, niedaleko Pl. Zbawiciela. Delegat Rządu, mężczyzna lat około sześćdziesięciu, łysy, wysoki, szczupły, w grubych szkłach, przywitał mnie, jak zwykle, ze spokojną życzliwością. Słuchał uważnie, gdy składałem raport z tygodniowych czynności KWC. Gdy po omówieniu bieżących spraw podniosłem się do wyjścia, coś sobie przypomniał :

„Ale, ale... Mam dla pana pewną wiadomość. Otrzymałem od przedstawicieli żydowskich organizacji podziękowanie za audycje „Świtu” o walkach w ghetcie. Przekazuję je więc pod właściwym adresem”.

◆

Na str. 7 swej bardzo znanej w St. Zjednoczonych książk „The Wall”, opisującej dzieje ghetta warszawskiego, John Hersey wspomina zagadkowo o podziemnej radiostacji „Świt”. Hersey zastanawia się nad tym, dlaczego bohater powieści, Levinson, na którego rzekomych pamiętnikach jest oparta książka Hersey'a, nic o tej stacji nie wspomina. Oto właściwy ustęp :

With all his thoroughness, Levinson must have had som prejudices or blind spots. How else account for some of th omissions from his notes? For instance, he never mentions th underground radio transmitter, which broadcasts even at the be ginning of the final battle in the ghetto under the call letter SWIT. He must have known about it. He must not have wante to write about it. Why?

Z użycia przez Hersey'a ,,underground radio transmitter" wynika, że powodem jego zdziwienia było przeświadczenie, że ,,Świt" był w Polsce, zatem Levinson, rzekomy kronikarz ghetta, powinien był o nim wiedzieć i pisać.

Gdy w roku 1950 wyszła książka Hersey'a i przeczytałem cytowany ustęp, przesłałem mu do przejrzenia szkic opowiadania o ,,Świcie". Odpowiedział listem z 14 czerwca 1950 r., co następuje :

Dear Mr. Korbonski. Many thanks for sending me your article about SWIT, which I read with much interest. I certainly was under the impression — and many people still are — that this underground station was inside Poland.

Jak z powyższego wynika, benedyktyńska praca, jaką włożył Hersey w badanie olbrzymiego materiału, na którym oparł swą książkę, nie naprowadziła go na odkrycie tajemnicy ,,Świtu". Natomiast potwierdziła, że ,,Świt" był słuchany w czasie powstania w ghetcie.



I tak praca na radiostacjach szła dzień po dniu, noc po nocy, aż... nadeszła czarna godzina. Najpierw spadł na nas pierwszy, najdotkliwszy cios. Nasze ,,oczko w głowie", nasz podziwiany konstruktor Ziutek, został pewnego letniego wieczoru zastrzelony przez Niemców przy zbiegu ulic Kopernika i Tamki, gdy śpieszył przed godziną policyjną na nocleg, na Dobrą. Ten pośpiech zwrócił uwagę Niemców, wychodzących z restauracji. Zatrzymali Ziutka i chcieli legitymować. Ten, zamiast dokumentu wyjął rewolwer. Wywiązała się strzelanina, w której Ziutek zginął.

Wkrótce spadło na nas dalsze nieszczęście. Dnia 10 listopada 1943 roku wpadła w ręce niemieckie pierwsza nasza radiostacja na ul. Okopowej i jej telegrafista, Władysław. Niemcy wykryli ją przy pomocy nowych metod i kieszonkowych aparatów pomiarowych, których dotychczas nie używali. Technik niemiecki, ubrany po cywilnemu, zmylił czujność obserwatorek i dotarł pod same drzwi pracującej radiostacji. Mieliśmy sami możność z Zosią przekonać się o tym nowym systemie zaraz następnego dnia.

XIV

Kierownik każdej konspiracyjnej roboty, jeśli chciał mieć mir u swoich współpracowników, musiał pamiętać o jednej zdrowej regule, a mianowicie, że w chwilach zwiększonego niebezpieczeństwa, jego obowiązkiem jest dzielić ze swymi współpracownikami pełne ryzyko. W myśl tej reguły, postanowiłem osobiście dopilnować wysłania depeszy, zawiadamiającej o wpadce Wła-

dysława i kasującej wszystkie elementy ruchu i kody techniczne tej stacji. Taka depesza jest pierwszym obowiązkiem w razie wsypy. Byłem ogromnie przygnębiony i niespokojny. Władysława należało uważać za straconego. Oby tylko wsypa nie rozszerzyła się dalej, na znanych Władysławowi ludzi i lokale. Co prawda, wszystkie osoby z nim powiązane, zostały już ostrzeżone, a lokale zlikwidowane, ale nigdy nic nie wiadomo, co się może zdarzyć.

Dnia 11 listopada 1943 r., o godzinie dwunastej pojechałem na ulicę Dolną. Stacja nasza znajdowała się na ostatnim piętrze domu, na prawo od schodków z Puławskiej. Wysiadłem na pobliskim przystanku i chociaż do rozpoczęcia pracy było jeszcze około godziny, zacząłem badać Puławską, Dolną i okolicę, ale nic podejrzanego nie zauważyłem. Kwadrans przed pierwszą przyszła Zosia, z obserwatorką Ireną. Rozstawiły się na ulicy, a ja poszedłem do lokalu stacji Mirka, aby obserwować z okna. Mirek, młody student Politechniki, siedział już przy aparacie i stroił go. Podszedłem do okna. Wychodziło ono na tyły kościółka przy ul. Puławskiej i dawało obszerny widok na puste place czy łąki obok. Obserwowałem przez chwilę okolicę i także nie spostrzegłem nic niepokojącego. Rozejrzawszy się po pokoju, zobaczyłem na stoliczku pod ścianą dwa rewolwery i granaty. A więc Mirek jest nastawiony na niebezpieczeństwo i ewentualność walki. To dobrze. Odwołałem go od aparatu i wręczyłem depeszę : — ,,Panie Mirku, depesza ta unieważnia elementy ruchu stacji, która — jak pan już wie — wczoraj wpadła. Trzeba ją nadać dziś za wszelką cenę''.

Mirek spostrzegł widocznie moje podniecenie i niepokój, gdyż powiedział uspokajająco : ,,Niech pan się niczego nie obawia. Jeśli będą jakie takie warunki, to się wszystko załatwi w pół godziny''.

Była już pierwsza i Mirek spokojny i skupiony zasiadł do aparatu i zaczął wołać. Londyn natychmiast odpowiedział, że jest gotów do odbioru i Mirek rozpoczął nadawanie depeszy, ja zaś wróciłem do okna.

Po jakichś dwudziestu minutach, spostrzegłem, że w odległości około kilometra, idzie od strony Wisły w kierunku na Okęcie samolot, wyglądający z daleka na Junkersa. Gestem nakazuję Mirkowi przerwanie pracy i przywołuję go do okna. Gdy mu pokazałem samolot, wzruszył ramionami : ,,Tutaj chodzi ich masa i to przez cały dzień, na Okęcie. Nie ma to żadnego związku z nami''.

Uspokoiłem się, gdyż był to rzeczywiście kierunek ze wschodu na Okęcie. Wyglądałem jednak dalej oknem i w pewnym momencie spostrzegłem pod ogrodzeniem kościółka dwie głowy, tuż przy ziemi. Wołać Mirka, czy nie ? Na wszelki wypadek odwołuję go od aparatu. Wstał z ociąganiem, ale uważnie obejrzał głowy.

— ,,Ech, to te łobuzy, co tu przychodzą grać w karty. Siedzą tam i pewnie łupią w oczko. Ja ich znam''. — ,,Czy ma pan

jeszcze dużo do nadania?" — „Nie, już ostatnie grupy i jeszcze poprawki".

Wróciłem znów do okna i spostrzegłem, że głowy zniknęły. Zbliżał się koniec pracy i napięcie zwolna zaczęło ustępować. Nie chciałem jednak niczego zaniedbać, obserwowałem więc nadal i... nagle odskakuję od okna i zrywam rękę Mirka z klucza. W tym momencie, tuż nad dachem rozlega się ryk samolotu. Wypadł nagle zza kościółka, tuż nad jego dachem i przeskoczył nad naszym domem. Serce we mnie zamarło, Mirek zbladł, jak ściana. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że był to niemiecki samolot goniometryczny, który nas dokładnie wymierzył i że wkrótce otoczą nas samochody pomiarowe, będące w stałym kontakcie radiowym z samolotem. Byliśmy wytropieni!

W tym momencie rozlegają się trzy dzwonki. To Zosia! Mirek podskoczył do drzwi. Twarz Zosi wyrażała najwyższe napięcie. Starała się zapanować nad głosem: „Przyjmijcie spokojnie to, co powiem. Na ulicy kręcą się grupki cywilów, wyglądających na Niemców i zauważyłem, że jeden z nich schował się za mur i przyłożył coś do ucha. Zaraz popędziłam do was i na schodach minęłam się z jednym z tych cywilów, którego przed tym widziałam na ulicy. Wygląda to bardzo podejrzanie".

„Już skończyłem depeszę" — mówi Mirek. — „Panie Mirku, daj pan ją i kody Zosi. Resztę zostawić, bo nie zdążymy rozmontować i schować. Wychodzimy, nie ma chwili do stracenia. To Niemcy". — „Już, tylko włożę buty, bo jestem boso. Wyjdźcie pierwsi, ja was dogonię. Poczekajcie na rogu Puławskiej. Nawet będzie lepiej, jak nie wyjdziemy całą gromadą".

Muszę się z tym zgodzić, że lepiej iść w rozsypce. Wychodzimy więc na klatkę schodową, ale zaledwie stanęliśmy na pierwszym stopniu schodów, gdy idąca przede mną Zosia mówi z przerażeniem: „Jezus Maria, idą!"

Patrzę przez okno klatki schodowej na ogród od frontu i widzę sznur ludzi cywilnych, idących gęsiego jeden za drugim, z pistoletami maszynowymi lub rewolwerami w ręku. Czoło ich musi już być w kamienicy, bo na dole słychać tupot.

Zosia rzuca się do bocznych drzwi i gwałtownie puka. Otwierają się natychmiast i widzimy w pokoju kilka przerażonych kobiet, które widocznie spostrzegły przez okno to, co i my. Zosia błaga je: „Gdyby się ktoś pytał, co tu u was robimy, to powiedzcie, że szukamy mieszkania". Z grupy kobiet podeszła do nas młoda dziewczyna i ze złością odmówiła: „Wynoście się stąd natychmiast! Ja widziałam, że pani tu od godziny kręci się przed domem. Wynoście się!"

Zatrzasnęła nam drzwi przed nosem. Nie mamy wyjścia i zaczynamy schodzić w dół. Wita nas gromkie: „Hände hoch!" Podnosimy ręce i stajemy. Pod nami, na schodach około dziesięciu mężczyzn, kierujących na nas peemy i rewolwery. Jeden ze stojących na przodzie woła: „Oni wyszli stąd!" — i wskazuje ręką na drzwi mieszkania, skąd nas wypędzono. Kilku wchodzi tam natychmiast i za chwilę wszystkie kobiety wychodzą na plat-

formę schodów z podniesionymi rękami. Patrzymy na wszystko jak urzeczeni. Wpadliśmy. To już koniec. I na nas przyszła kreska. W ustach sucho. Oczy nasze fotografują wszystko i wszystkich. Przede wszystkim cywilów z bronią w pogotowiu. Na czele ich stoi młody, przystojny blondyn. Gdy spojrzałem na jego ruchy, nie miałem już wątpliwości : to Niemiec, oficer i dowódca. Patrzy na nas bacznie, ręką pokazuje, że mamy stanąć pod ścianą. Cywile pukają do drzwi wszystkich mieszkań na tym piętrze, wchodzą i z każdego wyprowadzają na platformę schodów grupki osób z podniesionymi rękami. Nie otwierają się tylko drzwi Mirka. Słyszymy głos po polsku : ,,Nie podchodzić do okien, bo śmierć. Nie ruszać się''.

Dowódca zbliżył się do mnie i pyta : ,,Sprechen Sie Deutsch ?'' Kiwam głową, że nie i w tej samej chwili uprzytamniam sobie, że mam w kieszeni dzisiejszy ,,Warschauer Zeitung''.

Dowódca przywołuje do siebie jednego z cywili, mówi mu coś, ten podchodzi do mnie, obmacuje mnie od góry do dołu, zdejmuje mi kapelusz z głowy i bacznie ją ogląda. (Dopiero wiele dni później domyśliłem się, że szukał odcisku pałąka słuchawek na włosach). Korzystam z tego i mówię : ,,Co panowie od nas chcą ? Mamy papiery w porządku. Proszę''. Cywil włożył mi kapelusz na głowę, odtrącił rękę, w której trzymałem autentyczny, choć na fałszywe nazwisko, dowód pracy w Elektrowni, z wszystkimi ,,ptaszkami'', z fotografią, z zaliczeniem do przemysłu wojennego i mówi po polsku nienagannym akcentem : ,,To nie o to chodzi''.

W tym samym czasie Zosia bardzo przytomnie podnosi głos : ,,Co tu się dzieje ? Czego panowie od nas chcecie ? My tu nie mieszkamy, przyszliśmy tylko szukać mieszkania. Co tu się stało ?'' Robi to doskonale i przyłączam się do jej jękliwych pytań, udając zresztą, bez najmniejszego wysiłku przestraszonego człowieka z ulicy. Drugi z cywilów odepchnął Zosię w kąt ze zniecierpliwieniem, i mówi także po polsku : ,,Bądź pani cicho, to lepiej pani na tym wyjdzie. Tu nie o was chodzi''.

Wszyscy lokatorzy już wyprowadzeni, tylko drzwi Mirka wciąż milczą. Podchodzi do nich dwóch Niemców i walą kopytami w zamek. Słychać trzask, zamek puszcza i w tej samej chwili rozlega się gdzieś z zewnątrz głośna seria z pistoletu maszynowego. Niemcy z przerażeniem odskakują na boki i kierują automaty i rewolwery w wywalone drzwi Mirka. Zapanowała zupełna cisza. Po chwili, dwóch Niemców, skradających się krok za krokiem, z wysuniętymi peemami wchodzi do mieszkania Mirka. Napięcie niesamowite. Czekamy na wybuch granatu i salwę Mirka. Zamiast tego, po paru sekundach rozlega się stamtąd radosny i podniecony krzyk Niemców : ,,Alles is hier ! Er ist tot !''

Na schodach wśród cywilów odprężenie. Wszyscy pakują się do mieszkania Mirka, a dwaj zapędzają naszą gromadę do mieszkania na prawo, do kuchni, a sami także natychmiast wychodzą.

Dobiegają nas tylko z lokalu stacji gardłowe głosy niemieckie.

W kuchni znaleźliśmy się wśród kilkunastu osób, nieprzytomnych z przerażenia. Patrzą nas nas bez słowa, młoda dziewczyna wręcz wrogo. Nie mam wątpliwości, że gdy dojdzie do badania, natychmiast wskaże na nas. Już przyszedłem do siebie po pierwszym szoku i widzę, że to samo jest z Zosią. Stało się. Dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie. Cztery lata nam się wszystko udawało, widocznie przyszedł kres. Bez słowa zaczynam przeglądać swoje kieszenie, a Zosia torbę. Wyjmuję jeden papier po drugim, także legitymację elektrowni, którą na siłę wpychałem w ręce Niemca. Otwieram ją i widzę w środku kartkę : ,,Dwa tysiące złotych na wyjazd ekipy megafonowej do Lwowa otrzymałem. Henryk''. — Było to pokwitowanie, wystawione przez kierownika grupy ,,Szarych Szeregów'', specjalizującej się we włączaniu w sieć megafonów niemieckich, przez które nadawali anty-niemieckie przemówienia i wiadomości oraz z reguły ,,Jeszcze Polska nie zginęła''.. Grupa ta miała się udać do Lwowa, by tam urządzić pod egidą Walki Cywilnej taką imprezę. Kwit wkładam natychmiast do ust, żuję i łykam. Ładnie bym wyglądał, gdyby Niemiec zajrzał do legitymacji ! Zosia ze swej torby wyjęła plik depesz, kody i konspiracyjną korespondencję. Rozejrzała się naokoło i zbliżyła do kuchni. Jakaś starsza kobieta bez słowa odsunęła garnek i zaczęła pomagać w paleniu papierów. Wszystko to odbywało się na oczach kilkunastu osób, obserwujących wielkimi oczyma czynności Zosi. Wreszcie, co było obciążającego spalone i zaczynamy się ze sobą żegnać. Nie mamy wątpliwości, że jako obcych w kamienicy, wezmą nas i za chwilę rozdzielą. Trzymamy się o tyle w garści, że pożegnanie odbywa się spokojnie. Teraz już wszyscy patrzą na nas życzliwie, a starsza kobieta wręcz ociera łzy z oczu. Na ulicy i na schodach ożywiony ruch. Zajeżdżają samochody, słychać stuk butów. Podnoszę się na palcach i widzę przez okno, jak przez ogród idą niemieccy oficerowie w mundurach lotników. Z mieszkania Mirka, co widzę znów przez szparę między drzwiami a futryną, wynoszą jakieś pakunki. To pewno radiostacja. W pewnej chwili trącam Zosię i patrzymy oboje, jak z mieszkania wynoszą kształt ludzki, owinięty w białe prześcieradło. Zaczynamy się modlić po cichu, gdy nagle w kuchni pokazuje się dowódca i dwóch cywilów, którzy dotychczas się nami zajmowali. Dowódca potoczył wzrokiem po obecnych. Zapadła martwa cisza. Wszyscy rozumieli, że ważą się ich losy. Wzrok jego zatrzymał się na nas. Pokazał nas palcem : ,,A ci, co za jedni ?'' — ,,Ach, oni znaleźli się tu zupełnie przypadkowo'' — mówi niedbale jeden z cywilów, z lekceważącym machnięciem ręki. Dowódca odwrócił się bez słowa i wyszedł. Dwaj cywile poszli w jego ślady. Patrzymy na siebie w osłupieniu. Czyżbyśmy byli uratowani ?

Na schodach ruch widocznie maleje. Jest coraz mniej ludzi, wreszcie przez szparę we drzwiach widzę granatowego policjanta i słyszę głos znajomego cywila : ,,Pilnować mieszkania, żeby nikt nie wchodził. Trupa zaraz zabiorą''.

Za chwilę wszedł do kuchni granatowy policjant : ,,Już p wszystkim, możecie wrócić do swoich mieszkań''. — W tłumi zawrzało. Wszyscy rzucili się naraz ku nam : ,,Uciekajcie, ucie kajcie natychmiast !'' Starsza kobieta rzuciła się Zosi na szyj i obsypuje ją pocałunkami : ,,Bóg was uratował, ale uciekajcie na miłość boską, uciekajcie !'' Zwróciłem się do obecnych : ,,Po zwólcie państwo, że jeszcze trochę poczekamy. Nie bardzo wie rzę, żeby się to tak skończyło z nami''. — Jakiś chłopak wysko czył na schody i po paru chwilach wrócił : — ,,Uciekajcie, n schodach i w podwórzu nie ma nikogo !''

Wziąłem Zosię pod rękę i oszołomieni, nie wierząc temu że jesteśmy wolni, schodzimy szybko po schodach, z uwagą na piętą do ostateczności. A nuż rozlegnie się : ,,Halt !'' Nie m jednak nikogo, kroczymy więc szybko do bramy, przy które także nikt nie stoi.

Po drodze mijamy leżący na ziemi martwy kształt, owinięt w prześcieradło. Zosia się żegna i mówi : ,,To Mirek''.

XV

A zatem w ciągu dwóch dni dwie stacje zlikwidowane. Wła dek w rękach Niemców, Mirek zabity. Ciężkie, bardzo ciężkie ciosy. Wysyłam ludzi na zwiady i już na drugi dzień wiemy, że nim Niemcy weszli do domu na Dolnej, obstawili go ze wszystkich stron i gdy Mirek, w momencie wyłamywania drzwi, wyszedł na balkon, aby uciec po występach muru przy rynnie na dół, co sobie zawsze planował na wypadek niebezpieczeństwa, został zastrzelony serią z pistoletu maszynowego przez Niemca, stojącego na tyłach kościółka na Puławskiej. Zrozumiałem teraz ostrzeżenie cywila, aby nie wyglądać przez okno, bo to śmierć i wiem, czyje to głowy widziałem przez okno.

Ciało Mirka jest już w kostnicy na Oczki i Zosia znów załatwia sprawę jego pogrzebu z zakładem, który konspiracyjnie grzebał Ziutka. Przyjmują ją tam z dyskretnym współczuciem i traktują z zaufaniem, gdyż to już jest ,,stały klient''. Trzeba im dać pieniędzy na łapówkę dla Niemców, bo inaczej nie wydostanie się ciała z kostnicy, dokąd zwozi się zabitych na ulicach miasta. Po paru dniach Mirek już pochowany na Powązkach, pod przybranym nazwiskiem Arciszewski, a my otrzymujemy z zakładu pogrzebowego jego wiatrówkę i zdjęcie dokonane po śmierci. Dostał serię od karku przez cały bok. Pokrwawiona wiatrówka jest postrzelana, jak sito. Twarz na zdjęciu zdradza cierpienia i jest jak gdyby zamyślona. Musiał zginąć na miejscu, tak jak Ziutek. W kilkanaście dni później widzimy nazwisko Władysława na czerwonym plakacie, zawiadamiającym o egzekucji publicznej. Więc i ten zginął !

Analizuję nasze postępowanie i dochodzę do wniosku, ż wszyscy troje nie mogliśmy się uratować. Minuta opóźnienia a Niemcy zastają nas u Mirka i wtedy koniec także z nami Z drugiej strony niemożliwe było, aby Mirek zdążył włożyć but

i wyjść z nami na schody przed nadejściem Niemców. Nawet, gdyby zdążył, Niemcy zatrzymaliby na schodach całą trójkę i zidentyfikowaliby Mirka, jako zameldowanego właściciela mieszkania, w którym znaleźliby broń i sprzęt. Gdybyśmy zaczęli rozmontowywać radiostację i chować sprzęt, Niemcy zastaliby nas przy tej robocie. Było jasne, że ich człowiek, spotkany przez Zosię pod drzwiami, umiejscowił stację na ostatnim piętrze, gdyż na niższych Niemcy nawet się nie zatrzymali. Jasne się stało, że Zosię i mnie uratowało to, że Niemcy nie zauważyli nas w momencie, gdy wychodziliśmy z mieszkania Mirka, a dopiero gdy wychodziliśmy z mieszkania kobiet obok. W związku z tym potraktowali nas, jak innych lokatorów. O ratunku zadecydowały po prostu sekundy.

◆

W ten sposób, przy obsługiwaniu „Świtu" straciliśmy dwóch telegrafistów i dwie stacje i to dzień po dniu. Stało się to głównie na skutek zaskoczenia nas przez Niemców nową metodą, przy posługiwaniu się nieznanymi nam dotychczas aparatami kieszonkowymi, które umożliwiały dotarcie po prostu do drzwi radiostacji. Łączność ze „Świtem" zawisła na włosku. Pozostała nam w Warszawie tylko jedna radiostacja, której oszczędzaliśmy i pilnowaliśmy, jak oka w głowie, aż do czasu zorganizowania nowych. Wkrótce potem, nowa i ostatnia wpadka naszej radiostacji w Piasecznie, pod Warszawą. Chodziliśmy zrezygnowani i ponurzy, jak ciemna noc. Zabici najbliżsi współpracownicy i rachunek prawdopodobieństwa mówił, że mimo uratowania się na Dolnej, czeka nas ten sam los.

Któregoś dnia, jestem z Zosią na ul. Królewskiej, między Marszałkowską a Placem Marszałka Piłsudskiego, na kontroli obserwatorek, pilnujących naszej stacji. Powtarza się ta sama historia. Znad ruin gmachu giełdy wyskakuje niziutko samolot, a zaraz po nim wyjeżdżają Niemcy wolno samochodami z Ogrodu Saskiego. Jeden rzut oka wystarczył nam, by poznać, że to ta sama ekipa, co była na Dolnej. Odwracamy się gwałtownie tyłem do jezdni i pochyleni, zaczynamy oglądać wystawę sklepową. Samochody najeżone pistoletami maszynowymi, przejechały wolno na Pl. Marszałka i stanęły przed SIMEM. Szperacze ruszyli w naszym kierunku. Było jednak dość czasu, by zaalarmować stację.

Mimo wszystko praca szła dalej i „Świt" mówił. Mówił specjalnie dużo w czasie wspaniałych i tragicznych sześćdziesięciu trzech dni Powstania Warszawskiego. Działalność z tego okresu czasu, stanowi odrębny rozdział w historii „Świtu" mniej jednak ciekawy od strony krajowej, gdyż nasze i inne radiostacje pracowały wówczas w warunkach jawności i względnego bezpieczeństwa. Nie groziła nam już więcej gonia, a co najwyżej niemieckie granaty i bomby. Nasza stacja na przykład w centrum miasta była co kilka dni przepędzana ogniem artyleryjskim z jednego miejsca na drugie.

XVI

Kiedy tajemnica ,,Świtu'' została w kraju szerzej ujawniona? O ile mi pamięć dopisuje, radio ,,Kościuszko'', nadające z Sowietów, bardzo szybko zaczęło twierdzić, że ,,Świt'' nie jest w Polsce, ale temu nikt w kraju nie wierzył, bo to mówiła stacja bolszewicka, co było ogólnie wiadome. Niemcy długi czas zdawali się nie orientować. Wydaje mi się, że dopiero na początku 1944 r. ,,Nowy Kurier Warszawski'' zaczął pisać, że ,,Świt'' jest w Anglii. Temu też ludność nie wierzyła, uważając to za trick propagandy niemieckiej.

Jeśli chodzi o władze podziemia, tajemnica pękła w jakiś czas po śmierci gen. Sikorskiego. Wówczas to nadeszła do kraju drogą wojskową wiadomość o miejscu, gdzie ,,Świt'' pracuje, jego organizacji, zatargach polsko-angielskich itd. Jak długo żył gen. Sikorski, tajemnica ,,Świtu'' była w kraju utrzymana. Była do chwili jego śmierci — mówiąc słowami drugiej depeszy — prawdziwą tajemnicą Naczelnego Wodza, który w stosunku do nas wziął na siebie pełną odpowiedzialność za ten wojenny podstęp.

Stefan KORBOŃSKI

"Burza" we Lwowie?

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeglądając ,,Polskie Siły Zbrojne'', tom III, Armia Krajowa, (Wyd. Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego) — zwróciłem uwagę na rozdział pt. ,,Burza w obszarze Lwów''. Przez cały czas niemieckiej okupacji byłem we Lwowie i wyjechałem dopiero 17 lipca w południe. Mimo to nie zauważyłem niczego co wskazywać by mogło na przygotowanie do operacji typu ,,Burza''.

Na wiosnę 1944 r. (o ile pamiętam w połowie maja) Komenda Główna Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) poinformowała mnie, że Polacy przygotowują we Lwowie ,,powstanie''. Otrzymałem polecenie wyjaśnić tę sprawę na najbliższej naradzie Polsko-Ukraińskiej Komisji Porozumienia. Powyższa sprawa została poruszona w czasie następnego posiedzenia przez przedstawiciela AK, który prosił o dane informacyjne dotyczące koncentracji oddziałów ,,UPA'' w najbliższych okolicach Lwowa. Wówczas udzielając odpowiedzi przedstawicielowi AK oświadczyłem, że według naszych informacji, AK przygotowuje we Lwowie przeciwniemieckie wystąpienie. Dodałem, iż według naszej opinii, takie wystąpienie nie miałoby żadnego sensu z punktu widzenia wojskowego a jego jedynym celem byłoby tylko zamanifestowanie polskości Lwowa. W takiej sytuacji ,,UPA'' byłaby zmuszona również wystąpić w celu zamanifestowania ukraińskości Lwowa. Oczywiście łatwo przewidzieć, że takie równoległe operacje doprowadziłyby

w rezultacie do walk pomiędzy Polakami i Ukraińcami co byłoby wojskowym i politycznym nonsensem i naraziłoby na ogromne niebezpieczeństwo z takim trudem wypracowane porozumienie. Oświadczyłem również, że Główna Komenda „UPA" zdaje sobie sprawę z faktu, że konflikt zbrojny polsko-ukraiński na terenie Lwowa w przededniu zajęcia miasta przez Bolszewików byłby absurdem, niemniej jednak — nie mając innego wyboru — jednostki „UPA" pozostaną pod Lwowem tak długo jak długo istnieć będzie możliwość polskiego wystąpienia. Podkreśliłem, że całą sprawę należy załatwić możliwie szybko i zgodnie z intencjami, które przyświecały powstaniu „Komisji Porozumienia".

Na skutek mojego wystąpienia wywiązała się ożywiona dyskusja. Obie strony przedstawiły uczciwie swój punkt widzenia i ostatecznie zdecydowano zwrócić się do czynników kompetentnych celem załatwienia całej sprawy.

W czasie następnego spotkania, które odbyło się po tygodniu — przedstawiciel AK złożył oświadczenie, że we Lwowie nie będzie żadnego demonstracyjnego wystąpienia Armii Krajowej i że Polacy byliby wdzięczni gdyby otrzymali zapewnienie Głównej Komendy „UPA", iż jednostki „UPA" zostaną wycofane z najbliższych okolic Lwowa. W odpowiedzi imieniem strony ukraińskiej wyraziłem przekonanie, iż decyzję polską uznać należy za celową i że jednostki „UPA" zostaną ściągnięte w terminach na jakie zezwala położenie. Na tym konflikt „powstaniowy" został wyczerpany i w następnych naradach na ten temat nie było więcej mowy.

W cytowanym rozdziale pt. „Burza w obszarze Lwowa" czytamy coś wręcz przeciwnego. Autorzy podają nawet siły użyte w walkach we Lwowie podczas odwrotu Niemców. Oczywiście nie mogę twierdzić z całą pewnością, że gen. Filipkowski i pułk. Czerwiński nie zameldowali się w mundurach w komendzie bolszewickiej. Natomiast co do udziału w walkach z Niemcami 5 dyw. p. i 14 p. uł. mam bardzo poważne wątpliwości. Chciałbym jeszcze zaznaczyć, że sprawa „powstania" nie była bynajmniej jedyną poważną sprawą, która została załatwiona w ramach Komisji Porozumienia. Tym bardziej zależy mi na wyjaśnieniu tej sprzeczności jaka zachodzi między tym co mi wiadomo na temat „powstania", a relacją jaką znalazłem w rozdziale pt. „Burza w obszarze Lwowa". Uważam wyjaśnienie tej sprawy za bardzo istotne chodzi bowiem o odpowiedź na pytanie : czy polscy przedstawiciele w Komisji Porozumienia działali uczciwie czy też prowadzili jedynie grę ?

W krajowych raportach Głównej Komendy UPA i w materiałach archiwalnych, które znajdują się w posiadaniu Zagranicznego Przedstawicielstwa Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwolenia (ZP-UHWR) nie można znaleźć żadnych danych, które by wskazywały, że Polacy zorganizowali we Lwowie „powstanie". Także w raportach sytuacyjnych z późniejszych okresów nie ma na ten temat żadnych wzmianek czy aluzji. Istnieją wzmianki o polskiej milicji we Lwowie ale w kołach ukraińskich sprawie tej nie poświęcano większej uwagi, gdyż oddziały milicji były systematycznie likwidowane przez NKWD i wojskowe władze sowieckie. Władze sowieckie, których w żadnym wypadku nie można posądzić o sympatie dla ukraińskiego nacjonalizmu nie były jednak skłonne angażować się natychmiast przeciw ukraińskiemu podziemiu i wskutek tego nie interesowały się ewentualnym polskim sojusznikiem, który tu i tam się wpraszał. Atak sowiecki przeciw ukraińskości zaczął się dopiero w kilka lat później. Uwagi te podaję celem wyjaśnienia, że każda inicjatywa Polaków, nawet jeżeli szła po linii ukrytych intencji Sowietów w stosunku do nacjonalizmu ukraińskiego, traktowana była nieufnie a inicjatorzy w każdym wypadku ginęli bez śladu.

Wymiana listów oraz rozmowy jakie przeprowadziłem z uczestnikami owych wydarzeń nie dostarczyły materiału, który pozwoliłby twierdzić,

że między 17 a 23 lipca zaszły na terenie Lwowa wypadki, które mogłyby być określone mianem „operacja Burza" w zrozumieniu redakcji wyd. „Polskie Siły Zbrojne", tom III. Nie wykluczam, że tu i tam padły z okien strzały, ale od pojedyńczych strzałów do zorganizowanego wystąpienia 8.000 ludzi o którym mówi tom III „Pol. Sił Zbrojnych" jest bardzo daleko. Należy pamiętać, że we Lwowie były w owym czasie jednostki armii niemieckiej złożone z Ukraińców, były jednostki tyłowe „Waffen-Grenadier Division der SS, Galizische Nr 1". Była również komenda ewakuacyjna ukraińskiej policji. Nastroje w tych jednostkach nie były specjalnie przychylne dla Polaków ale nie spotkałem się w żadnym wypadku z jakimiś echami czy wspomnieniami, które wskazywałyby, że takie walki w niedalekiej przeszłości miały miejsce. Takie walki miały jedynie miejsce w marcu 1944 w powiecie Brody pod Hutą Pieniacką ale w tym wypadku chodziło o jednostki „Gwardii Ludowej" czy inne jednostki, które operowały w ścisłej operacyjnej i taktycznej łączności z sowieckimi oddziałami partyzanckimi.

Archiwa z owych czasów notują wiele aktywnych wystąpień regularnych jednostek polskich po stronie bolszewickiej. Są również znane niechlubne wystąpienia polskiej milicji, która tworzyła się w różnych miejscowościach po wkroczeniu wojsk sowieckich. Jednak Lwów jest i był punktem zbyt eksponowanym, by jakieś zajście mogło ujść nie zauważone. Tym bardziej, że Lwów z r. 1944 nie leżał jeszcze za podwójną „żelazną kurtyną"; można twierdzić, że o ile redakcja III tomu „Polskich Sił Zbrojnych" nie padła ofiarą mistyfikacji — to mamy do czynienia z pewnym pomieszaniem pojęć, które polega na tym, że jednemu i temu samemu zjawisku nadaje się dwie całkowicie różne tak co do brzmienia jak i treści nazwy.

Dziękuję z góry Redakcji za umieszczenie powyższych uwag i łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Ewhen WRECIONA

Z ostatniej chwili

Wypożyczalnia członków

Znów byłem w Londynie i mogłem na marginesie innych zajęć poczynić pewne obserwacje, które skłoniły mnie do poddania pod rozwagę ruchliwszych przedsiębiorców nowej koncepcji handlowej.

W ogóle jestem zdania, że nasza emigracja (pardon, naród błądzący po świecie, jak pijane dziecko we mgle, krótko naród w świecie) zdradza zbyt mało przedsiębiorczości. Pieniądze leżą na ulicy, a ludzie nie umieją ich podnosić z bruku i rynsztoku stolic Europy i innych kontynentów, ograniczając się do wyciągania ręki żebraczej do tych, co umieli się nachylać i podnosić.

W Stanach Zjednoczonych na przykład starsi panowie mają sporo możliwości zarobku dzięki instytucji baby-sitterów (dziecio-siad). Jest to słowo niemal polskie nad Hudsonem, a niezbyt znane nad Sekwaną, trzeba więc jego sens krótko wyjaśnić. Z babami ma związek raczej pośredni — chodzi o siedzących przy dzieciach, w czasie, gdy rodzice idą na bridge'a do teatru czy do kina.

Zadanie baby-sittera polega na tym, by siąść przy niemowlęciu, zatkać sobie uszy watą i dać brzdącowi drzeć się w niebogłosy ile wlezie. Nie należy zwracać uwagi na wilgoć w pieluszkach, bo wówczas niemowlę gotowe za wcześnie przestać krzyczeć. Gdy zbliża się godzina przybycia rodziców wystarczy niemowlę przewinąć, by zmęczone długim zawodzeniem zasnęło ze słodkim uśmiechem.

Przybywającym rodzicom wskazuje się z dumą na smacznie śpiącą dziecinę, a na zapytanie, jak osiągnięto tak piękny rezultat, wspomina się dyskretnie o swym doświadczeniu w pracy zawodowej. Doświadczenie to uczy, że trzeba zadowalniać tych, którzy płacą, to znaczy w tym wypadku rodziców, a nie dzieci, które głosu nie mają.

W Londynie zapotrzebowanie na baby-sitterów jest małe, gdyż angielscy mężczyźni wymyślili kominki, aby żony pilnowa-

ły zimą domowego paleniska, zamiast kontrolować kierunek i natężenie płomieni uczuć męskich, wybuchających czasem poza domem. Poza tym sporo czasu zajmuje opieka nad zwierzętami, którymi angielski mężczyzna zaludnia, nie bez kozery swój dom. Strzegąc kotów, psów i papug, karmiąc je i myjąc, tudzież dorzucając węgla na kominek, kobieta angielska siedzi w domu, może więc przy sposobności rzucić okiem na dziecko, czy się nie pali przy kominku. W lecie znowuż, a zwłaszcza w sezonie wiosennym kobiety muszą pilnować cnoty menażerii, a więc także nie mają czasu strzec cnoty mężów, także siedzą w domu. Baby-sitter niepotrzebny, baby same siedzą.

Tymczasem istnieje nad Tamizą dość pokaźna ilość naszych rodaków, wyżej ceniących zajęcia przygodne, nie odbierające zasiłków Assistance Boardu, od posad stałych. Zajęcia przygodne pozostawiają dość czasu dla rozważań patriotycznych na temat błędów Roosevelta, Churchilla, Petaina, Mussoliniego itp., które doprowadziły do upadku Polski, tudzież na snucie marzeń o triumfalnym powrocie do Warszawy Polaków, przewidujących wszystko prócz własnych klęsk.

Na rzadkich walnych zebraniach i idealnie rzadkich światowych zjazdach niektórych stronnictw, jak np. Stronnictwa Postępowego *odłam „Jedności”*, Stronnictwa Postępowego „Nicość”, Stronnictwa Postępowego „Bezczelność” itd. daje się zauważyć pewien deficyt członków.

Stronnictwa takie mają wszelkie warunki rozwoju : piękne nazwy, wzniosłe hasła, wysokie aspiracje i przywódców, obdarzonych niepospolitymi walorami mężów stanu. Na pierwszym miejscu wymienić tu należy warunki zewnętrzne, konieczne do zasiadania dostojnie, solidnie i trwale w szerokich fotelach Rad oraz tubalne głosy.

Deficyt członków jest jednak zagadnieniem poważnym, o wiele poważniejszym od deficytu umysłowego, jako że ten ostatni nic nikomu nie szkodzi, a na pokrycie jego finansowych skutków ktoś już tam da forsę — choćby wartownicy z Niemiec lub kandydaci do wysokich odznaczeń państwowych z szeregów wiernej i niezawodnej przy takich okazjach Polonii Amerykańskiej. Są i inne możliwości...

Wykazanie siły liczebnej stronnictwa jest koniecznym warunkiem zdobycia innych możliwości, ostatecznie pokrywających finansowy deficyt i umożliwiających działalność publiczną, polegającą przeważnie na jedzeniu śniadań. Jesteśmy w okresie zimnej wojny, która stwarza dolegliwości, nakłada obowiązki i przynosi zaszczyty właściwe temu sposobowi wojowania. Słodko i zaszczytnie jest dla Ojczyzny umierać — mawiano. A jakże słodko jest dopiero dla Ojczyzny i na jej rachunek spożywać śniadania ! A przy tym tych słodyczy i zaszczytów można dostępować 365 razy w roku, podczas gdy śmierć dla Ojczyzny ponieść można tylko raz i to nawet nie w życiu lecz na jego zakończenie. Zimna wojna przybiera na natężeniu, po prostu gorzeje na polach bitew Monachium, Paryża, Londynu, Berlina, wśród salw butelek mrożonego szampana, szczęku pucharów z ice-

creamem i widelców uderzających w talerze z zimnymi hors d'oeuvre'ami. W Monachium dają nawet polski chłodnik z lodem. Szturmowe oddziały przybyły już w dużej sile zza oceanu. By dostąpić zaszczytnego udziału w bojach czołówek zimnej wojny trzeba wykazać, że się jest czołówką, że ma się za sobą tyły, czyli członków.

Skąd jednak wziąć członków, jak sprowadzić ich na walne zebrania, skoro wiedzą oni z góry, co kto ma im do powiedzenia (konieczność zaprzestania sporów, położenia kresu rozbiciu, zlikwidowania niereprezentacyjnych i nietradycyjnych grup, tudzież dopuszczenia do głosu młodych, pod warunkiem, że będą słuchać starych).

Skoro istnieje zapotrzebowanie na jakiś towar, a nie ma na niego podaży to znaczy, że trzeba podnieść cenę. Ponieważ cenne myśli przywódców niektórych trójdzielnych stronnictw nie są dostateczną atrakcją dla słuchaczy, trzeba im parę groszy dopłacić za udział w pracach, umożliwiając tym samym skompletowanie władz. Jednorazowy udział w imprezie, wynagradzany dyskretnie jak usługi zawodowego czwartego do bridge'a da konieczne uzupełnienie zasiłków Assistance Boardu. Czwarty do założenia stronnictwa, czy wzmocnienia jego szeregów też ma prawo żyć, choć naturalnie ma mniej kwalifikacji od zawodowego bridge'ysty. Taki party-sitter w zasadzie robi o samo co baby-sitter : zatyka uszy watą, nudzi się i spogląda na zegarek, czy metro nie ucieknie.

Ponieważ Londyn podobno po rokowaniach o zjednoczenie narodu odczuwa pewien kociokwik, choć kota tam nie było, położymy kres naszemu gadulstwu i akt połączenia narodu w szeregach trójdzielnych partii za pośrednictwem skupialni i wypożyczalni członków ogłosimy odrazu w konkretnej formie jako

CENNIK USŁUG

Biuro nasze rozporządza bogatym zespołem fachowych uczestników Walnych Zebrań, Akademii itp. (Party-sitters). Wyszczególnione niżej opłaty obejmują już wynagrodzenie za spontaniczne oklaski, ironiczne uśmiechy i pomruki niezadowolenia w razie wystąpień nieodpowiedzialnych oponentów, głosowanie za wszystkimi wnioskami prezydium i (nigdy nie-) ustępującego zarządu. Pracownicy przez nas poleceni nigdy nie ziewają, nie zasypiają, a w razie zaśnięcia nie chrapią i nie wydają żadnych odgłosów, nie przewidzianych w porządku obrad, siedzą do końca, biją oklaski, gdy mówca podrapie się za uchem lub gdzie indziej (wedle umowy) i dają jednomyślny wyraz przywiązaniu do ideałów stronnictwa, ilekroć zajdzie tego potrzeba.

Zwróć uwagę na nasze rewelacyjne stawki !

A. — Taryfa zbiorowa

1) *Za udział w walnym zgromadzeniu i zapisanie się do Stronnictwa :*

a) Byli ziemianie... 3/6 sh., arystokracja... 4/6 sh.
b) Robotnicy... 5/7 sh. (Dopłata za kombinezon poplamiony smarami 2/3 sh.).
c) Chłopi 7/6 sh. (Dopłata za długie buty 3/6 sh.).
d) Przedstawiciele młodego pokolenia (gwarantowany wiek poniżej 60 lat, powyżej 14 lat)... 9/6 sh.

2) *Dopłata za ślubowanie dozgonnej wierności ideałom Stronnictwa w uroczystej formie przy grupach a-c... 1/3 sh., przy grupie d)... 1/9 sh.*

3) *Gwarancja firmowa, że członek w ciągu 3 miesięcy nie zapisze się do innego ugrupowania politycznego... jedna gwinea (21/- sh.).*
Ditto za roczny okres .... 2 gwineje (42/- sh.).

4) *Za udział we władzach Stronnictwa z wyboru, 50 % dopłaty do stawek pod 1).*

5) *Ditto z pełnomocnictwem do głosowania dla wskazanej przez PP. zleceniodawców osoby 100 % dopłaty do stawek pozycji 1).*

B. — Taryfa indywidualna i specjalna

1) *Specjalne taryfy kombinowane na żądanie klientów. Niektóre pozycje cennika specjalnego : za usługi księcia o historycznym nazwisku lub b. ministra, który da się wybrać na prezesa komisji rewizyjnej i podpisze antydatowany o rok protokół z rewizji ksiąg, wniosek o absolutorium i podziękowanie dla (nigdy nie-) ustępującego zarządu za wzorową gospodarkę... £. 5./6-*

2) *Za usługi ogólnie szanowanego za prawość członka sądu organizacyjnego, który podpisze trzy orzeczenia in blanco bez daty... £ 3/8/6*

3) *Za wystąpienie przybysza z kraju, który zapewni o dozgonnej wierności ujarzmionego Narodu ideałom stronnictwa... £ 6/10*
Ditto z gwarancją, że ten sam przybysz w ciągu najbliższych 3 miesięcy nie wystąpi na zebraniu innego stronnictwa... 50 % dopłaty.
Ditto z gwarancją roczną... 100 % dopłaty.

4) *Za pozytywną ocenę pracy stronnictwa w rozmowie (wszystkie języki) z zagranicznymi ekspertami zimnej wojny, uczestniczącymi w walnym zgromadzeniu — wedle umowy, wynagrodzenie procentowe od „rendement" czyli wyników.*

5) *Za pisanie doniesień do władz miejscowych o szkodliwej działalności agenturowej innych ugrupowań według dostarczonego tekstu... 3 pensy plus papier, koperta i koszt porta.*

6) *Za udział w zebraniach przeciwników i protesty — ceny wedle umowy, dyskrecja zapewniona.*

BEZPŁATNE USŁUGI DLA REKLAMY : ZA DARMO WYSYŁAMY NA ZEBRANIA NIEKTÓRYCH STRONNICTW DOWOLNĄ ILOŚĆ OSÓB BEZ RÓŻNICY PŁCI I WIEKU, KTÓRE GOTOWE SĄ GŁOSOWAĆ ZA WNIOSKIEM O ROZWIĄZANIE PARTII.

Ta ostatnia, pozornie niezrozumiała pozycja cennika tłumaczy się nadzieją, że po likwidacji niektórych noworozmnożonych stronnictw korzyści pośrednie zrównoważą utratę zarobku partysitterów (Przyp. Dr A. Gamma).

Dr A. GAMM

Kronika kulturalna

Rękopisy Morza Martwego

Wczesną wiosną 1947 roku, oczy całego świata zwracały s
ku Ziemi Świętej, gdzie napięcie polityczne dochodziło do maks
mum. Nikt jednak nie mógł przypuszczać, iż właśnie w tym cz
sie zdarzy się tam drobny, banalny wypadek, któremu sądzon
będzie stać się pierwszym ogniwem w długim łańcuchu zdarze
których doniosłości dla dziejów kultury ludzkiej nie można jes
cze teraz ocenić nawet w przybliżeniu.

Na zachód od Morza Martwego leży słynna pustynia J
dejska, skalista, spalona przez słońce. Od wieków stanowiła on
idealne miejsce schronienia dla wszystkich, którzy z tych lub i
nych powodów unikają życia społecznego. Obecnie wegetują ta
nieliczni beduini; otóż jeden z nich, szukając pewnego dnia z
ginionej owcy, natrafił w okolicach Jerycha, około źródła Aj
Feszka, w pobliżu ruin zwanych Kirbet-Kumran, na jaskinię, –
jakich pełno jest w tej miejscowości.

W jaskini stał szereg dużych garnków glinianych, a ni
które z nich zawierały zwoje pergaminowe, owinięte w płótn
i zalane asfaltem.

Za pośrednictwem antykwariuszów, beduin sprzedał za gr
sze, lepiej zachowane zwoje metropolicie syriackiemu z klaszto
Świętego Marka w Jerozolimie, Mar Atanaz Jeszue Samuełow
Pokazywane znawcom, nie wzbudziły u nich zwoje większe
zainteresowania. Dopiero w listopadzie 1947 roku, dowiedzi
się o znaleziskach profesor Uniwersytetu Hebrajskiego w Jer
zolimie E. Sukenik i zrozumiał ich wartość. Sukenik natychmia
nabył od antykwariusza w Betleemie pozostałe rękopisy, or
dwa całe garnki. Chciał on też wykupić resztę zwojów od M
tropolity, ten jednak, po kilku spotkaniach, przerwał pertrakt
cje i rozpoczął targ z Amerykanami.

Po salomonowym podziale Palestyny przez O.N.Z., na Zi
mi Świętej zapanowało piekło. Metropolitę namówiono, aby z
bezpieczył rękopisy, deponując je w Stanach Zjednoczonych.

O samej jaskini zapomniano zupełnie. Dopiero w styczniu 1949 r., z inicjatywy jednego z obserwatorów O.N.Z., porucznika belgijskiego Ph. Lippens'a, rozpoczęto poszukiwania koło Ajn-Feszka, niestety, za późno! Okazało się, że w listopadzie 1948 r., ludność okoliczna, szukając skarbów, zniszczyła całe podłoże jaskini i podeptała przedmioty, bezwartościowe z punktu widzenia beduinów. Mimo to, ekspedycja kierowana przez dyrektora Francuskiej Szkoły Biblijnej w Jerozolimie, Dominikanina Ojca de Vaux, dostarczyła licznych drobnych urywków, często zawierających zaledwie kilka liter hebrajskich lub greckich. Była to jednak zdobycz bardzo ważna, gdyż pozwoliła ustalić, iż fragmenty te stanowią części rękopisów znalezionych poprzednio, a więc nie mamy tu mistyfikacji. Koło jaskini postawiono nareszcie straż.

W listopadzie i grudniu 1951 r. O. de Vaux rozpoczął badanie ruin Kirbet-Kumran, odkopując resztę wielkiej sali, przeznaczonej prawdopodobnie na zgromadzenia, oraz garnki tego samego typu co w jaskini oraz monety.

Badania cmentarza, położonego obok i uplanowanego bardzo regularnie, dały wyniki wręcz sensacyjne. Okazało się, iż zwłoki są zorientowane w sposób dotychczas zupełnie niespotykany na terenie Palestyny i krajów sąsiednich, mianowicie wyciągnięte według kierunku południka, z głową zwróconą na południe.

Na dalsze badania zabrakło środków. Wobec tego archeologów zastąpili badacze spośród tubylców, którzy na swój sposób rozpoczęli przeszukiwanie okolicy. Odkryto nowe groty z zabytkami. Nareszcie w marcu 1952 r., Ecole Biblique et Archeologique Française i American School of Oriental Research w Jerozolimie, wznowiły poszukiwania, kontynuowane na jesieni tegoż roku.

W licznych grotach znaleziono rękopisy i przedmioty z różnych epok. Wyrażane są zdania, iż pustynia Judejska stanie się dla historyków tym, czym był Egipt po odkryciu Champoliona.

Dziś zajmiemy się tu wyłącznie znaleziskami z pierwszej jaskini, oraz im pokrewnymi. Nie wszystko jeszcze się ujawniło. Gdy, na przykład, po kilku latach żmudnej pracy, rozwinięto jeden ze stwardniałych zwojów (tzw. *Apokalipsę Lamecha*), właściciel zwoju, Metropolita Mar Atanaz, nagle cofnął pozwolenie na ogłoszenie i nawet fotografowanie rękopisu [1]). Zresztą, nie tylko Beduini i Lewantyńczycy, lecz także uczeni zachodni, nie zawsze stali na wysokości w całej tej sprawie nowych rękopisów. Jaką zaś doniosłość mają te znaleziska, można sądzić chociażby z faktu, iż od chwili ogłoszenia pierwszych dokumentów, na temat ich ukazało się ponad pół tysiąca większych prac, nie licząc drobnych notatek i artykułów dziennikarskich. Okazała się nawet potrzeba założenia nowego czasopisma bardzo poważ-

1) Rękopis, treść którego jest ogłoszona, traci wiele na swej wartości rynkowej. — Mar Atanaz od początku sprawy wykazał nieprzeciętne talenty handlowe, pospolite zresztą u całego duchowieństwa lewantyńskiego.

nego : *Vetus Testamentum,* wydawanego w Leydze przez Mię dzynarodowe Towarzystwo Badaczy Starego Testamentu.

Bilans dotychczasowych znalezisk, przedstawia się następu jąco :

1. — Klasztor Świętego Marka posiada : a) *Księgę proroka Izajasza,* b) *Komentarz do Księgi proroka Habakuka,* c) Część tzw. *Podręcznika Dyscypliny,* d) Dzieło w języku aramejskim tzw. *Apokalipsę Lamecha.* Tekst wszystkich tych rękopisów, z wyjątkiem ostatniego, jest ogłoszony w całości.

2. — Uniwersytet Hebrajski posiada : a) *Księgę Proroka Izajasza,* b) Dzieło pod tytułem : *Walka Synów Światłości z Sy nami Ciemności,* c) *Psalmy nieznane.* Dotychczas ogłoszono drobne wyjątki tych dzieł.

3. — Francuska Szkoła Biblijna posiada liczne urywki, bar dzo cenne.

4. — Do Palestyńskiego Muzeum Archeologicznego w Jero zolimie należy część *Podręcznika Dyscypliny.*

Wszystkie te fragmenty mają być wkrótce ogłoszone. W pra cach przygotowawczych bierze udział Polak, Ks. J.T. Milik świetnie zapowiadający się biblista.

Już same *księgi Izajasza* mają olbrzymią wartość dla kry tyki tekstów biblijnych, będąc najstarszymi obecnie odpisam Pisma Świętego. Prawdziwa sensacja jednak rozpoczęła się od *komentarza do Księgi Habakuka.*

Habakuk należy do tzw. 12-tu mniejszych proroków. W re dakcji obecnej, cała Księga składa się z dwóch króciutkich ustę pów, oraz niezwiązanego z nimi treścią psalmu, będącego do datkiem późniejszym. *Księga Habakuka* zawiera zapowiedź i opi inwazji Chaldejczyków i pochodzi prawdopodobnie z okresu oko ło VI stulecia przed Chrystusem.

W naszym rękopisie nieznany komentator zaktualizował t dzieło. Do każdego wiersza tekstu dodał on komentarz, nawią zujący do współczesnych mu wypadków. Komentator uważa pro roka Habakuka jako zwiastuna wydarzeń, którym sam on si przyglądał. Jest to zresztą metoda znana i często stosowan przez dawnych komentatorów. Jest więc komentarz pierwszo rzędnym źródłem historycznym. Cóż z niego wynika ? Autor opi suje dzieje pewnej osobistości, niewymienionej z imienia, tytuło wanej *Nauczycielem Sprawiedliwości.* Był to pomazaniec Boży Mesjasz, głoszący miłość bliźnich, pokorę, ubóstwo, czystość Bezbożny Arcykapłan prześladował Nauczyciela, kazał zedrze z niego szaty i zamęczyć. Później jednak, nastąpił triumf Nau czyciela Sprawiedliwości. Zjawił się on w glorii nad Jerozolimą bezbożny Arcykapłan został oddany w ręce wrogów i zginął, od pokutowując za swoje zbrodnie.

Według autora, w chwili pisania komentarza, ludzkoś znajduje się w ostatnim okresie swego istnienia. Wkrótce m nastąpić Sąd Ostateczny, na którym Nauczyciel Sprawiedliwośc Wybraniec Boży, będzie sądził całą ludzkość. Uratują się j dynie ci, którzy wierzą w Nauczyciela, reszta zostanie potępio na.

W tym oczekiwaniu końca, zwolennicy Nauczyciela mają żyć, przestrzegając jego nakazów, zgromadzeni w gminie, która się nazywa *zjednoczeniem,* lub *stronnictwem.* Członkowie jej zaś noszą tytuły *biedaków,* lub *prostaczków.*

Szczęściem, wśród rękopisów, zachował się tzw. *Podręcznik Dyscypliny,* rodzaj Statutu tego zgromadzenia. Dzięki niemu możemy poznać organizację, zasady, system filozoficzny, modlitwy i pouczenia tej nieznanej dotychczas sekty palestyńskiej, *Gminy Nowego Przymierza.*

Badaczom *Komentarza i Podręcznika,* od razu rzuciło się w oczy podobieństwo ich do głośnego od 40-tu lat, rękopisu, który w swoim czasie wzbudził wielką sensację, lecz nie mógł być całkowicie zrozumiany. Chodzi o tzw. *Pismo Damasceńskie,* znalezione w końcu XIX wieku w archiwum świątyni karaickiej w Kairze[2]), i ogłoszone przez S. Schechtera w 1910 r. Są to dwa odpisy z X-go i XII-go wieku, z oryginału pochodzącego z II-go lub I-go wieku przed Chr. *Pismo Damasceńskie* stanowi regulamin *Gminy Nowego Przymierza w kraju Damasceńskim,* założonej przez zwolenników Nauczyciela Sprawiedliwości, po ich ucieczce z Palestyny. Zarówno styl, terminologia, ideologia jak i postać Nauczyciela, nie pozostawiają wątpliwości, iż rękopis kairski i rękopisy jerychońskie pochodzą z tego samego środowiska i zostały ułożone w tym samym okresie.

Czymże więc była ta Gmina Nowego Przymierza i kim był ów Nauczyciel Sprawiedliwości? Dlaczego nie mieliśmy o nich świadectw w innych źródłach? Czy może byli oni znani pod innymi imionami?

Stworzono cały szereg hipotez o okresie powstania nowych rękopisów. Rozpiętość przypuszczeń wahała się od VI-go wieku przed Chr. do X-go wieku po Chrystusie. Ostatecznie, najbardziej przekonywującą wydała się teoria, iż rękopisy zostały zredagowane w II-gim lub I-szym wieku przed Chr., schowane zaś w jaskini przez wiernych Gminy Nowego Przymierza, między 66 a 70-tym rokiem po Chr., w okresie powstania żydowskiego i wielkiej wojny z Rzymianami.

Co do autorstwa rękopisów, pierwszy Sukenik postawił pytanie czy nie są one dziełem Esseńczyków. Myśl tę rozwinął Dupont-Sommer i obecnie ma ona najwięcej zwolenników.

Encyklopedysta rzymski Pliniusz Starszy (zmarł w 79 r. po Chr.) donosi nam, iż za jego czasów, na zachód od jeziora Asfaltowego (Morza Martwego) mieszkali Esseńczycy. ,,To jest naród jedyny w swoim rodzaju, zadziwiający ponad wszystkie inne na świecie : bez żon, wyrzekający się wszystkiego co pochodzi od Venus, bez pieniędzy, nie mający innego towarzystwa

2) Odkrycie tego archiwum, tzw. *Genizy Kairskiej,* zawierającej około 200.000 dokumentów hebrajskich, aramejskich, arabskich i greckich, sięgających 8-go wieku, wywołało prawdziwy przewrót w poglądach na dzieje kultury Środkowego Wschodu za okres wielu stuleci. Znaleziono tam fragmenty ksiąg Pisma Świętego, znane poprzednio jedynie z nazwy, nieznane utwory poetyckie, filozoficzne, teologiczne itp.

niż palmy. Jednak stale pozostają oni w niezmiennej liczbie, dzięki tłumowi nowych przybyszów, albowiem wielka jest liczba takich, którzy zmęczeni przez życie, są kierowani przez los do przyjęcia ich sposobu bycia. W ten sposób, w ciągu tysięcy wieków trwa ten wieczny naród wśród którego nikt się nie rodzi".

Prawda, że w nowych rękopisach nigdzie nie występuje nazwa Esseńczycy. Jednak dla oznaczenia gminy, często spotykamy wyraz hebrajski *ecach* (stronnictwo). Dupont-Sommer przypuszcza, iż wyraz ten który w transkrypcji greckiej powinien dać *essa,* przeszedł w *essaioi* i *essenoi,* greckie nazwy Esseńczyków.

Istniało kilka kategorii Esseńczyków : Esseńczycy ścsłej reguły, właściwi zakonnicy, oraz coś w rodzaju tercjarzy, żyjących poza zakonem i posiadających rodziny. Stąd też rękopisy zawierają ustawodawstwo dotyczące życia małżeńskiego.

Reguła zakonna Gminy była niezwykle ostra. Nie istniała tam własność prywatna, wszystko należało do ogółu, regulamin przewidywał surowe kary dla tych, którzy, wstępując do Zgromadzenia, zatajali swój majątek. Kandydat był egzaminowany przez przełożonego i po pewnym czasie próbnym, na mocy decyzji zgromadzenia bywał dopuszczany do dwuletniego nowicjatu. Po tym okresie nowicjusz zostawał pełnoprawnym członkiem i mógł brać udział we wspólnych posiłkach i wspólnych kąpielach oczyszczających, mających charakter sakralny. Jeżeli surowy regulamin odstraszał członka, mógł on opuścić Gminę. Gdy wracał na nowo, musiał odbyć nowicjat od początku. Członek, który opuścił Gminę po dziesięcioletnim pobycie, nie mógł być przyjęty powtórnie.

Ścisła hierarchia była przestrzegana i raz na rok układano listę starszeństwa według kolejności wstąpienia i według zasług. Starcy cieszyli się wielkim szacunkiem, istniała jednak granica wieku dla piastowania urzędów. Wszystkie stanowiska obsadzano na podstawie wyborów i losowania. Trybunał składał się według *Podręcznika Dyscypliny* z dwunastu członków, według *Pisma Damasceńskiego* z dziesięciu; kapłani i lewici mieli w nim zarezerwowaną ilość miejsc. Poza tym, kapłani grali wielką rolę w całej organizacji Gminy i oni to błogosławili chleb i wino w czasie posiłków, mających charakter sakralny. Posiłki te poprzedzano kąpielą oczyszczającą i wkładano następnie specjalne szaty. Poza dwoma posiłkami codziennymi, cały czas od świtu do zmroku był wypełniony pracą. Dzień rozpoczynano i kończono modlitwą. Co trzecią dobę odbywały się nabożeństwa nocne. Za najmniejsze przewinienie karano zmniejszeniem i tak skromnej racji żywnościowej lub zamknięciem.

Poza przepisami ustawodawczymi i porządkowymi, rękopisy zawierają modlitwy, oraz ustępy treści filozoficznej. W wierzeniach Gminy Nowego Przymierza, spotykamy rzecz nieznaną w Starym Testamencie mianowicie dualizm typu irańskiego. Pierwiastek zła nie jest przeciwstawiony Bogu, uważa się, iż za-

równo dobro jak i zło zostały stworzone przez Boga. Jest to typowy dualizm według nauki Zoroastry.

Jeszcze za wcześnie decydować jaką drogą ta nauka trafiła do Palestyny : bezpośrednio z Iranu czy też z Grecji, za pośrednictwem Pitagorejczyków. Zaznaczmy, iż w Egipcie, z którym Pitagorejczycy byli związani, istniały liczne grupy Esseńczyków, zwanych tam *Terapeutami*.

Dupont-Sommer udowadnia istnienie znacznych wpływów pitagoryjskich na Gminę. Między innymi, członkowie jej w systemie mistyki liczbowej, przypisywali najwyższą świętość cyfrze 50, uważanej także przez Pitagorejczyków za podwójnie doskonałą [3]).

Kalendarz Esseńczyków zdradzał pochodzenie z obszarów bardziej północnych; jest to kalendarz słoneczny, rozróżniający cztery pory roku, gdy w Palestynie istnieją jedynie lato i zima. Każda pora była podzielona na trzy miesiące; dwa pierwsze miały po 30 dni, trzeci zaś jeden dzień dodatkowy, służący za przejście do następnej pory.

Esseńczycy, na równi z Pitagoryjczykami, czcili swego mistrza tak dalece, iż nie wolno było wymawiać jego imienia, które pozostaje nieznane dla nas. Kimże był ten Nauczyciel, Pomazaniec Boży?

Niektórzy chcieli zidentyfikować go z Chrystusem, lecz : 1) Chrystus żył i działał w Galilei, — Nauczyciel Sprawiedliwości w Judei; 2) Nauczyciel pochodził z rodu kapłańskiego, — Chrystus z pokolenia Dawida; 3) Nauczyciel był uczonym filozofem, surowym ascetą, — Chrystus nie potępiał radości życia, działał wśród prostego ludu.

Niektóre ustępy komentarza Habakuka każą przyjąć, iż Nauczyciel Sprawiedliwości działał za panowania Arcykapłana i króla z dynastii Hasmonejskiej, Aristobula II (67-63 przed Chr.), wziętego do niewoli i zamordowanego w więzieniu w Rzymie. Męczeńska śmierć Nauczyciela miałaby miejsce między 65 a 63 rokiem. Opis upadku Jerozolimy, jako kary za zbrodnię, zgadza się z opisem zdobycia tego miasta przez Pompeusza w październiku 63 r. przed Chr.

Identyfikacja autorów rękopisów z Esseńczykami ma dotychczas licznych przeciwników. Niektórzy, jak np. H.E. Del Medico, całkiem zaprzeczają istnieniu Esseńczyków, uważając ich za wytwór fantazji Józefa Flawiusza. Inni zaś, a przede wszystkim S. Zeitlin nie szczędzą wysiłków, aby odmówić rękopisom dawności i jakiejkolwiek wartości. Według tych poglądów mają rękopisy pochodzić z okresu około X-go wieku po Chr. i są dziełem mało piśmiennych autorów karaickich. Język

3) Najprostszy trójkąt prostokątny, o bokach wyrażonych w całych jednostkach, ma przyprostokątne równe 3 i 4 i przeciwprostokątną równą 5. Suma ich wynosi 12 — liczba doskonała według Pitagorejczyków. Boki tego trójkąta podniesione do kwadratu, na podstawie twierdzenia Pitagorasa, dadzą 9, 16 i 25, w sumie 50 — liczbę podwójnie doskonałą.

ma jakoby zdradzać liczne arabizmy, terminologia zaś i ideologia są typowe dla Karaizmu.

Jedynym wynikiem wystąpień Zeitlina i jego szkoły jest to, iż dziś nie ulega już żadnej wątpliwości istnienie ścisłego związku między ideami i regułą rękopisów jerychońskich i damasceńskich, a Karaizmem. Dawność rękopisów została niezbicie udowodniona. Dane paleograficzne i badania fizyczne znalezionych przedmiotów wskazują zgodnie na okres II lub I wieku przed Chr. jako czas ich powstania. Wpływy językowe, rzekomo arabskie, okazały się po prostu aramejskimi, a więc również z tego samego okresu.

Już prawie od wieku, badacze jak : Geiger, Graetz, Harkavy, Kaufmann Kohler i inni zwrócili uwagę na podobieństwo ustawodawstwa religijnego karaickiego z esseńskim. Podobieństwo to jeszcze bardziej się uwydatniło po znalezieniu Pisma Damasceńskiego i rękopisów Morza Martwego. Zwróćmy tu uwagę na kilka analogii. Członkowie Gminy Nowego Przymierza nazywali siebie : *ci co wzdychają i jęczą* (wyrażenie zapożyczone od Proroka Ezechiela), *sieroty*, — *biedacy* — dokładnie te same wyrażenia, jakie stosowali do siebie dawniej wyznawcy Karaizmu.

Księgi Proroków w obu wypadkach mają tę samą doniosłość co i Pięcioksiąg. Alegoryczny system interpretacji Pisma Świętego jest charakterystyczny dla obu grup.

Według nowoznalezionych rękopisów, Mesjasz ma być nie z domu Dawida, lecz Aarona; tę samą koncepcję znajdujemy jeszcze w XII-tym wieku wśród Karaitów.

Przepisy dotyczące pożycia małżeńskiego, zakaz poligamii (chociaż uznanej przez Stary Testament), utrudnienia rozwodowe, zakaz ponownego ślubu rozwiedzionego, za życia pierwszego małżonka — wszystko to jest wspólne dla obu grup.

Już w *Piśmie Damasceńskim* znajdujemy regułę analogii tak charakterystyczną dla karaickiego ustawodawstwa kanonicznego.

Trybunał składa się z dwunastu członków (według Pisma Damasceńskiego i przepisów karaickich — z dziesięciu), gdy w Palestynie najczęściej z trzech, a już nigdy z parzystej liczby sędziów.

Dawny kalendarz karaicki był identyczny z esseńskim, o którym mówiliśmy wyżej. System grzebania zwłok, głową na południe, stwierdzony na cmentarzu w Kirbet-Kumran, stosowany jest po dziś dzień przy pogrzebach karaickich.

W karaickich dziełach teologicznych, częste są wzmianki o Nauczycielu Sprawiedliwości. Jednak zapomnienie całej spuścizny duchowej zaszło tak daleko, iż dziś już nikt nie wie o kim tu mowa. Postać Nauczyciela występuje także w liturgii; autor niniejszego ogłosił przed rokiem pewną modlitwę pokutniczą odmawianą jeszcze do dziś, w której mamy takie zdanie : „*Ześlij nam Nauczyciela Sprawiedliwości, aby skłonił serce ojców ku synom*”.

Jednocześnie z tendencjami szkoły Zeitlina zarysowała się odmienna, reprezentowana przez J.L. Teichera i innych. Twierdzą oni, iż wymienione wyżej zbieżności są czysto przypadkowe. Według tej szkoły, Karaizm, nie posiadając żadnych podstaw ideologicznych, miał się chwycić części rękopisów, wykrytych koło Jerycha w IX wieku i przywłaszczył sobie ich idee. Zwolennicy tej teorii zapominają jednak o drobnostce : w jaki sposób Karaizm, żywiołowo rozpowszechniający się w VIII wieku, mógł już wtedy, o całe stulecie naprzód, znać te idee, rzekomo udostępnione dopiero w IX wieku, i wyrażać je w swoich ówczesnych pismach ?



Jakże więc powiązać wszystkie te fakty, omówione tu w wielkim skrócie ? Na łamach *Vetus Testamentum* wskazaliśmy na tekst autora arabskiego XIV i XV wieku, Makrizi'ego mówiący o wielkim rozłamie religijnym w Izraelu w okresie dynastii Hasmonejskiej (II-I w. przed Chr.).

Było to prawdopodobnie związane z prześladowaniem Nauczyciela Sprawiedliwości i wywołało emigrację pewnej grupy, unoszącej ze sobą swoje pisma. Wtedy to powstał poza granicami Palestyny, ośrodek religijny monoteistyczny o tendencjach uniwersalistycznych, przeciwstawiający się ośrodkowi nacjonalistycznemu w Jerozolimie. Ciekawą jest rzeczą, iż rękopisy Morza Martwego znają następujące kategorie członków Gminy Nowego Przymierza : kapłani, lewici i zwykli synowie Izraela. Pismo Damasceńskie, ułożone już na wygnaniu, przechowane w kienasie karaimskiej, rozróżnia jeszcze czwartą kategorię — prozelitów. Widocznie w Damaszku, była prowadzona szeroka akcja misyjna wśród ludności pogańskiej.

W Damaszku, na gruncie przygotowanym przez adeptów Nauczyciela, Chrześcijaństwo znalazło silniejszy oddźwięk niż w Palestynie. Nie powinno to dziwić, skoro przypomnimy sobie w jakim stopniu całe życie Gminy Nowego Przymierza było przepojone czystą ideą religijną. Istniało tu więc podłoże podatne dla rozpowszechniania idei Chrystusa. Saul z Tarsu, rozpoczynając walkę z Chrześcijaństwem, pierwszy swój cios kieruje w Damaszek, jako centrum bardziej niebezpieczne niż Jerozolima. Tutaj też następuje jego nawrócenie się i przemiana na apostoła Pawła.

Wierni z Gminy Nowego Przymierza nawróceni na chrześcijaństwo mogli ze sobą przynieść pewne idee i instytucje. Gminą chrześcijańską kieruje 12 Apostołów i po zdradzie Judasza, miejsce jego zostaje natychmiast obsadzone, ucieka się przy tym do losowania. W pierwotnych gminach chrześcijańskich istniała wspólnota majątku, charakterystyczna dla Esseńczyków. Coraz liczniejsze prace mają obecnie za temat te związki.

Po emancypacji Chrześcijaństwa i przeniesieniu jego centrum do Europy, Gmina Nowego Przymierza osłabła i przez kilka wieków prowadziła istnienie mało na zewnątrz dostrzegalne.

Jednak w łonie jej trwała praca ideowa i odbywała się ewolucja duchowa, objawiająca się od czasu do czasu w postaci ruchów zwanych *prekursorami Karaizmu.*

Dopiero w VIII w., dzięki sprzyjającej atmosferze duchowej na Bliskim Wschodzie, Karaizm rozpoczął ekspansję, która błyskawicznie ogarnęła Azję, Północną Afrykę, a nawet daleką Europę Wschodnią. Wtedy to został nawrócony na Karaizm szereg ludów różnych ras : resztki ich dochowały się do naszych czasów, między innymi także na terytorium Polski.

Znaczenie rękopisów Morza Martwego polega właśnie na tym, iż pomaga uzupełnić lukę w dziejach religii monoteistycznych i powiązać w jedną całość szereg zjawisk, uważanych dotychczas za odosobnione.

Szymon SZYSZMAN

Biust i kółko

(*Na marginesie tegorocznych wystaw paryskich*)

,,Gdyby pierś kobieca nie była tak okrągła, nigdy nie zostałbym malarzem''.

RENOIR

Sztuka zawsze była zbliżaniem się do świata przez ucieczkę. To błędne koło jest paradoksem życia duchowego. Anarchiści zwykli określać ,,powrót do rzeczywistości'' jako ,,embourgeoisement''. Taka wulgaryzacja życia duchowego jest charakterystyczna dla manii socjologicznej, która opętała myśl wyzwoloną od teologii.

Aforyzm Renoira jest na pierwszy rzut oka wyznaniem erotomana, który swą namiętność ,,voyeur'a'' ukrywa pod pozorami artystycznej bezinteresowności. Psychoanalityk poprzestałby na tym. Podchwyciłby skwapliwie fakt, że Renoir zrobił to wyznanie już w podeszłym wieku i patrzałby na akty Renoira jak na manifestacje wysublimowanej satyriasis.

Nie powiedział wprawdzie Renoir : ,,Gdyby pierś kobieca była mniej okrągła, nie malowałbym nagich kobiet'', ale : ,,nie zostałbym malarzem''. Dlatego, że kółko może w odpowiednim kontekście form oznaczać pierś kobiecą, zostałem malarzem, tj. człowiekiem, który operuje formami. W tej postaci aforyzm ten jest niemal manifestem biologizmu. Czynność duchowa staje się interesująca tylko, jeżeli zadowala potrzeby biologiczne.

Ale o to właśnie chodzi : czy sztuka ,,zadowala'' instynkty, czy też raczej je eksploatuje? Sztuka nie jest wcale pierwszym aniołem, który wprowadza duszę za rogi do raju. To samo robi już życie. Choć można oczywiście mieć wątpliwość, czy słowo

,,raj'' jest w tym wypadku dobrze dobrane. Instynkt robi z człowieka narzędzie gatunku. Podstępu tego używa także społeczeństwo, gdy eksploatuje takie instynkty człowieka jak strach, głód itd. Zarówno gatunek jak społeczeństwo uwznioślają tę niewolę. Kochanek, pociągnięty przez pokusę, staje się ojcem, którego pokrzepia duma ojcowska; żołnierz, bity w co popadnie, pociesza się uczuciami patriotycznymi.

Czy Renoir umiałby powiedzieć, co fascynowałoby go bardziej : krągłość, która oznacza pierś, czy pierś, która jest krągłością? Może wstydzi się swej namiętności do form i chciał ją usprawiedliwić? Jestem taki sam, jak wy : słaby człowiek. Słabość wyznana rozbraja. Jak można mieć malarzowi za złe jego manię form i kolorów, skoro zaspokaja ona tak zrozumiałe potrzeby?

Misia Sert na starość nie mogła sobie wybaczyć, że nie chciała pokazać Renoirowi swego wspaniałego (wówczas) biustu. I nawet nie przyszło jej do głowy, że Renoirowi wystarczyłby może widok pięknego jabłka. Czy ta próżność jest wybaczalna? Innymi słowy : czy ,,czysta forma'' nie jest objawem hipokryzji?

Renoir maluje z pasją i smakiem nagie kobiety, o których widz zapomina, gdy odkrywa, jak biusty, biodra i pośladki układają się w tę rzecz zawsze niespodziewaną i wyrywającą ze świata : obraz. Przed aktem Ingresa musi sobie nawet przypominać z wysiłkiem, że pretekstem do obrazu była czyjaś nagość — tak przedmiot roztopiony tu został w formie. Puryści natomiast malują tylko kształty geometryczne, ale Remizow nawet przed kolekcją kwadracików Kandinsky'ego powie : ,,On dotyka ciała!''

Nie chodzimy do muzeów, by oglądać to, co możemy zobaczyć w domu czy z okna domu. Gdyby tak było, do muzeów chodziliby tylko chłopcy w wieku pokwitania i ubodzy, którzy stracili nadzieję, że zobaczą kiedykolwiek egzotyczne kraje. Ale gdy już wiemy, czego szukamy w muzeach, nie zadowolą nas żadne surogaty. Dlatego olbrzymia większość malowanych dziś w Paryżu obrazów abstrakcyjnych nigdy nie zawiśnie w Luwrze.

Cézanne sprowadzał świat widzialny do trzech form stereometrycznych, ale chciał wisieć przy Poussinie, choć pragnął go namalować jeszcze raz ,,z natury''. Poussin zrobił wysiłek, którego żaden wynalazek techniczny trzech następnych stuleci, żaden ,,postęp sztuki'' nie unieważnił : pokazał, że wszystko, co przemija, ma wieczną formę. Malarz abstrakcyjny chce pokazać samą formę. Odwraca głowę od świata, bo nie wierzy, że świat ma te formy. Ta niewiara gubi go.

Sztuka abstrakcyjna dowodzi, że kultura błądzi przez nadmiar swych skarbów. Poprzez wszystkie epoki i style przewija się nieustannie Forma. Im większa jest różnorodność jej realizacji, tym jaśniej widać, że chodzi wciąż o to samo. Obchodzono się bez anatomii, bez perspektywy, bez rozbicia promienia słonecznego i osiągano formę, do której po wynalezieniu perspektywy, anatomii i optycznej syntezy kolorów niczego nie można dodać.

Cóż za pokusa! Dlaczegóżby nie sięgnąć po Formę bezpośrednio?

Picasso nie uprawia żadnej mistyfikacji. To nie on wynalazł teorie sztuki abstrakcyjnej, które czarują naiwnych. On nie potrzebuje maskować swych intencji. Powiedział po prostu: „Zawsze chcę namalować jakiś obraz, który mi się podobał, ale zawsze wychodzi coś innego''. Kubizm był próbą powtórzenia klasycznej sztuki w abstrakcji od jej tematyki. Namalować tylko to, co Baudelaire widział od wejścia w obrazach Delacroix, zanim mógł rozróżnić co one przedstawiają.

Czy można tak malować? Oczywiście, że można, ale nie można na tym poprzestać. Kubizm był w karierze Picassa okresem przejściowym — próbą instrumentów. „To może mi się do czegoś przydać'' mówił przerysowując jakąś bardziej efektowną mapę nieba. „Wszy na jego kołnierzu'' zobaczyły tę notatkę i zbudowały na niej „izm'', z którym zeszły do grobu. Picasso studiował dalej.

Kto dziś chce się uczyć malarstwa, ma tysiąc mistrzów. Na wazach greckich jest wszystko, co trzeba wiedzieć o greckiej wrażliwości, ale oślepłego Minotaura, którego mała dziewczynka wyprowadza na ląd, narysował dopiero Picasso.

Na hiszpańskich martwych naturach widzieliśmy dynie, ogórki i cebule, w których było więcej mistycyzmu, niż w niejednej anielskiej postaci malarstwa dewocyjnego. I sto razy więcej, niż w purystycznych, „czystych'' spekulacjach abstrakcjonistów. Uduchowienie nie może być programem — jest nagrodą za wysiłek. Oto prawda, o której sztuka abstrakcyjna chciałaby zapomnieć. Próbuje ona seryjnej produkcji aktów Łaski. Wulgarne spojrzenie na świat nie traci nic ze swej wulgarności, gdy spoczywa na samych plamach barwnych i ich wzajemnych relacjach. Istnieje pewien wysiłek duchowy, którego nie można obejść. Nie wszystko będą za człowieka robiły maszyny, bo życie duchowe nie jest nadwartością.

J. U.

Wystawy paryskie

Wystawę witraży francuskich w Musée des Arts Décoratifs (ulica Rivoli) zawdzięczamy dość paradoksalnie wojnie i jej, trwającym do dziś, skutkom. Aby uchować średniowieczne witraże od bomb pozdejmowano je w r. 1939 i ukryto w bezpiecznym miejscu. Zaraz w 1945 r. chciano urządzić z nich wystawę, ale witraży było 50.000 metrów kwadratowych, nic więc dziwnego, że zdecydowano umieścić z powrotem główne witraże w katedrach i kościołach Paryża, Chartres, Bourges itd. a obecna wystawa pokazuje tylko drobną cząstkę i to właśnie — bardzo zresztą słusznie — witraże mniej znane, z jakichś bardziej zapadłych okolic.

Witraże postarano się umieścić w atmosferze zbliżonej do oryginalnej, a więc w półmroku niby kościelnym. Dla spotęgowania wrażenia dobrze poukrywane głośniki nadają dyskretnie muzykę religijną. Oczywiście ściany z płótna nie zastąpią średniowiecznych murów, a oświetlenie elektryczne, umieszczone zresztą bardzo zręcznie za witrażami, nigdy nie dorówna światłu dziennemu (toteż najlepiej przedstawiają się witraże umieszczone na prawdziwej ścianie muzeum i oświetlone światłem dziennym). Wystawa trwać będzie co najmniej do końca września i radziłbym tym, co na niej jeszcze nie byli, by zaczęli ją zwiedzać „od końca'' tj. od witraży najpóźniejszych, umieszczonych w głębi. Nie dlatego, abym twierdził, że tylko wczesne witraże są coś warte, a późniejsze nic. Bynajmniej. Witraże renesansowe uderzają świeżością barw i godne są także podziwiania. Ale po nich zawsze jeszcze można oglądać i podziwiać witraże średniowieczne, jak choćby 14-wieczny „realizm'' czy może, ściślej biorąc, zainteresowanie życiem ziemskim, widoczne w postaciach rzemieślników i kupców na granatowo-czerwonym witrażu z Semur. A po witrażach z XII wieku nic już oglądać nie można. Ich twórcy interesowali się nie życiem ziemskim, ale niebieskim i środki artystyczne których używali były na miarę ich zainteresowań.

Artystów, którzy stworzyli te witraże nazywa się powszechnie prymitywami. Nie byli oni w każdym razie prymitywami, jeśli chodzi o technikę, skoro do dzisiaj mimo usilnych poszukiwań nie udało się na przykład odnaleźć odkrytego przez nich sposobu barwienia szkła, któremu dorównać dziś nie potrafimy. A więc może tworzyli dla ludzi prymitywnych ? Chłop z XII wieku, który orał drewnianym pługiem, nie umiał na pewno czytać ani pisać, a wierzył w najrozmaitsze, z naszego punktu widzenia absurdalne, przesądy (mamy na to dowody, bo wiemy w jakie przesądy wierzyli członkowie ówczesnej elity). A jednak spośród tych właśnie ludzi, wśród nich, i zapewna dla nich, powstała tak wspaniała sztuka i widocznie była potrzebna i pożyteczna, skoro zapewniano jej tak poczytne miejsce w katedrach, które znowu były dosłownie centrum ówczesnego społeczeństwa. Nie darmo w średniowiecznym mieście katedra wznosi się wysoko ponad domy i jest niejako sercem miasta. Dom Boży nie był dla współczesnych tylko przenośnią, a zresztą katedra poświęcona np. świętemu Stefanowi lub Matce Boskiej, to był dom Naszego Pana, św. Stefana czy Naszej Pani (skąd : Notre Dame), no a ziemie należące do katedry były po prostu ziemiami świętego Stefana. Wszystko to ma na celu wskazanie, że mimo naszego estetycznego zachwytu dla witraży niewiele być może rozumiemy z zamiarów i celów ich twórców. Ostatecznie nie tworzyli oni może dla wiernych, tylko wyłącznie dla Boga. A co widzieli w tej powodzi barw pokorni chłopi, którzy przychodzili do katedry raz na miesiąc czy zgoła dwa razy do roku, nie dowiemy się chyba nigdy.

◆

Jeden tylko kraj na świecie może sobie pozwolić na urządzenie wystawy poświęconej winu w historii tego kraju i to zorganizowanej nie przez związek producentów win, a przez Archives Nationales. (Oczywiście, Włochy stać byłoby na wystawę „Wino w sztuce''). Najciekawszą zresztą częścią wystawy były bodaj niektóre miniatury średniowieczne przedstawiające bądź to pijaństwo Noego bądź uprawę wina. Już w średniowieczu wino było uważane za środek leczniczy i jedna ze średniowiecznych encyklopedii medycznych zapewnia pod literą V : „Dodaje się niekiedy do wina zioła i korzenie aromatyczne, aby nadać mu zapach i smak sztuczny... i takie wino dobre jest do picia i na lekarstwo, albowiem zioła i korzenie udzielają mu wielkiej cnoty i strzegą je od zepsucia, a wino takowe rozkoszne jest dla smaku i zaostrza apetyt (pierwsze aperitywy!) i zapachem swoim krzepi mózg i żołądek i czyści krew i przenika członki i żyły''. Jak widzimy kult

dla wina we Francji nie datuje się od dzisiaj. Na wystawie można było podziwiać wspaniałe pergaminy królewskie z VIII-IX wieku nadające winnicę temu czy owemu klasztorowi lub mapę z wykresem szlaków eksportu win francuskich do Holandii i Skandynawii w tym samym okresie.

Dla mieszkańca Paryża melancholijnie nieco przedstawia się gablotka poświęcona stolicy Paryża : winnice rozpościerały się nie tak jeszcze dawno nie tylko w Clichy czy w „Clos Saint Lazare", ale nawet w Saint Germain des Prês. Tym bardziej melancholijnie, gdy czyta się kontrakt między jakimś stolarzem i innym rzemieślnikiem o sprzedaży winnicy położonej w obrębie dzisiejszego Paryża. Ilu rzemieślników w Paryżu ma dziś winnicę? Takie dokumenty rzucają czasem niespodziewane światło na różnicę w sytuacji społecznej dwóch epok i na dzisiejszą bezdomność — „deracinement" — robotnika paryskiego w porównaniu z jego przodkami. Nawet dokumenty z drugiej połowy XIX wieku pokazują jakie postępy zrobiły od tego czasu wielkie monopole także jeżeli chodzi o produkcję wina, mimo że ta dziedzina zostawia jeszcze wiele pola dla indywidualizmu. To samo nastąpiło na większą skalę w takich przemysłach jak produkcja beczek czy butelek, z jak najgorszym skutkiem dla strony artystycznej. Dwie sale wystawy poświęcono pięknym, naprawdę starym beczkom (rzeźbionym), butelkom i kieliszkom. Intrygujące jest, że najładniejsze kieliszki pochodzą z XVII i XVIII wieku, choć w innych dziedzinach sztuki wiek ten był raczej mierny. Epoka, która wydała znakomite malarstwo, nie koniecznie musi być epoką znakomitej architektury; to „prawo" obowiązuje widocznie i wobec sztuki stosowanej.

Jan TOROSIEWICZ

Książki

Niemcy a rewolucja przemysłowa

Książka Edmond Vermeil *) słusznie zwraca uwagę, że uprzemysłowienie Niemiec przybrało tak odrażające formy głównie z powodu opóźnienia tego kraju w procesie uprzemysłowienia. Gdy Niemcy, wzbogacone przez bismarckowskie zwycięstwo nad Francją, zaczynają się gwałtownie uprzemysławiać, Anglia i Francja już od pół wieku systematycznie budują przemysł. Co dopiero zjednoczone politycznie, Niemcy ulegają pod wpływem tego raptownego procesu cywilizacyjnego społecznemu rozdarciu. Osiągają namiastkę harmonii społecznej tylko w okresach nacjonalistycznej egzaltacji lub w okresie dyktatury. Gdy brak takiego stymulansu, burżuazja i proletariat nie są nawet partnerami w walce klas, ale przeciwnikami w dżungli.

Prusy dały Niemcom mechanizm, który przez kilka dziesięcioleci zapewni temu krajowi spokój, jeżeli nie harmonię : wojsko i biurokrację, wychowane w kantowskiej etyce obowiązku i posłuchu. Gdy tego mechanizmu zabraknie, wraca dżungla. W latach 1920-23 burżuazja przemysłowa nie tylko zwala na proletariat wszystkie koszta swej walki o władzę — jaką wygrywa wbrew zwycięskim aliantom — ale poświęca niemniej bezwzględnie podporę Niemiec cesarskich — drobnomieszczaństwo. Nie rozumie ona — powiada Vermeil — że w ten sposób toruje drogę cezaryzmowi, który ją pochłonie a Niemcy strąci w przepaść.

Brutalizacja rewolucji przemysłowej w miarę jej przesuwania się na Wschód i coraz większego „zapóźnienia" zdaje się być zresztą jednym z praw naszej cywilizacji. Rosję dzieli bowiem od Niemiec znowu odstęp 50-letni. Jeżeli to prawo nie jest tylko zbiegiem okoliczności, grozą przejmować musi myśl, czym będzie — jako zjawisko polityczne, społeczne i kulturalne — uprzemysłowienie Chin !

W sto lat po Lutrze i Koperniku Francja położy w Pokoju Westfalskim fundament pod „europejskie niebezpieczeństwo" Niemiec : rozbije ten kraj na tyleż królestw i księstw, ile jest dni w roku. Gdy Bismarck zjednoczy Niemcy, popadną one w gorączkę industrializacyjną, której polityka

---

1) Edmond Vermeil, *L'Allemagne Contemporaine sociale, politique, culturelle 1890-1950.* Tome I : *Le règne de Guillaume II 1890-1918*, frs. 530. Tome II : *La République de Weimar et le Troisième Reich 1918-1950*, frs. 620, Aubier, Editions Montaigne, Paryż 1952/53.

i kultura tak samo nie dotrzymają kroku, jak zdezorientowani stróże porządku europejskiego — Francja i Anglia. Pierwsza wojna światowa, wywołana sięgnięciem przez Niemcy po brakujący im filar uprzemysłowienia — potęgę morską — skończy się interwencją Ameryki w Europie; druga, wywołana ponowną próbą wymuszenia harmonii społecznej przez eksplozję imperialistyczną, ostatecznie zatrzyma Amerykę w Europie i przesunie granice Rosji nad Łabę.

◆

Hermann Raüschning 2) daremnie domagać się będzie od Anglosasów, by uznali ,,rewolucję europejską'' założoną w kulturze niemieckiej i zjednoczyli Europę jako ,,zwornik pokoju światowego''. Czym jest kultura wobec cywilizacji technicznej, czym romantyzm rewolucyjny wobec Rewolucji Przemysłowej ! Europa była jednością mimo ,,rozbicia'', na które utyskiwano bez końca. Teraz o jej zjednoczeniu mówią ci, którzy rozbili ją ostatecznie. Łaba stała się fosą oddzielającą dwa coraz bardziej obce sobie światy. Mit jedności Europy jest już tylko narzędziem psychologicznym ułatwiającym utrzymanie jej podziału. Dwa okupujące Europę imperia gotowe ją zjednoczyć, ale każde tylko i wyłącznie na swoich warunkach. Łatwo obliczyć szanse tego zjednoczenia. W istocie, geniusz niemiecki nie dorósł do roli pogromcy demona przemysłu.

◆

Alfred Grosser 3) (którego książka jest jakby trzecim tomem pracy Vermeila, albo lepiej : pierwszą częścią tego tomu, skoro Grosser ogranicza się do Republiki Federalnej) pisze : ,,Zdawano sobie sprawę (w marcu 1952 r.), że w gruncie rzeczy ani Sowiety ani Zachód nie są gotowe pogodzić się ze zjednoczonymi Niemcami w innej formie jak czy to w postaci rozszerzonej ku Zachodowi Republiki Demokratycznej, czy rozszerzonej ku Wschodowi Republiki Federalnej. Zjednoczenie o charakterze syntezy nie będzie mogło być brane pod uwagę wcześniej, niż w dniu, gdy Stany Zjednoczone i Sowiety zdecydują się uczynić z Niemiec pierwszy kraj, w którym pogodzą się dwa światy, rozchodzące się dziś coraz bardziej''.

Bainville żądał w r. 1915 powrotu do Pokoju Westfalskiego. W roku 1920 przepowiedział lata 1937/39, gdy przeczytał Traktat Wersalski. Trzeba było Stalina i Roosevelta, by po drugiej wojnie światowej nie popełnić błędu, który ku rozpaczy Bainville'a popełniono po pierwszej. Bainville myślał, że na podziale Niemiec skorzysta Francja. Dziś jeszcze wierzy w to wielu Francuzów, choć ci, którzy boją się wojny z Rosją, w szczególnym zaślepieniu życzą sobie zjednoczenia Niemiec.

Podział Niemiec jest w interesie tych, którzy go przeprowadzili i od ośmiu lat utrzymują. Dla czegóż mieliby ,,godzić dwa światy coraz bardziej się dziś rozchodzące'' ? Żeby powtórzyć rok 1914 albo rok 1939 ? Czy może po to, by urzeczywistnić utopię, np. ,,harmonijne współżycie burżuazji i proletariatu'', które Vermeil — za Maxem Weberem — uważa za ideał społeczny cywilizacji przemysłowej ?

Cywilizacja przemysłowa ma dokładnie takie ideały, jakie urzeczywistnia : masa bez godności i bez trosk, administrowana przez techników, dla

---

2) Hermann Rauschning, *L'Allemagne entre l'Ouest et l'Est, La Révolution Européenne*, Julliard, Paryż 1952.

3) Alfred Grosser, *L'Allemagne de l'Occident 1945-1952*, Préface d'Edmond Vermeil, Gallimard (Paryż, 1953).

których ludzkość jest samowystarczalną maszyną. Rok 1945, to był Armageddon cywilizacji, w której zbyt wiele było przypadku, nieobliczalności, niespodzianek. Amatorom dreszczyków i spekulacji pozostała już tylko sucha kość „zimnej wojny" : gdy wywąchają, że jest z kauczuku i domyślą się, jak jest fabrykowana — kultura straci ostatnie zaczepienie w rzeczywistości. Psycho-technika już wyparła psychologię, dialektyka — metafizykę. Maszyny cybernetyczne do administrowania światem już są w przygotowaniu.

Nie zapominajmy, że cywilizację techniczną buduje dopiero czwarte pokolenie i dla tego nie żądajmy zbyt wiele.



Hans Frank[4] należy do owego drobnomieszczaństwa niemieckiego, które burżuazja przemysłowa sproletaryzowała w okresie inflacji, zdemoralizowała i wpędziła w rozpacz. Frank otrzymał wykształcenie prawnicze, a gdy Piefke ma fach, utożsamia się z nim. Próbuje więc Frank występować wobec Hitlera jako obrońca prawa, a w szczególności prawa rzymskiego. Ale daje się ofuknąć bez żalu, choć gryzie go, że Führer nie szanuje jego idiosynkrazji zawodowej. Bo Hitler, to jest co prawda „wysłannik piekieł" (eksterminacja Żydów jest niewybaczalna), ale równocześnie był on namaszczonym wodzem narodu i byłby nim pozostał, gdyby umarł w r. 1937.

Wszystkie elementy niemieckiej „Bildung" (ale i „Un-bildung") kotłują się we Franku jak graty z rozbitego przez powódź domu. Vermeil wylicza pracowicie „źródła duchowe hitleryzmu" i dopatruje się ich nawet w Średniowieczu Konradina. W duszy Franka rzeka kultury niemieckiej rozpłynęła się na powrót w swe źródełka, które tu giną w brudnym mule przyfabrycznym.

Frank łudzi się, gdy sądzi, że Niemcy mogły wytrwać u szczytu, na jaki wprowadził je Hitler w r. 1937. Trudno mieć o to pretensję do niego, bo nawet historycy nie wypracowali jeszcze metod badania dziejów ostatnich stu lat jako historii jednej jedynej rewolucji — rewolucji przemysłowej. W siedem lat później przerazi go morda ponurego milczka Bormanna, czuwającego we wschodniopruskim bunkrze nad dogorywającym zezwłokiem Hitlera. Po paradnym pogrzebie Hitlera w r. 1937, ta lub inna morda byłaby przywitała Franka w zimnej hali nowej Reichskanzlei i przemysł niemiecki byłby tak samo szukał ujścia w zbrojeniach, jak je znajdował, gdy Hitler usiłował nadać kierunek niemieckiej rewolucji przemysłowej.

Czym dla Napoleona były piramidy, czym dla Hitlera grobowiec pod kopułą Inwalidów, tym dla Hansa Franka był Wawel. „Nie łatwo być w Polsce królem" powie mu dr Cybichowski przed grobowcem Jagiellończyka. Notując te słowa, Frank odsłoni zarazem swą megalomanię i swój kompleks niższości. Bo Wawel uświadomił Frankowi, że nie był w Krakowie na swoim miejscu. W Norymberdze zrozumie, że miejsce to jest na szubienicy i będzie mu się wydawało, że godząc się ze swoim losem, dokonywa aktu bohaterskiej pokory. Włoży głowę w pętlę z błogim uczuciem, że wchodzi w Królestwo Niebieskie, a równocześnie wznosi sobie pomnik ze spiżu.

(j.u.)

---

4) Hans Frank, *Im Angesicht des Galgens*, F.A. Beck Verlag, München-Gräfeling, 1953.

Totalitarna demokracja

„Myślę więc, że ten rodzaj ucisku, który zagraża narodom demo
kratycznym, w niczym nie będzie przypominał tego, co poprzedni
było na świecie ; nasi współcześni nie będą umieli znaleźć obraz
tego ucisku w swoich wspomnieniach. Sam na próżno szukam okre
ślenia, które by oddało dokładnie, co o tym myślę. Zjawisko jest no
we ; trzeba się więc starać je zdefiniować, ponieważ nie mogę g
po prostu wymienić".

ALEXIS DE TOCQUEVILLE

Marksizm znajduje się przed trudnością nie do pokona
nia, gdy staje przed nim zadanie wytłumaczenia własnych suk
cesów. Według marksizmu o wierzeniach religijnych, o poglą
dach filozoficznych, obyczajach, literaturze i sztuce, o struktu
rze społecznej — o całej „nadbudowie" — decydują stosunk
produkcji. Dalej twierdzi on, że rozwój kapitalizmu nieuchron
nie prowadzi do rewolucji komunistycznej. Jeśli więc wyciągni
się wnioski z tej doktryny, to należy oczekiwać, że partie ko
munistyczne, ściślej marksistowskie, winne być najsilniejsze i re
wolucja marksistowska powinna nastąpić najpierw w tych kra
jach, w których rozwój kapitalizmu jest najdalej posunięty
Zgodnie z tymi założeniami Marks, przebywając w ostatnic
latach swego życia w Londynie, oczekiwał w Anglii szybkieg
wybuchu rewolucji. Nic takiego nie nastąpiło, a ruch robotnicz
angielski oparł się na niemarksistowskich założeniach. Podobni
stało się w Ameryce. W czasach obecnych, po blisko 70 latac
od śmierci Marksa, sytuacja się nie zmieniła : wpływ tej dok
tryny i partii marksistowskich jest ciągle niewielki w obu tyc
krajach o najbardziej rozwiniętym kapitalizmie, zwłaszcza jeś
je porównamy dla przykładu z Francją czy Włochami. A prze
cież kapitalizm jest znacznie mniej rozwinięty we Francji cz
we Włoszech ! A jak tu według doktryny marksizmu wytłuma
czyć wpływ jego w Hiszpanii przed wojną domową ? Marksizm
nie może również wyjaśnić dlaczego ma większy wpływ na koł
intelektualne jak np. w Anglii a nie na robotników. Przecież we
dług tej doktryny powinno być odwrotnie.

Te wstępne uwagi prowadzą do tezy, że o treści i charakte
rze życia politycznego decydują procesy świadomości i wpły
idej. W pewnych dość ściśle dających się określić warunkac
ideowych i umysłowych, a nie na skutek takiego czy innego roz
woju gospodarczego, doktryna marksistowska, a w konsekwen
cji ruch polityczny marksistowski, uzyskują wpływ na społe
czeństwo. Jądro zagadnienia leży w świecie idej i myśli. Sto
sunki gospodarcze odgrywają rolę wtórną, jak wykazują podan
przykłady, wcale nie najważniejszą. (Stąd też błędna jest popu

larna na Zachodzie teza o możliwości powstrzymania komunizmu przez podniesienie dobrobytu).

Kilka miesięcy temu ukazała się doskonała, choć trudna w czytaniu praca J.L. Talmonda, prof. Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, pt. ,,Źródła totalitarnej demokracji''. Książka odbiła się dużym echem na Zachodzie, ale dotąd raczej tylko w recenzjach, a nie wywarła głębszego wpływu. W prasie polskiej przeszła, jak mi się wydaje, nie zauważona. Zasługuje w pełni na to, by ją obszernie omówić.

Tytuł książki może wywołać zdziwienie. Zwykliśmy przeciwstawiać demokrację totalitaryzmowi. Tymczasem Talmond łączy te dwa określenia, pisząc stale o totalitarnej demokracji w przeciwstawieniu do demokracji liberalnej. Będąc dyktaturą, opartą na entuzjazmie mas, jest demokracja totalitarna czymś nowym i różnym od znanego od wieków zjawiska króla lub tyrana, mającego absolutną władzę. Sądzi się potocznie, że totalitaryzm jest zjawiskiem świeżej daty, obcym tradycji politycznej europejskiej. Talmond zwalcza z dużym powodzeniem tę tezę. Dowodzi on, że demokracja totalitarna nie jest wcale czymś nowym i jest częścią tradycji politycznej Europy, bo źródła jej leżą w filozofii 18 wieku, a od czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej istnieje jako samodzielny prąd, o nieprzerwanej ciągłości. Marksizm choć najbardziej żywotny z totalitarno-demokratycznych idej jest tylko jednym z jej przejawów, które następowały jeden po drugim w ciągu ostatnich 150 lat.

W wieku 18 pogląd na świat uległ zasadniczej zmianie, zmianie rewolucyjnej — ludzie ówcześni doszli do wniosku, że warunki, w których świat żył od wieków, warunki stworzone przez wiarę, zwyczaj i tradycję, są nienaturalne i sprzeczne z rozumem, i muszą być zastąpione przez zaplanowane formy życia, które z istoty swej będą racjonalne, więc naturalne. Uwierzono, że historia jest ciągłym postępem w kierunku ostatecznego rozwiązania, które da odpowiedź na wszelkie dręczące ludzkość problemy — społeczeństwo dojdzie do szczytu i do końca swego rozwoju. Temu przekonaniu towarzyszyło głębokie przeświadczenie, że człowiek nieodparcie pchany jest do tego ostatecznego szczytowego punktu i że prędzej czy później musi do niego dojść.

Ta historyczna przemiana w poglądach ludzkich była skutkiem działania szeregu zasadniczych przyczyn. Religia w owym czasie straciła swój intelektualny i uczuciowy wpływ, który posiadała przez wieki; hierarchiczne instytucje feudalizmu uległy rozkładowi pod naciskiem czynników ekonomicznych i społecznych; pogląd na społeczeństwo jako oparte na stanach, zastąpiony został przez ideę jednostki — Człowieka, ujmowanego niezależnie od wszelkich powiązań i grup społecznych, Człowieka in abstracto.

,,...w epoce, w której wpływ tego postępu na opinię, opinii na narody lub ich przywódców, przestając być w jednej chwili powolnym i trudnym do spostrzeżenia, spowodował w masach

szeregu narodów rewolucję, wskazuje w ten sposób, że tak sama rewolucja musi objąć cały rodzaj ludzki. Po wielu pomył kach, po błądzeniu na manowcach mglistych lub niezupełnych teorii, publicyści doszli wreszcie do poznania prawdziwych praw człowieka, do wyprowadzenia ich z tej jednej podstawowe prawdy, że jest on istotą rozumną, zdolną do formułowania są dów i nabywania idej moralnych'' — pisze Condorcet, charak teryzując trafnie, choć niecałkowicie, istotę przemian, które na stąpiły.

Totalitarnej demokracji przeciwstawiona jest demokracja li beralna, uważająca politykę za dział praktycznego działania, w którym decyduje doświadczenie i tradycja. Systemy polityczne są według niej praktycznymi rezultatami ludzkiej pomysłowośc i spontaniczności; co więcej, demokracja liberalna uznaje, że istnieją działy indywidualnego i zbiorowego działania, które le żą poza obrębem polityki. Demokracja totalitarna nie zajmuje oczywiście tego stanowiska i nie uznaje, aby były dziedziny ży cia, leżące poza obrębem politycznego wartościowania. Pań stwo mogło kiedyś uważać : ,,oddajcie co jest cesarskiego Cesa rzowi, a co Boskiego Bogu''. Teraz użyteczność społeczna jest jedyną miarą wartości, a naród, pojęty jako zespół wszystkich czynnych w przeprowadzeniu rewolucji, jest jedyną formą, w któ rej jednostka winna działać.

Oba prądy wysuwają wolność jako wartość najwyższą, ale rozumieją wolność w zupełnie odmienny sposób. Demokracja li beralna za istotę wolności uważa spontaniczność i brak przymu su. Cele ostateczne pojęte są raczej negatywnie; uważa ona, że społeczeństwo na drodze doświadczenia może kiedyś osiągnąć stan idealnej harmonii. Demokracja totalitarna sądzi, że do wol ności można dojść jedynie przez zrealizowanie określonych form zbiorowego życia, zapewniających absolutną równość. Cnota jest przystosowanie swego życia do tych form. Cnota i wolność są identycznościami. W procesie dziejowym totalitarna demo kracja skrystalizowała się w doktrynę wybranych, którzy w imie zrealizowania ostatecznego szczęścia ludzkości na ziemi, uznal za słuszne i sprawiedliwe stosowanie przymusu wobec tych, któ rzy w ich rozumieniu nie chcą być cnotliwi, a więc wolni. De mokracja liberalna cofnęła się przed tego rodzaju konsekwen cjami.

Przełom poglądów w 18 wieku miał impuls etyczny i po lityczny; w dziedzinie ekonomii i własności niezależnie od naj bardziej radykalnych teoretycznych wniosków czołowi myślicie le wstrzymywali się od radykalnych postulatów praktycznych Stąd popularność od fizjokratów wziętej tezy, że wolna działal ność człowieka w dziedzinie gospodarczej, automatycznie dopro wadzi do harmonii społecznej. Ale nim wiek 18 dobiegł koń ca, wewnętrzna logika tej doktryny i wypadki historyczne do prowadziły do zasadniczej przemiany : porządek naturalny, ow ostateczne rozwiązanie, zaczął oznaczać nie tylko rewolucję po lityczną i moralną, lecz przede wszystkim społeczną. W tyn

miejscu rozchodzą się ostatecznie drogi demokracji liberalnej i totalitarnej.

Autor nazywa często demokrację totalitarną mesjanizmem politycznym, bo teza o nieuniknionym nadejściu ostatecznego porządku na ziemi, porządku oznaczającego rozwiązanie wszelkich problemów i udręk człowieka ma charakter mesjaniczny. Podkreśla jednak Talmond zasadniczą różnicę, która dzieli ten mesjanizm od mesjanizmu Platona, Tomasza Morusa czy Campanelli. Ich mesjanizm miał charakter religijny — cofał się na ogół, choć z wyjątkami jak kalwińska Genewa czy Muenster anabaptystów, przed użyciem siły, bo uważał, że ludzie są omylni i że życie na ziemi ma swoje dalsze przedłużenie po śmierci. Mesjanizm polityczny od 18 wieku sądzi, że wszystko winno i może być osiągnięte tu na ziemi i to w niedługim czasie.

Autor rozróżnia totalitaryzm lewicy i totalitaryzm prawicy, choć praktyczne rezultaty obu tych odłamów uważa za omal identyczne. Totalitaryzm lewicy ma za punkt wyjścia człowieka i jego rozum, a nawet, stawiając klasę czy partię jako cel absolutny, nie traci swego indywidualistycznego i racjonalistycznego charakteru, bo partia czy klasa jest jedynie mechanicznym zgrupowaniem jednostek. Stąd też totalitarne ideologie lewicy mają charakter uniwersalny, zwracając się do ludzi bez różnicy narodowości czy rasy. Totalitaryzm prawicy wychodzi ze zbiorowej jedności — państwa, narodu czy rasy; stąd też cel jego jest zawsze ściśle ograniczony do pewnej grupy i nie pretenduje on do uniwersalizmu. (Faszyzm nie jest artykułem na eksport — mówił Mussolini).

Drugą cechą rozróżniającą oba te odłamy jest odmienne podejście do człowieka : totalitaryzm lewicy uważa naturę ludzką za dobrą w swej istocie i zdolną do osiągnięcia doskonałości; totalitaryzm prawicy uważa człowieka za słabego i zepsutego. Dlatego też autor czuje się usprawiedliwiony w przyznaniu totalitaryzmowi lewicy charakteru demokratycznego, a natomiast nie daje tego określenia totalitaryzmowi prawicy.

Pierwsze rozróżnienie uważam za słuszne; sądzę jednak, że nie ma różnicy w poglądzie na naturę ludzką obu odłamów — Hitler nie wątpił, że natura aryjczyka jest najlepsza i zdolna do stania się doskonałą. Dlatego też jeśli dodawać przymiotnik demokratyczny, to dodawać do obu odłamów. Ale czy dodawać? Czy w ten sposób nie rzucamy plamy na demokrację i nie doprowadzamy do pomieszania pojęć? Przymiotnik ten razić będzie na pewno wielu i mnie samego początkowo raził. Podkreśla on jednak ścisłą łączność doktryn totalitarnych z ideologią demokratyczną, wobec której są one odwrotną stroną medalu. Odcina on totalitaryzm od dawnego absolutyzmu, z którym błędnie się go łączy i wskazuje na jego zasadniczą cechę charakterystyczną, na opieranie się na masach, a przynajmniej na rozentuzjazmowanej elicie — partii czy klasie.

Zygmunt STERMIŃSKI

W obronie fikcji

Zbiór opowiadań p. Danilewiczowej *) bynajmniej nie przy
padkowo pojawił się na półkach księgarskich i bibliotecznych
Autorka — długoletnia bibliotekarka, zżyta z czytelnikiem emi
gracyjnym jak mało kto — pisząc swą książkę podjęła coś w ro
dzaju zamówienia społecznego. Wiedziała jakie książki emigra
cyjny czytelnik odrzuca, jakich mu brak i na łamach czasopism
i w rozmowach prywatnych przyznaje się, że napisała taką wła
śnie książkę, o jaką od dawna dopominali się czytelnicy jej bi
blioteki.

Książkę tę krytyka emigracyjna przyjęła bardzo serdeczni
— ludzie po prostu cieszą się, że napisano taki ,,dobry, auten
tyczny zbiór opowiadań'', przenoszący nas w niedaleką przesz
łość. ,,Jak to dobrze'' — westchnął jeden z recenzentów — ,,ż
to nie jeszcze jedna książka o okropnościach wojny''.

W jedynej wydanej w kraju książce, o której mogę powie
dzieć, że jest naprawdę urocza — w ,,Córeczce'' Żukrowskieg
— czytamy następujące słowa, wygłoszone do pisarza : ,,Napis
pan coś zwyczajnego, ludzkiego : jak ptak śpiewa, jak się dzie
ci chowają, jak się baba cieszy, że mężowi jedzenie smakuje p
robocie. Albo jak się piele w ogródku. Teraz maj, ziemia ja
puch... Ziele pachnie... a ludzie dożywają swego życia... Tak
książkę każdy, stary, czy młody przeczyta i pochwali''.

Więc zamówienie społeczne takie same. Zamówienie spo
łeczne ludzi zmęczonych tym wszystkim, co się nad nimi prze
waliło i jeszcze przewala. Czytelnik pragnie książki ,,ludzkiej
zwyczajnej'' o tym, jak ptak śpiewa, jak się dzieci chowa, a lu
dzie dożywają swego życia.

Czytelnikowi książka ma przynieść chwilę ulgi i wypoczyn
ku — i takie staje się zadanie literatury pięknej.

W numerze trzecim ,,Nowej Książki'' zwierza się p. Mari
Danilewiczowa czytelnikom. Otóż jeden z jej rozmówców mia
do niej szczery i głęboki żal o fałszerstwo, gdy dowiedział się
że — o zgrozo — pisała w pierwszej osobie wspomnienia o oso
bie fikcyjnej, o ,,Jantolkowej'', która jest postacią syntetyczną
zlepkiem wspomnień autorki o ,,babokach'' kujawskich. Ni
obchodziło go to, że prawda fikcji literackiej jest silniejsza i głęb
sza niż prawda wspomnieniowego reportażu i że fikcyjna Jantol
kowa żyje własnym, bardzo mocnym życiem, na pewno lepie
streszczając w sobie typ kujawskiej babiny, niż inne, może do
kładniej z rzeczywistości kopiowane postacie. Inny czytelni
odetchnął z ulgą, gdy stwierdził, że autorka naprawdę pochodz

*) Maria Danilewiczowa, *Blisko i daleko* (opowiadania), Londyn, 195
Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego ,,Veritas''.

z Aleksandrowa, że mają wspólnych znajomych, ,,że mu to wszystko pasuje'' i że ,,nie ma w tym bujdy''.

,,Wszystko sprowadza się do jednego'' — konkluduje p. Danilewiczowa — ,,do głodu autentyzmu, prawdy o przeszłości, prawdy o teraźniejszości, strachu przed zawodem, przed wprowadzeniem w błąd...''

A więc dla czytelnika dzisiejszego przestaje być ważna prawda fikcji, świat wyobraźni pisarskiej, autonomiczne życie utworu? Warto zamyślić się i zastanowić chwilę nad tymi postulatami... Warto zastanowić się, choćby dlatego, że urzędowi krytycy literaccy zza żelaznej kurtyny omawiając wartość dzieła literackiego badają starannie kryteria ,,wierności odtworzenia'' obok ,,kryteriów polityczno-społecznych dzieła'' i usuwają na dużo dalszy plan tzw. ,,kryteria natury estetycznej''.



Książka p. Marii Danilewiczowej ma dużo prawdy wewnętrznej. Ludzie, którzy przesuwają się przed naszymi oczami naprawdę żyją — czy to będzie Jantolkowa, czy Grochot, czy miłośniczka starych kolęd panna Domańska, czy kapitalny wprost wuj-filolog, Ludwik. Każdą z tych postaci można spotkać w życiu, dziś czy jutro — i w rozmowie z nią — tak jak na kartach książki — podpatrzeć jakąś własną, niby małą, a naprawdę dużą prawdę każdej z nich.

Najlepsze wydają mi się w książce Danilewiczowej opowiadania tematycznie związane z Kujawami. Są plastyczne i wyraziste — wyraziście występuje w nich krajobraz kujawski, w którym georginie i astry oznaczają kres lata, a zimę zwiastuje srebrna szadź na okaleczałych kikutach słoneczników.

Prawie równocześnie pojawiła się na półkach bibliotecznych książka napisana w kraju, której akcja rozgrywa się również na tle Kujaw, we Włocławku. Mam na myśli ,,Pamiątkę z Celulozy'' Igora Newerlego *) — powieść, nad którą nie sposób przejść do porządku dziennego bez względu na to, czy wyznaczy się jej — jak to robi krytyka krajowa — miejsce obok ,,Lalki'' i ,,Przedwiośnia'', wśród największych powieści polskich, czy tylko uzna się ją za bardzo dobrą książkę o dużym zacięciu epickim, szczerej pasji, przebijającej z każdej strony i — co niezwykłe w schematycznej i dość nieciekawej literaturze socrelistycznej — naprawdę tętniącej szczerą miłością człowieka.

Nie jest moim zamiarem porównywanie zbioru opowiadań Marii Danilewiczowej z powieścią Newerlego. Zestawienie to nasunęło mi się jednak, gdy czytałam o ,,głodzie autentyzmu'', prawdy o przeszłości, o strachu przed wprowadzeniem w błąd''. Powiedziałam już, że wizja Kujaw w opowiadaniach p. Danilewicz robi wrażenie czegoś bardzo prawdziwego. Wizja ta jest raczej pogodna — rozsłoneczniona jakimś wewnętrznym uśmie-

*) Igor Newerly. *Pamiątka z celulozy.* Warszawa, ,,Czytelnik'', 1952, str. 518.

chem autorki, spokojna i bardzo jasna. To wizja jakiegoś wie kiego szczęścia, które minęło, świata, w którym każda rzec jest ważna, w której poczesne miejsce zajmuje choćby gąska — młoda, smakowita, prosto z koszyka Sobczakowej, pieczona z ma jerankiem i winkowatymi jabłkami w oliwkowych skórkach, cz też idealna poduszka, wypchana pierzem z tych młodych gę z jeziora Służewskiego. Ludzie żyją sobie spokojnie od odpust do jarmarku i choć chłopi biedują na piaskowych górkach na Wisłą, a dzieciaki od maleńkości przyucza się do pracy, nikt s temu zbytnio nie dziwi — widać od lat każdy wie, że do Po pielca jakoś tam idzie, a post już w jedno się łączy z przednów kiem. Za to w Boże Ciało małorolny Grochot niesie w proces chorągiew ze Świętym Florianem i maluje ich sam pan Noakow ski.

A wizja wsi kujawskiej w powieści Newerlego? Czyżby ty ko talent autora sprawił, że „warstwa przedmiotów przedsta wionych" — by użyć terminologii prof. R. Ingardena — ta bardzo wydaje się autentyczna? Czyżby tylko prawda fikcji lite rackiej narzucała nam mocną wizję wsi, gdzie żywi, w strasz nym ścisku duszą się w małej dolince, chata nad chatką, obor przy oborze, „kupą bezładną i zbitą — bedłki jakieś, czy opień ki". W tej wsi „dziadostwo" z zamożniejszym chłopem ma tyl ko cmentarz wspólny, a biedakowi nawet w lesie wolno zbiera tylko mech i posusz; w tej wsi bieda jest straszną hańbą; w te wsi nic się nie dzieje: „woda stojąca, rzęsą pokryta; kaczeńc kiwają się sennie, ropuchy rechoczą i nic, tylko głód", chyba, ż się jarzyn ukradnie ciemniejszą nocą z ogrodów — jeśli się nie ma kurzej ślepoty, wywołanej straszną, przewlekłą awitaminozą. W mieście Włocławku fabryka „Celuloza", spryskana blaskiem wschodzącego słońca, drżąca w odbiciu wiślanym, wydaje si piękną, zwiewną i upragnioną złudą. Na jej podwórzu leżą wy nędzniali ludzie ze wsi i miasta, bezrobotni czekając aż ich wy najmą do pchania wózków lub strugania obałków na placu. „Ży wot słoneczny — mówi autor — ze słonkiem nadziej na pracę się budzi i ze słonkiem gaśnie". W pa mięć czytelnika wbijają się „arki" na przedmieściu — jamy dłu gości trzech metrów, w których mieszkają bezdomni, „Żab skrzek" zatruwający okolicę wyziewami, brudne, rachityczn dzieci. Chłop kujawski, ojciec bohatera książki, który, zagnan nędzą, przywędrował do miasta, nie nadawałby się na model dla pana Noakowskiego: „skóra i kości; szyja cieniutka, ręc dziecięce, do łokci tylko ciesielskie, żylaste; łysy i drobny — niemowlątko z wąsami, można powiedzieć, tak bardzo wyschnię ty".

Która z dwóch prawd jest prawdą o przeszłości?

„Dobrze tym, którzy dzisiaj nie dożyli" — mówi na za kończenie swej książki pani Danilewiczowa. Tam, wtedy, jak inaczej było. Nieszczęścia, smutki, katastrofy związane są w j wspomnieniach z wojną, z wielką klęską żywiołową ludzkośc Z pierwszą wojną światową, gdy na cmentarz kujawskiego mia teczka wynoszono z gruźliczych domów liczne trumienki, gdy na

ciągały liczne ,,epidemie, choróbska ordynarne... tyfus plamisty, dezynteria, świerzb...'' Z drugą wojną światową, rozpoczętą bombami niemieckimi, które spadły na pogodne i spokojne targowisko, gdzie dzielny koń Szpak przyciągnął ,,kolorowy ładunek buraków, marchwi, pomidorów''. Wtedy zaczęto wywozić ludzi w niepowrotne nieznane, wtedy mały Staszek zmarł na tyfus pod okupacją sowiecką, a inne dzieci ,,na złych manowcach poznawały przedwcześnie twarde prawdy życia''. Dzieci Piotra i innych Polaków wyrwanych z kraju były wówczas ,,wychudłe, obdarte, o twarzach smutnych, nad wiek doświadczonych''. Znały głód, nędzę i niewolę, były ,,straszliwie pokrzywdzonymi stworzeniami''. To przyniosła bezbronnym wojna.

Jest w książce Newerlego, obrazującej spokojne, przedwojenne czasy, jeden obraz, od którego ostrej wizji długo nie mogłam się uwolnić. To obraz ,,jaszczurek'' na Grzywnie. Trudno zorientować się nawet — dzieci, czy zwierzaki o rozdętych głowach, ,,przebierające uparcie kruchymi pałąkami rączyn, pełzną wlokąc na kształt ogona nogi miękkawe, bezwładne, nogi, które są tylko zawadą, brużdżą piasek ciągnioną z tyłu koleiną''. ,,Cóż ja na to poradzę — mówi Szczęsny, bohater powieści — taka plaga u nas, na Grzywnie : paraliż dziecięcy. Zbijają się do kupy i same jakoś sobie radzą...'' Dzieciaki, potworki nędznego przedmieścia radzą sobie rzeczywiście : ,,grzane przez słońce, nie bite, nie ruszane, skamieniałe w szczęśliwości płazowej... jaszczurki''.

Gdzież więc jest ten autentyzm, o który tak się doprasza dzisiejszy czytelnik, gdzie jest ta prawda o przeszłości ? W jednej, czy w drugiej książce ? W opowiadaniach o pogodnych Kujawach przeszłości, czy w powieści, która tę przeszłość na tychże Kujawach przedstawia w najczarniejszych i najsmutniejszych barwach ?

Myślę, że autentyczna jest i jedna, i druga książka. W mieście, w którym spędziłam dzieciństwo i w tym drugim, gdzie dorastałam, było również takie, jak w książce Newerlego, ,,Wesołe miasteczko''. Ale wnętrze tego ,,Wesołego miasteczka'' było dla mnie, dla moich sióstr, koleżanek, — nieznane i egzotyczne niby wnętrze australijskiego buszu. Obok paraliżu dziecięcego i nędzy ,,Wesołego miasteczka'' płynęło moje jasne, słoneczne dzieciństwo na Antokolskiej, czy Ostroroga — i trzeba było wojny, rozbicia domu rodzinnego, utraty bliskich, by wszystko na świecie przewróciło się do góry nogami. Dopiero nocując na Wolskiej, Wroniej, czy w ciasnocie Targówka można było poznać jak część ludności żyje i jak żyła przed wojną. Nie mówmy więc za dużo o autentyzmie. Każdy ,,autentyczny'' obraz to tylko *parva pars pro toto* i dopiero dopełniony przez kontrast może dać syntezę, zbliżoną do prawdy rzeczy. Ale nie w tym sprawa. I nie to jest, nie to powinno być najważniejsze dla wrażliwego czytelnika. Ważna jest wewnętrzna prawda książki — przekonywująca prawda fikcji i prawda o człowieku prawdziwym, a jednocześnie niepowtarzalnym — obojętnie, czy będzie nim pokrzywiony i wyschnięty na szczapę zdun z ,,Pamiątki z Celulozy'', czy smakosz życia i folkloru — wuj-filolog pani Dani-

lewiczowej, czy — właśnie fikcyjna — a najbardziej prawdziw
Jantolkowa. To tylko może zbliżyć i stać się wspólnym prob
rzem dla dwóch tak różnych książek. Książek, które tylko
chyba łączy, że gdziekolwiek się bohater opowiadania z „Blis
i daleko" znajdzie — „zaraz ustala jak najdokładniej kierun
imaginacyjnej linii, łączącej chwilowy przystanek z czymś trw
łym", z rodzinnym miejscem w ojczyźnie. Szczęsny Newerle
wie, „że gdyby go nagle zrzucono z bezmiernej wysokości, p
znałby rzekę rodzinną po zapachu, bo tak tylko Wisła pachni
Poznałby po jednostajnie niskim dźwięku, jakim powietrze p
suje na dalekich kujawskich roztoczach, jakby coś — półcz
wiek, półzwierzę — cierpiało, kochało bardzo ludzko mając
to wciąż tę jedną biedną nutę : hu-hu — hu..."



Jeszcze jeden aspekt książki p. Danilewiczowej nasuwa c
kawe refleksje. Niewiele jest książek polskich w dwudziesty
stuleciu, które z całą życzliwą ciekawością opisują życie mie
czaństwa i to prowincjonalnego. Pisarze tzw. „dwudziestoleci
kontynuując w tym tradycję Młodej Polski wykazywali tylko ja
wość, beznadziejność, pruderię i zakłamanie środowisk mie
czańskich i drobnomieszczańskich. „Straszny mieszczanin" s
się niemal symbolem środowiska w którym wśród zakurzony
fikusów i pluszowych kanap paczy się i rozkłada osobowo
ludzka. Od czasów nieśmiertelnej Dulskiej i Tuśki Zapolskiej
do powieści Uniłowskiego atmosfera mieszczańskiego domu s
nowi w literaturze polskiej idealną pożywkę, na której hodu
się bakcyle kompleksów, urazów i chorób psychicznych zgorz
niałych i nieciekawych ludzi.

Atmosfera domów mieszczańskich w książce Danilewiczow
jest diametralnie inna.

W opowiadaniach swoich Danilewiczowa kreśli nam w
raźnie postaci ludzi pozytywnych, z których każdy zajmuje
czy inną — dużą czy też maleńką placówkę i na niej w mi
sił i możliwości pracuje. Opowiadania Danilewiczowej to ksi
ka, która z sympatią opisuje ludzi spokojnych, zacnych i pr
zwoitych. Serdeczne przyjęcie książki przez czytelników nasu
i pod tym względem sporo refleksji. Nie wszyscy już bowi
ufają przeciętnemu zacnemu człowiekowi, który wobec stras
wych kataklizmów, jakie miotały i miotają światem, stoi zł
bezradny i bezbronny. „Nie chcę znać zacnych ludzi" — potr
powiedzieć bohater ostatniej książki Janusza Jasieńczyka
„Przyzwoici ludzie nie zwalczą komunizmu, nie wyrwą jego k
rzeni... Na to, psiakrew, trzeba pasji, trzeba odwagi, trzeba wi
kiej wzgardy dla wszelkiego wyzysku, trzeba wielkiej miłości
go bliźniego, który właśnie nie jest przyzwoitym człowiekiem
Ciekawe byłoby prześledzić liczne postaci nowoczesnych Ju
mów, którym kataklizm dziejowy narzucił inne cele, niż s
kojne życie w gronie przyzwoitych ludzi, postaci, błąkające

na kartach książek — pisanych obecnie, polskich, a także nie polskich...

Pod względem faktury pisarskiej książka Danilewiczowej nie nawiązuje do literatury dwudziestolecia. Zbliża się raczej do polskich realistów z okresu pozytywizmu. Ani śladu deformacji w jej opowiadaniach, jest natomiast umiejętne operowanie szczegółem, który często — jako artystyczne *pars pro toto* wybija się na plan pierwszy w obrazie. W tej prozie nie ma metafor poetyckich, a mimo to świat przedstawiony silnie narzuca się czytelnikowi dzięki niemałemu kunsztowi plastycznego przedstawienia ludzi i rzeczy, głównie od strony wrażeń wzrokowych.

Proza Danilewiczowej to proza wysokiej klasy — spokojna, potoczysta o doskonale skonstruowanych zdaniach i dobrych rytmicznych okresach. Na tle niepokalanej literatury polszczyzny autorki świetnie wychodzą fragmenty gwarowe z pochylonymi samogłoskami i nasalizowanym ,,y'' i ,,u'', gdzie mamy ,,piniundze'' i ,,gałunzki'' i ,,świot'' i ,,cuś'' i ,,cztyrdzieści''. Rozkoszować się można taką prozą. Podkreśla ona wewnętrzną prawdę opowiadań, wydobywa dobry materiał literacki książki.

Zbiór opowiadań Marii Danilewiczowej stanowi najmocniejszą dotychczas pozycję ,,Biblioteki Polskiej''. Wydawnictwo to nie ma raczej szczęścia do starszych, rutynowanych pisarzy, dało natomiast dobry debiut. Jego siła polega nie na ,,autentyzmie'' — przed którym chcę bronić autorkę nawet wbrew jej samej. ,,Blisko i daleko'' to czyn artystyczny, to nie reportaż, lecz dzieło fikcji, sięgającej w głąb rzeczywistości środkami sztuki.

Książka wydana jest starannie. Szkoda tylko, że jej obwoluta nie przynosi nic interesującego ani w kolorze, ani w rysunku. Niestety, poza paroma pracami Zygmunta Turkiewicza nie widziałam ani jednej ciekawej okładki emigracyjnej książki.

Olga ŻEROMSKA

Pogrążeni w przeszłości

Trudno, trudno pisać o poezji. Jeśli piękna, prawimy komplementy, zachwycamy się urodą, w uniesieniu a bez zastanowienia sypiemy superlatywami, jak przy wyznaniach miłosnych. Jeśli brzydka — cierpko, dyskretnie milczymy. Mówienie o niej w tonie rzeczowym drażni i budzi niesmak. Z poczuciem winy więc, ze świadomością wykroczenia przeciw dobrym manierom, przystępuję do skreślenia paru prozaicznych słów o poezji Balińskiego, Lechonia, Łobodowskiego i Wierzyńskiego. Nie będzie to krytyką literacką, chciałbym tylko postawić dwa pyta-

nia, jakie nasunęła mi lektura antologii Dr St. Lama *). Ogr niczając się do poezji powstałej na emigracji, muszę niestety p minąć tutaj Józefa Wittlina, który w antologii przedstaw głównie wiersze przedwojenne.

Największa będzie bieda z tym ,,rzeczowym tonem''. Jak s dostroić na przykład do utworów Stanisława Balińskiego? Na chętniej stanąłbym przed jego Poezją, z galanterią ucałował ko cè paluszków i powiedział: ,,Piękna Pani! Już tyle wieczoró pozwoliłaś mi spędzić przy Tobie, dotąd w milczeniu wpatryw łem się w Twą anielską urodę, czy nie nadużyję Twej dobro jeśli zadam dziś kilka pytań? Czemu to, ile razy odwiedzam C w tym salonie, umykasz w ramki staroświeckiej miniaturki i stan tąd, z daleka, z oddawna spoglądasz na mnie i na mój świat Czemu przyjmujesz mnie w sukni Twej prababki, czemu wbre tegorocznej modzie przewiązujesz loki różową wstążką i ro puszczasz na łabędzią szyję? Czemu na pytanie ,,Gdzie jeste my?'' odpowiedziałaś melancholijnie ,,W Krzemieńcu'', na p tanie ,,Kiedy?'' odrzekłaś ,,Temu lata''? Dlaczego, kiedy prz prowadziłem ze sobą panów Sartre'a i Koestlera, kazałaś p wiedzieć pannie służącej, że cierpisz na migrenę? Czemu, Pię na Pani, udawałaś, że nie wiesz, co to znaczy ,,dipis'', i dopie kiedy powiedziałem ,,wygnaniec'', ocknęłaś się, przypominaj sobie, że to ,,słowo istniało w powieściach, w historii, w sztan buchu''? Jeśli zadaję pytania nazbyt niedyskretne, wierz mi, podyktowała je nie pusta ciekawość lecz przyjaźń, i zaklinan nie zapominaj, że jestem Twoim od lat wiernym adoratorem I gdybyś nie miała ochoty odpowiadać, nie wezmę Ci tego złe, obiecam, że do tych pytań nigdy nie powrócę, poproszę tylk byś siadła przy klawecynie i jeszcze raz zaśpiewała barkaro ,,o różach budzących się w krynolinach z luny''.

Podobne deklaracje, acz każdą w odmiennym stylu, zł żyłbym Lutni Jana Lechonia, Bylinie Józefa Łobodowskieg Muzie Kazimierza Wierzyńskiego. Mówiąc nieszczęsnym tone rzeczowym, uważam, że każdy z nich posiada swą wyraźnie z rysowaną indywidualność, ale wszyscy czterej zapatrzeni w przeszłość. Więcej: patrząc w przeszłość, patrzą oczym przeszłości. I więcej: spoglądając na wypadki bieżące, patr na nie również oczyma przeszłości. Więcej jeszcze: to zanurz nie się w przeszłości jest jeśli nie całkowicie, to w dużej mier świadome.

Najpiękniejsze wiersze Stanisława Balińskiego poświęco są cieniom świata minionego. Poeta ma tyle taktu i delikatn ści, że nie budzi ich ze snu, nie wywołuje z królestwa Hades lecz sam przeprawia się przez Styks. ,,Pieśni kochanków'' już sam tytuł wiersza jest mu łodzią ku tym, dla których ,,k

---

*) ,,Najwybitniejsi poeci emigracji współczesnej'' (Baliński, Lech Łobodowski, Wierzyński, Wittlin) antologia, wydał i wstępem opatr Dr St. Lam. Portrety według rysunków Stefana Mrożewskiego i Esteb Sanza. Okładka według projektu M. Lurczyńskiego. Księgarnia Pols w Paryżu, 123, Bd Saint-Germain.

chankowie'' oznaczali tylko ,,zakochanych''. Stanąwszy zaś na drugim brzegu, poeta zapomina o nas, pozostawionych na lądzie dwudziestego wieku, zapomina o naszym zblazowanym języku i z najbardziej niefrasobliwą swobodą używa takich byronowskich wyrażeń jak ,,cisza pełna czaru'', rzuca takie obrazy jak ,,odbicie księżyca w umarłym jeziorze''. Czasem obejrzy się za siebie — przepraszam, chyba przed siebie — ale i do utworów o tematach współczesnych przeszczepia wizje i słownictwo pozastyksowe. W wierszu ,,Fermé jusqu'à la victoire'' pisze, że mu te francuskie słowa ,,melodią wracają w snach''. W wierszu lirycznym, osobistym ,,Na oceanie atlantyckim'' przemawia do ,,gwiazdy na ciemnym niebie'', czekając ,,na zaklęcie, na znak, którego oprócz nas nikt nie usłyszy''. Wiersz pt. ,,Wizja ghetta'' rozpoczyna od słów ,,Dokądże mnie prowadzisz, tragiczny poeto...'' Zakochany w przeszłości, zatraca się w niej, utożsamia z jej duchami, ze świata aktualnego godzi się przenieść do swej twórczości tyle tylko, na ile mu pozwalają środki poezji dawnej.

Jan Lechoń daje nam galerię portretów historycznych : Jana Kazimierza, Rejtana, Mickiewicza, Krasińskiego, Kniaźnina. Zacytuję najpierw własne wyznanie poety :

,,Wszystkie słowa podniosłe, któreś znał ze szkoły,
Muzyka starych pieśni, wolności anioły,
Książę Józef na koniu, wiszący nad biurkiem
I olbrzymi Batory w małej czapce z piórkiem
I młodzieniec z Grottgera, co żegna swą miłą,
Pocztówka z Białym Orłem — wszystko to ożyło!''

Inaczej mówiąc, Lechoń nie portretuje z modela czy z wyobraźni, lecz rozmyślnie kopiuje pocztówki, śliczne pocztówki malowane przez Kossaka, pisane przez Or-Ota, troszcząc się nade wszystko o to, by nie skazić ich stylu najmniejszym rysem nowoczesności. Oryginalność Lechonia to wyrzeczenie się oryginalności, to zupełne oddanie się sztuce naśladownictwa, złożenie swej osobowości na ołtarzu czasu minionego. Artystą będąc z bożej łaski, potrafił w niejednym wierszu przewyższyć swych mistrzów, ale kiedy przyszło mu sportretować postać współczesną, Stefana Starzyńskiego, użył tych samych sielankowych barw, tych samych podniosłych słów, które znał ze szkoły. Ubrązowiony tym dobrodusznym pędzlem, nawet Boy-Żeleński wszedł w poczet narodowych świętych! Lechoń pogrążył się w dawności tak dalece, iż czasem odnosi się wrażenie, że w ogóle nie zna słów, które istnieją dziś a które nie istniały pięćdziesiąt czy sto lat temu. Trzeba się domyśleć, że jego wiersz ,,Pożegnanie Marsylianki'' dotyczy klęski Francji z czerwca 1940 roku, bo również dobrze a nawet prędzej odnieść by go można do zajęcia Paryża przez wojska koalicyjne po upadku Napoleona. Jednym z niezwykle rzadkich terminów nowoczesnych, jakie da się wykryć w twórczości Lechonia, jest słowo ,,kaloryfer'',

ale poeta nie poniża się do rzucenia choćby jednego spojrzen na ten aparat nieznany za czasów Andriolliego, a tylko no słyszy w nim ,,cudny harfy dźwięk'', czytaj : kapanie wody. N od rzeczy będzie dodać, że Lechoń jest zapewne ostatnim d poetą nieużywającym asonansów, a pierwszym umiejącym n prawdę posługiwać się rymem.

Uroki dawności zniewalają również rogatą, niepodległą c szę Józefa Łobodowskiego. Raz po raz odzywa się w nim żył historiozofa, a wtedy dosiada swego kozackiego pegaza i ga puje na przełaj po latach i wiekach, trzymając go jednak moc w cuglach erudycji. Z rytmu wiersza, z temperatury słów p znać, że te wyprawy sprawiają mu rozkosz nieomal zmysłow i chociaż do startu rzucają go sprawy aktualne, nie pomylę s chyba, jeśli przeszłość nazwę kochanką poety, a teraźniejszo — biedną, co noc zdradzaną małżonką. Za wymowny przykł posłużyć może wiersz ,,Do dyktatora rzymskiego'' ze zbior ,,Modlitwa na wojnę''. Pierwsza, dłuższa część to poetycko uję dzieje węzłów polsko-włoskich od Zamojskiego po Frances Nullo, dumne zrównanie się wolnego Polaka z rzymskim patı cjuszem, plastyczne pejzaże Toskanii i nadwiślańskich miast ı nesansowych, a potem, w części drugiej, groźby i gniew, a na co — trudno odgadnąć z niejasnych, skąpych aluzji. Dopie komentarz prozą zamieszczony na końcu zbiorku objaśnia cz telnika, że chodzi o protest przeciwko nadaniu Frankowi tytu doktora honoris causa przez uniwersytet w Modenie. Nie ule wątpliwości, że wiersz powstał na skutek tego wydarzenia wsp czesnego i jemu miał być poświęcony, ale koniec końców poe wyznaczył mu rolę wstydliwego pretekstu do roztoczenia pys nych fresków dobytych ze skarbca przeszłości.

Nieuznający grobel czasu, nieokiełznany nurt poezji Łob dowskiego bodaj tylko jeden raz zespolił się na dłużej z woda teraźniejszości, a stało się to podczas klęski wrześniowej, kie i teraźniejszość rwała przez kraj groźną powodzią. Z zaślub tych dwóch żywiołów narodził się zbiór poematów chmurny i piekących ,,Z dymem pożarów''. Poeta wielekroć razy pr nosi wzrok z pożóg wrześniowych ku przeszłości, ale nie odda się od nich i rozmawiając z historią, rozmawia tylko o wrześni W innych wierszach, które znamy z ,,Kultury'' i ,,Wiadomośc (brak wydań książkowych wyrządza wielką krzywdę Łobodo skiemu i jego czytelnikom) dygresje historyczne górują na og nad motywami chwili bieżącej, nie mówiąc już o takich utw rach, jak ,,Gazele i Kasydy'', które w całym swym zamyśle st nowią nawrót do tradycji.

Pewną równowagę między ,,dawnymi a nowymi laty'' z pewniają w twórczości Łobodowskiego urzekające swym arty mem opisy przyrody. Natura to element ponadczasowy : tak s mo kląskają słowiki dziś jak za czasów Jagiełły, tak samo w rach nadsłuczańskich pachną czeremchy teraz jak za życ Chmielnickiego. Ale i w tych opisach poeta odgradza się od n lotów nowoczesności, po polach i lasach wędruje jak po reze

wacie, jego chłopi piją nie czystą wyborową czy bimber lecz gorzałkę, na jego żniwach lokomobila nie zagłusza pieśni dziewuch, na jego gościńcach wysadzanych topolami nie ustawiono jeszcze słupów telegraficznych. Nigdy też nie zajrzy do miasta, jakby nie chciał pogodzić się z myślą, że nasza epoka zdegradowała bezlitośnie wieś, całą władzę nad światem oddając w ręce wielkich stolic. Wreszcie o dawności wszystkich utworów Łobodowskiego bez względu na temat decyduje jego język. Jest to mowa przemyślnie stylizowana i często archaizowana; swą składnią, rytmem i słownictwem bliższa prozy poetyckiej Żeromskiego, niż naszej mowy potocznej.

Na pozór by się wydawało, że emigracyjna twórczość Kazimierza Wierzyńskiego od ,,Barbakanu warszawskiego'' po ,,Krzyże i miecze'' zasługiwać powinna na miano współczesnej, skoro za temat wzięła wojenne i powojenne dzieje narodu. Ale podążając z biegiem czasu, Wierzyński nie nadąża za duchem czasu. W swych wierszach operuje ,,testamentem ideowym'' dawnych wieszczów, przejmując z niego tę część, która najsilniejsze nosi piętno retoryki, dziś raczej irytującej, niż przekonywującej. Dopiero ostatnio, w ,,Korcu maku'' oderwał się od przeszłości, zmierzając zresztą nie ku światu teraźniejszemu, lecz na pustelnię.

Powracam do mych pytań : jakie są przyczyny tego pogrążenia się czterech poetów w przeszłości ? dla jakich powodów odwracają twarz od spraw dnia dzisiejszego ?

Nie dlatego stawiam te pytania, bym był wrogiem tradycji lub adoratorem wieku dwudziestego, i nie dlatego, bym miał przyznawać poezji modernistycznej automatyczną przewagę nad poezją klasyczną. Uważam tylko, że zapatrzenie się naszych czterech poetów w przeszłość przybrało rozmiary dotąd rzadko spotykane i jako zjawisko odbiegające od pewnej normy wymaga wyjaśnienia. Przypomnijmy sobie, że takie arcydzieła jak ,,Dziady'', ,,Kordian'' i ,,Wesele'' powstały na kanwie wypadków współczesnych, w duchu i języku epoki. Przypomnijmy, że utwory o tematach historycznych, jak ,,Konrad Wallenrod'' i ,,Noc listopadowa'' były dziełami ludzi, którzy wprawdzie spoglądali w przeszłość, ale z punktu widzenia swego czasu, i daty powstania ,,Cyda'' czy ,,Balladyny'' nie sposób przesunąć ani o pięćdziesiąt lat wprzód, ani o pięćdziesiąt lat wstecz. Przypomnijmy, że Lafontaine, zapożyczając problematykę i intrygi swych bajek aż od Ezopa i Fedry, związał je jednak nierozerwalnie z francuskim wiekiem XVII. Natomiast trudno znaleźć w historii pisarza większej miary, który pisząc o swoim czasie przybierałby umysłowość i styl epoki poprzedniej.

Za moimi pytaniami nie kryje się ani zarzut, ani chęć udzielania rady, ani ambicja wpływania na przyszłą twórczość czterech poetów. Przeciwnie, obawiam się, że ponieślibyśmy nieodżałowaną szkodę, gdyby Łobodowski wymienił swą purpurową, żywiczną prozę na chudy język dziennikarski, albo gdyby

Baliński pożegnał Maryle i Ludwiki a zaczął pisać wiersze o p up-girlsach.

Na moje pytania odpowiedzieć nie umiem i nie śmiem, n chętniej zwróciłbym się z nimi do samych poetów, spróbuję j nak wysunąć pewną hipotezę.

Wydaje mi się, że wojna wyjaśnia wiele, ale nie wyjaś wszystkiego. Przybranie postawy obronnej, zamknięcie się twierdzy wspomnień i ewokacji historycznych było niewątpli naturalną, aż nadto zrozumiałą reakcją na ciosy porażek wojsk wych i politycznych. Sięgnięcie w przeszłość po afirmację pr do niepodległości było także instynktowym odruchem, które nie mógł uniknąć naród zagrożony zagładą. Idąc za tym głose poeci złożyli piękny dowód zespolenia ze społeczeństwem. C mu jednak zatrzymali się w połowie drogi, gdy inni przecho już do kontrofensywy, czemu nie towarzyszą narodowi w pr nad rozsupływaniem problemów współczesności, czemu nie puszczają do swych utworów trosk ogółu o przyszłość?

Zastrzegam się jeszcze raz, że nie mam zamiaru prawić m rałów. Polityk i publicysta muszą zajmować się pewnymi p blemami, czy im one podobają się czy nie. Poeta posiada suw renne prawo wyboru tematu i tego przywileju kwestionować wolno. Krytycy i czytelnicy mogą jedynie zanotować, że po dokonał takiego a nie innego wyboru i zastanawiać się nad m tywami, jakie nim kierowały.

Sądzę, że czterech poetów emigracyjnych pchnęła ku da ności wojna a utrzymuje ich w jej kręgu przemożny wpływ mantyzmu. Mam tu na myśli romantyzm w ujęciu najszerszy a więc — (przepraszam za uproszczenia w terminologii) — poe uczuciową w przeciwstawieniu do poezji intelektualnej lub tz poezji czystej. Od czasów Mickiewicza liryka polska rodziła właśnie w sercach i do serc przemawiała, nawet Asnyk i Norw mimo pewnej filozoficzności pozostają romantykami. Péguy, V léry nie mieli w Polsce odpowiedników o większym talen i szerszym audytorium. W okresie dwudziestolecia między dw ma wojnami próby wprowadzenia poezji intelektualnej przez f turystów i innych — istów spaliły na panewce wobec trium Skamandra, wskrzeszającego znów, na swój sposób, tradyc romantyczne. Baliński, Lechoń, Łobodowski i Wierzyński w szli z tej szkoły i do dziś dnia gardzą „mędrca szkiełkie i okiem", choć płacą za to bezradnością wobec wydarzeń dni

Ich poprzednicy sprzed lat stu w szczęśliwszym znajdow się położeniu. Światopogląd romantyczny ogarniał wtedy b trudu przeszłość i przyszłość, bez uszczerbku mieścił w swy ramach dzieje narodu, bo i styl ówczesnego życia, walki, jak się w tym czasie toczyły, miały podkład uczuciowy. Lat ten dwadzieścia trudniej już było odpowiadać samym tylko serc na problematykę, jaką przyniósł wiek dwudziesty, ale w Pols Odrodzonej uchowała się w szczególny sposób atmosfera roma tyzmu i społeczeństwo, z natury uczuciowe, zadawalało się twó czością skamandrytów, chociaż nie była w stanie dać takiej peł jak w swoim czasie poezja Słowackiego lub Wyspiańskiego. Dz

w erze einsteinowskiej, w okresie kiedy dominują zawikłane problemy społeczno-gospodarcze, kiedy między przeciwnymi obozami polityczno-ideowymi toczy się par excellence „walka na rozumy", kiedy nawet religie traktowane są przede wszystkim jako systemy filozoficzne, dziś uczuciowy romantyzm schodzi do rzędu sentymentalizmu. Jeszcze mu się nie odbiera prawa azylu, jeszcze go się toleruje, ale też nikt nie bierze go na serio. Nawet miłość, domena zdawałoby się najbardziej „romantyczna", wymknęła się spod władzy romantyków od czasu odkryć dr Freuda.

Nic więc dziwnego, że nasi czterej poeci, hołdujący poezji romantycznej, nie znajdują pomostu do anty-romantycznego świata z roku 1953 i tkwią w ghetcie minionej epoki, minionej umysłowości.

Jeśli te uwagi są słuszne, to stanowią także odpowiedź na skądinąd naiwne pytanie, dlaczego obecna emigracja nie wydała dotąd „wieszcza". Nie wydała i nie wyda. Wielkość Mickiewicza powstała dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, który sprawił, że wewnętrzna romantyczność poety wileńskiego szła w parze z charakterem epoki i z charakterem czytelników. Dostroić się do obecnej rzeczywistości mógłby tylko poeta intelektualny, ale na pewno nie znalazłby oddźwięku w społeczeństwie, które na skutek wychowania i przyzwyczajenia uznaje wyłącznie poezję romantyczną, chociaż poezja taka nie daje mu pełnego zadowolenia.

Jan WINCZAKIEWICZ

"Pani Sapowska" i bohaterski pies

Każdy, kto wojnę spędził w Polsce, a zwłaszcza — jak podpisany — brał udział w takich, czy innych działaniach Armii Krajowej, po przeczytanu ostatniej książki Wacława Grubińskiego *) zadać musi sobie pytanie : co to właściwie jest ? Burleska, czy po prostu kpiny z czytelnika ? Wprawdzie autor w przedmowie z właściwą sobie, staromodną kokieterią zapewnia, że mimo formy scenicznej, rzekomo filmowej, napisał powieść, właśnie powieść, której realizm jest jakoby „protokólarnie stwierdzony", „historycznie wierny" i „aż do zbytku udokumentowany" — ale takich oświadczeń nie sposób traktować na serio, gdy chodzi o pisarza, znanego ze skłonności do kpienia ze wszystkiego (chociaż nie z siebie). Uważniejsze przyjrzenie się temu dziwnemu tworowi, jakim jest *Pani Sapowska,* uwieczniona na obwolucie ckliwą podobizną, jakby żywcem przerysowaną z pudełka do

*) Wacław Grubiński. *Pani Sapowska*, powieść. Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn, 1953.

czekoladek — wykazuje, że p. Grubiński nie ma nawet zielo kawego pojęcia o realiach, a zwłaszcza o atmosferze jakichk wiek działań konspiracyjnych i bojowych polskiego podzien w czasie okupacji niemieckiej.

Na nic by się nie zdało wyliczanie nieprawdopodobnych g w terminologii, w sytuacjach, charakterach i w klimacie bzdurnej i nieciekawej wycieczki „kuriera" Andrzeja na czte dni z Londynu do okupowanej Polski i z powrotem. Trzeba u uproszczonej metody i stwierdzić z całą stanowczością, że jeden człowiek i ani jedna sytuacja w tej książce nawet w pr bliżeniu nie odpowiada rzeczywistości i nie wywołuje jej wra nia. Jedyną postacią bohaterską i mniej więcej prawdopodob jest pies Neron, którego autor obarczył ważną misją pilnowan stacji radiowej, ukrytej w jego budzie. Odnosi się wrażenie, Grubiński pisząc tę ramotę świadomie przyjął zasadę „to h with credibility", stosowaną w niektórych drugorzędnych mach amerykańskich (tzw. „B" Pictures). Obiektywnie są ne, że tak właśnie postąpił nasz weteran lżejszej muzy, choć w łałbym przyjąć pochlebniejsze dla jego rzetelności pisarskiej (ch mało pochlebne dla inteligencji) wytłumaczenie : że po pros padł ofiarą jakiegoś króla łgarzy, albo raczej królowej, czy mo „czarującej" — jak sam określa swoją panią Sapowską — k lewny łgarstw prywatnych, urzędowych i hurrapatriotyczny W każdym razie zdaje się nie ulegać wątpliwości, że autor *P Sapowskiej* nie przeczytał ani historycznego, obszernego oprac wania pt. *Armia Krajowa,* nie mówiąc już o solidnie na źródła opartej, świeżo wydanej powieści Janusza Jasieńczyka *Brunat i czerwone,* która sugestywnie ewokuje prawdziwą atmosf konspiracyjnych walk z Niemcami.

Ale może nudnawy i wcale nie zabawny „utwór" p. Gr bińskiego (który powinien by nosić tytuł „Jak Dziadzio Wa wyobraża sobie konspirację w kraju i zagranicą") posiada w bitne walory artystyczne, jakich możemy się spodziewać po sarzu, który przed wojną miał niemałe nazwisko, a na emigra zdobył Nagrodę Gruźlików za solidny i dobrze napisany pami nik pt. *Między młotem i sierpem?* Niestety, nie. Z jakieg kolwiek punktu widzenia spojrzałoby się na *Panią Sapowską* zawsze okaże się, że jest bezkształtny wór, który twórca, (n prawdopodobniej w wielkim pośpiechu), upchał wyżej schara teryzowanym towarem. Wbrew „orzeczeniu" samego auto (patrz przedmowa), sprzecznemu zresztą z każdą poważną te rią literatury, *Pani Sapowska* nie jest ani powieścią, ani scen riuszem filmowym.

Jeśli do tego rejestru „grzechów głównych" pana Grub skiego dodamy, że język *Pani Sapowskiej* nosi cechy bardzo m czącej maniery (np. uporczywe stawianie zaimka zwrotnego „si przed czasownikiem — „się odwrócił", „się oddala") — to b dziemy mieli przybliżony obraz jego „osiągnięć" artystyczny w ostatnim „dziele", o którym nie warto by pisać, gdyby aspekt społeczny sprawy.

Nie można starszym literatom odmawiać prawa pisania choćby najbzdurniejszych utworów. Gdyby istniał na emigracji normalny rynek wydawniczy, nie można by także zabronić wydawcom wydawania takich prac : publiczność — odmawiając ich kupowania i czytania — sama dałaby sobie radę z autorami zbyt lekko traktującymi jej smak i poczucie prawdopodobieństwa w fikcji. Ale z *Panią Sapowską* było inaczej. Została wydana drogą subskrypcji przez firmę katolicką Veritas. Kilkuset czytelników kupiło ją jak kota w worku, dając z góry pieniądze na utwór nieznany, a może nawet nie napisany w momencie rozpisania prenumeraty. Czytelnicy ci spodziewali się, że katolickie wydawnictwo ma lektorów, którzy ocenią dzieło starannie i zastanowią się, czy jest warte przynajmniej dobrego papieru, na którym będzie wydrukowane. Brali też z pewnością pod uwagę nazwisko autora i poprzednie pozycje „Biblioteki Polskiej", z których przynajmniej jedna (*Blisko i daleko*) Marii Danilewicz) jest bardzo mocna.

W zamian ze swe pieniądze i za swe zaufanie subskrybenci Veritasu otrzymali książkę artystycznie bezwartościową i w dodatku ideowo całkowicie obcą katolikowi, książkę zupełnie wypraną z wartości etycznych lub choćby pedagogicznych. Jednym słowem płacący z góry nabywcy otrzymali bezwartościowy towar. Wiemy jak to się nazywa w stosunkach handlowych — ale jak nazwać to w obrocie kulturalnym ?

Krzysztof T. GÓRSKI

Notatki wydawnicze

Od czternastu lat ukazuje się w Ameryce raz na rok antologia literackiej awangardy pt. *New Directions* (333 Sixth Ave., New York). Wszystkie młode oryginalne talenty amerykańskie debiutowały w tym wydawnictwie, które poza tym szerzy znajomość najnowszej literatury europejskiej i tych klasyków którzy, jak Lautréamont, Hölderlin, Louise Labé czy Choderlos de Laclos stali się nam poprzez taką czy inną alchemię czasu współcześni. Ostatni tom *New Directions* (1953) (410 stron) zawiera między innymi antologię prozy poetyckiej zebraną przez młodego amerykańskiego poetę Charles Henry Ford, dawnego wydawcę surrealistycznej *View*. Antologia jest całkowicie przypadkowa, zebrana na podstawie indywidualnego smaku kompilatora i sięga do poezji chińskiej, do klasyków, do całkowicie nieznanych młodych poetów. I oto wśród dwudziestu paru urywków prozy poetyckiej, obok Beaudelaire'a, Kafki, Poego, Rimbaud, Leonarda, natrafiamy na dwa ustępy pióra pisarza z Polski. Jest nim Jakub Yitzhak (nie śmiem zaryzykować polskiej transkrypcji nazwiska), lubelski chasyd z XIX wieku. Oto jeden z tych urywków, o „Wesołym Grzeszniku", który uradowałby Gide'a i Whitmana :

„W Lublinie żył wielki grzesznik. Kiedykolwiek odwiedzał rabina, ten chętnie zgadzał się rozmawiać z nim, tak jakby miał do czynienia z czło-

wiekiem uczciwym i przyjacielem. Wielu spośród chasydów krzywo na patrzało aż jeden rzekł do drugiego : ,,Czyż to możliwe że nasz rabin, k remu dość raz spojrzeć na twarz człowieka aby poznać jego życie od czątku do końca, aby poznać samo sedno jego duszy, nie widzi, że człow ten jest grzesznikiem ? A jeśli widzi, jakże dopuszcza do rozmowy i pr bywania z nim ?'' Wreszcie odważyli się pójść do samego rabina ze sw zapytaniem. A on im odrzekł : ,,Wiem wszystko o nim tak jak wy. wiecie jak lubię radość i jak nienawidzę przygnębienia. A ten człowiek tak wielkim grzesznikiem ! Inni skoro tylko grzeszą, żałują, pozost chwilę w żalu i znów powracają do swych błędów. Ale ten człowiek zna skruchy i nie zna pokus i żyje w swoim szczęściu jak w wieży. A św tłość jego szczęścia raduje moje serce''.

Jakże mało znany Polakom jest skarbiec żydowskiej literatury z j poezją, mądrością, fantazją, subtelnym humorem, nierzadko ze świat czystego mistycyzmu. Czy nie można by, z pomocą z Izraela, ameryk skich i europejskich ośrodków badań hebrajskich, wydać antologii naj niejszych tekstów polskich Żydów : talmudystów, chasydów, pisarzy re nalnych, poetów i dramaturgów żargonowych ? Wydawca tego rodzaju tologii znalazłby chociażby w pisarzu i erudycie klasy Stanisława Vince idealnego redaktora. A antologia taka nie tylko pokazałaby Polakom cz jest dusza i tradycja żydowska (polska opinia waha się tu pomiędzy bz rami p. Pawlikowskiego z ,,Dwóch Światów'' i bawieniem się dowcip p. Hemara), ale mogłaby być literacką rewelacją.

(j)

Przegląd miesięczników

Założony w r. 1918 jako organ belgijskiego ruchu oporu (warto za tować, że jednym z trzech założycieli był Polak : dobrze znany czytelnik ,,Kultury'' Anatol Muhlstein), *Le Flambeau* (1, Avenue Antoine Depa Bruxelles), jest nadal, po 36 latach, jednym z najpoważniejszych belgijsk czasopism polityczno-literackich. O charakterze liberalnym, *Le Flamb* daje doskonały obraz sytuacji politycznej i międzynarodowej i belgijs i artykuły pierwszorzędnych pisarzy i publicystów belgijskich i zagran nych. Czerwcowy numer otwiera artykuł Anatola Muhlsteina o ,,Nieu nionej Negocjacji''. W swej analizie polityki międzynarodowej po śmi Stalina, Muhlstein przeciwstawia mglistym nieraz dociekaniom ,,eks tów'' i ,,specjalistów'' zdrowy rozsądek i doświadczenie dyplomaty w p czeniu z obiektywnym spojrzeniem historyka. Usuńmy na bok dotychcz wą zabawę w ,,zgaduj zgadula'' i przejdźmy do politycznych realii — zasadnicze podejście Muhlsteina. W artykule napisanym przed areszto niem Berii, Muhlstein stawia sprawę jasno : w Rosji istnieją dwie realne, a nie trzy, jak się ogólnie przypuszcza — policja Berii i woj Dyrektoriat sowiecki, złożony z ludzi bojących się wzajemnie i pozbawion czynnika nadrzędnego, naturalnie dąży do uspokojenia położenia mię narodowego, aby móc się skoncentrować na zagadnieniach wewnętrzn przygotować się do nieuniknionych rozgrywek i wzmocnić osłabione fu menty państwa. Czy — wobec takiej sytuacji — należy rozpocząć negocjac Zdaniem Muhlsteina nie ma na co czekać : nic nie wskazuje na to, ż Rosja miała się szybko osłabić, czy Zachód szybko wzmocnić. Należy o

wiście negocjować z pozycji siły : ale Zachód jest silny, siła jego jest zlokalizowana w Ameryce i — choć nie należy ani na chwilę zwolnić przygotowań do uzbrojenia i zjednoczenia Europy — należy rozpocząć rokowania nie zwlekając. Muhlstein ujmuje rokowania inaczej niż Churchill czy europejscy ,,neutraliści'' : z całą siłą historycznej dokumentacji wykazuje, że musimy żądać od Rosji poważnych ustępstw, nie mając w zamian nic do ofiarowania prócz pokoju. Należy określić jasno cel rokowań : wycofanie się Rosji z Niemiec, Austrii i Europy środkowo-wschodniej. Czy, postawione równie twardo i nieustępliwie, rokowania takie mają jakąkolwiek szansę powodzenia ? Muhlstein przypomina nam tutaj jak przed wiekiem wielki poprzednik Churchilla, Disraeli zmusił Rosję właśnie na mocy rokowań do wycofania się z Konstantynopolu, gdyż obecność wojsk rosyjskich nad Bosforem była ,,nie do przyjęcia'' dla Europy. Możemy zmusić Rosję do ustąpienia z Europy za cenę pokoju — oto zasadnicza teza Muhlsteina. Ale rokowania tego rodzaju są tak delikatne, mogą być tak osłabione przez reakcję opinii publicznych, że Muhlstein, jako stary dyplomata, gorąco apeluje do tradycyjnych metod tajnych rokowań pomiędzy kancelariami dyplomatycznymi. Dość publicznych apeli, deklaracji prasowych, artykułów w ,,Prawdzie'' czy ,,Timesie'' : należy przejść do rokowań bezpośrednich, obojętnie czy terenem ich będzie UNO, State Department czy salony Kremla.

W czasach kiedy raporty ambasadorów zbyt często przypominają artykuły publicystów, zdziwić może artykuł publicystyczny, który jest raportem idealnego ambasadora : spoczywa na realnej ocenie sił, na wytrawnym doświadczeniu, na niechęci do abstrakcyjnych koncepcji i na solidnym znawstwie historii. Artykuł Muhlsteina przeznaczony jest może bardziej dla tych kancelarii do których kieruje on apel o rokowania, niż dla czytelników szukających ,,nowych interpretacji''.



W czerwcowym numerze amerykańskiej *Partisan Review*, Victor Erlich pisze o ,,Rosyjskim Formalizmie''. Formalizm, jako szkoła krytyki literackiej, powstał w Rosji około 1915-16 i doszedł do rozkwitu we wczesnych latach dwudziestych. Borys Eikhenbaum, Roman Jakobson (którego artykuł ukazał się w czerwcowym numerze ,,Kultury''), Wiktor Szkłowski i Juri Tymjanow, byli jego czołowymi przedstawicielami. ,,Formaliści'' uważali literaturę za samoistne pole ludzkiego działania i ukuli termin ,,literaturności'', obejmujący specyficzne metody literatury ,,pięknej''. Formalizm został oczywiście ostatecznie wykreślony z sowieckiej nauki jako herezja około r. 1930, pomimo pewnych wysiłków kompromisu z marksistami ze strony formalistów. Erlich przypomina, że formalizm miał również szkołę czeską i polską z Manfredem Kridlem i Franciszkiem Siedleckim.

W tym samym numerze znajdujemy szkic amerykańskiego filozofa niemieckiego pochodzenia, Ludwiga Marcuse o ,,Europejskim anty-amerykanizmie''. Marcuse próbuje naszkicować historię europejskiego anty-amerykanizmu i przedstawić jego emocjonalny bardziej niż intelektualny charakter. Zdaniem autora, ,,Ameryka'' i ,,Europa'' przestały istnieć; mamy dziś do czynienia z pewną fazą zachodniej cywilizacji, którą nazywamy ,,amerykańską'', gdyż wywodzi się ona z europejskiej kolonii zwanej Ameryką. ,,Amerykanizm'' istniał rzeczywiście kiedy Ameryka była krajem niecywilizowanych pionierów, i w drugiej fazie, kiedy Ameryka była o wiele bardziej uprzemysłowiona od Europy. Od tego czasu jednak Europa niemal doścignęła Amerykę technicznie, Ameryka niemal doścignęła Europę kulturalnie. Czyżby — kończy autor artykułu — ,,Europa'' i ,,Ameryka'' nie były niczym innym jak historycznymi kategoriami, utrzymywanymi przy życiu przez obustronne przesądy ?

Idea europejska przechodzi, po pierwszych osiągnięciach w rodz poolu węgla i stali, przez ostry kryzys, spowodowany z jednej strony in cją polityczną i ciasnotą rozumowania poszczególnych rządów, z drugiej st ny sowiecką „ofensywą pokojową". Aby przeciwstawić się temu kryzyso powstała „Grupa Dwudziestu", komitet najwybitniejszych sił intelektu nych ruchu europejskiego, działający wyłącznie we własnym imieniu i s rający się niezależnym wysiłkiem myślowym, w oderwaniu od wszelki biurokracji znaleźć wyjście z impasu. Należą do „Dwudziestu" międ innymi Raymond Aron, H. Brugmans, G. Gafencu, S. de Madaria André Philip, Denis de Rougemont, Józef Retinger, Jean-Paul de Dad sen. „Grupa Dwudziestu" wydaje od kwietnia miesięcznik, *Courrier Fé ral*, pod redakcją Denis de Rougemont (Centre Européen de la Culture, P lais Wilson, Genève). W pierwszych numerach, obok świetnej analizy „kr zysu europejskiego" pióra Denis de Rougemont, znajdujemy projekty eu pejskiej konstytucji.

◆

Ruch Europejski, grupujący wszystkie europejskie związki federal tyczne wydaje miesięcznik pt. *Nouvelles de l'Europe* (Mouvement Européen 82, Avenue Marceau, Paris-8e). Jest to właściwie międzynarodowy biulety zawierający dział wolnej trybuny i podający wszystkie bieżące materia europejskie (posiedzenia Europejskiego Zgromadzenia Doradczego w Stra burgu, Komitetu Ministrów Europejskich itd.). *Nouvelles de l'Europe* p dają w skoncentrowanej formie wiadomości „europejskie", które giną na ł mach innej prasy.

◆

Nieograniczone możliwości rozwoju ludzkiej nauki i techniki od wiek pobudzały wyobraźnię pisarzy i poetów. Jules Verne miał wielu poprze ników : Cyrano de Bergerac zapowiadał podróże międzyplanetarne; Rabela — produkcję seryjną; Leonardo — kolej żelazną i spadochron. W mia jednak rzeczywistego zawrotnego rozwoju techniki jakiego jesteśmy świa kami, tego rodzaju utopijne wizje pomnożyły się stokrotnie. Powstał prze kilkunastu laty nowy „rodzaj literacki", który jest właściwie formą wspó czesnej mitologii : „Science Fiction" — powieści i nowele oparte na pop laryzacji nauki, a raczej jej ewentualnych najbardziej fantastycznych z stosowań. Wprawdzie „Człowiek Niewidzialny" i „Wyspa Dr Moreau" prototypy współczesnej „Science Fiction" powstały w Anglii i we Francj ale prawdziwy zalew tego rodzaju książek ukazał się w Ameryce i trw już od kilkunastu lat. Podobnie jak literatura kryminalna, „Sf" (takieg skrótu używa się dziś w Ameryce) kwitnie na różnych poziomach — c działu popularnych „comics", aż po utwory pierwszorzędnych pisarzy, a n wet — po literackie rozrywki wielkich uczonych. Dziwnym zbiegiem okolic ności, analizą tego typu literatury zajęto się we Francji i w Anglii bardzi niż w Ameryce. *Les Temps Modernes* poświęciły „Sf" specjalny num przed paroma miesiącami. W czerwcu i lipcu bieżącego roku aż trzy p ważne francuskie miesięczniki zajmują się perspcktywami amerykański literatury naukowej : *Esprit* poświęca jej specjalny numer; *Mercure* *d France* i *Cahiers du Sud* — szereg artykułów.

Zagadnienie jest istotnie ważne. Zarówno przez nieoczekiwane zastos wania — Stephen Spriel stwierdza w *Esprit*, że „brains-trusty" armii am rykańskiej używają „Sf" „celem zapłodnienia zamulonej często wyobraźn uczonych i techników" — jak również jako wyraz podświadomego pes mizmu ludzkości w dobie bomby atomowej. Istotnie, Bertrand d'Asto wykazuje w tym samym numerze *Esprit*, że cała literatura przyszłości opa

ta jest właściwie na dziwnym przeczuciu zniszczenia rodzaju ludzkiego : przede wszystkim oczywiście kataklizmy — i tu bomba atomowa, ucieczki ostatnich ludzi na inne planety, dezintegracja fizyczna człowieka, przejście do innych wymiarów dostarcza kanwy nowoczesnym Kasandrom nauki. Pesymizm istnieje jednak również na głębszym poziomie — jak stwierdza d'Astorg, klęska człowieka indywidualnego, rozbicie ludzkiej jaźni jest częstym tematem tych książek. Często ta klęska staje się ostateczna — podobnie jak w orwellowskim ,,1984'' przez rozbicie ludzkiej pary : tak jakby miłość pomiędzy mężczyzną i kobietą odczuwana była przez wszystkich ,,pisarzy przyszłości'' jako ostatnia ludzka deska ratunku.

◆

Lipcowy numer *Preuves* zawiera artykuł Józefa Czapskiego o ,,Voix du Silence'' Malraux i rozdział ze ,,Zniewolonego Umysłu'' Czesława Miłosza o Becie-Trubadurze.

◆

Czwarty numer *Westnika* Instytutu Badań Historii i Kultury ZSSR (Monachium, Schliessfach 5) zawiera szereg interesujących studiów. Prof. A. Filipow w artykule ,,Lenin i Sowiecka nauka'' dowodzi, że fałszowanie nauki w Sowietach zaczęło się od Lenina, który jeszcze w 1909 r. wykazał całkowite niezrozumienie teorii względności, poprzez powierzchowną krytykę dzieł Poincaré'go.

L. Rszewski bada ,,Problemy konstruktywnej propagandy antykomunistycznej''. Z trzech elementów działalności propagandowej : idei, jej formy i jej przedmiotu, Rszewski, za najważniejszy w tym wypadku uważa przedmiot, to znaczy mieszkańców Sowietów. Należy w pierwszym rzędzie poznać reakcje sowieckiego ludu poprzez badanie wszystkich dostępnych źródeł — prasy, nauki, literatury, krytyki i samo-krytyki. Należy również zawsze pamiętać o traumatycznym strachu i schizofrenii, które są zasadniczymi cechami psychicznymi sowieckiego obywatela. Celem zachodniej propagandy powinno być wyzwolenie w świadomości sowieckich obywateli ich tendencji do opozycji przeciw tyranii. Stąd konieczność ,,dostarczenia celu i natchnienia opozycyjnym dążeniom''. Należy przede wszystkim badać istniejącą opozycję, choćby potencjalną. Na podstawie poszczególnych jej przejawów należy sformułować uogólnienia, które by można streścić w ramach pewnych idej.

,,Obecne zadanie polega na pomocy sowieckiemu ludowi w jego wysiłkach utorowania sobie drogi w złożonych warunkach jego życia duchowego i materialnego, pomocy w przezwyciężeniu traumatycznego strachu, sceptycyzmu i apatii''. Należy w tym celu przeprowadzić gruntowną analizę psychologicznego i socjologicznego przekroju sowieckiej ludności, wybrać główne aspekty psychologiczne w poszczególnych grupach społecznych i ustalić które z nich przedstawiają najbardziej podatny grunt pod propagandę. Ta anty-propaganda powinna być zbudowana na podstawach etycznych (np. wykazanie podłości denuncjacji; przeciwstawienie prawdziwego patriotyzmu sowieckiemu pseudo-patriotyzmowi itd.). Pierwszym etapem do którego winna dążyć zachodnia propaganda jest stworzenie warunków w których wymiana informacji i koncentracja opozycyjnych sił byłaby możliwa.

W tym samym numerze, *Westnik* zamieszcza trzystronicową krytykę książki Józefa Czapskiego ,,Na Nieludzkiej Ziemi'', przypominając historię armii Andersa i podkreślając ciepły stosunek autora do ludności sowieckiej.

(j)

Nadesłane nowości wydawnicze

DOKUMENTY CHWILI

MANTRAN (R.) *Histoire de la Turquie*. Pp. 126 (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1953).

BERNANOS (G.). *La liberté pour quoi faire ?* Pp. 311. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 590).

BURNHAM (J.). *Contenir ou libérer*. 327. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).

Soviet Imperialism. Its Origins and Tactics. Praca zbiorowa pod redakcją Waldemar Gurian'a. Str. 166. (Wyd. University of Notre Dame Press, Notre Dame, Indiana, USA, 1953, cena dol. 3,75).

DAVID-NEEL (A.). *Le vieux Tibet face à la Chine nouvelle*. Avec 23 gravures hors-texte et une carte en dépliant. Pp. 241. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 540).

WEISSBERG (A.). *L'accusé*. Traduit de l'allemand par Paul Stéphano et E. Bestaux. Pp. 590. (Ed. Fasquelle, Paris, 1953, frs. 875).

PROKOPOWICZ (S.N.). *Narodnoje choziajstwo SSSR*. T. I. Str. 400, cena dol. 3,25. T. II — Str. 360. Cena dol. 3,25. (Nakładem Domu Wydawniczego im. Czechowa w New Yorku, 1952).

MARGOLIN (J.B.). *Putieszestwije w stranu Z-K*. Str. 416. (Nakładem Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 2,75).

NOWIKOW (M.M.). *Ot Moskwy do Nju-Jorka*. Str. 416. (Nakładem Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 3,00).

SZWARC (S.M.). *Antisemitizm w Sowieckom Sojuzie*. Str. 272. (Nakładem Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 2,25).

IWANOW-RAZUMNIKOW (R.W.). *Tiurmy i zsyłki*. Str. 416. (Nakł. Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 3,00).

LITERALURA

MARGERIT (R.). *La femme forte*. Pp. 229. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 950).

SALOMON (E. von). *Le questio-naire*. Pp. 648. (Ed. Gallimar 1953, Paris, frs. 1.200).

BOJER (J.). *Coupable*. Pp. 29 (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 195

LINSER (L.). *Histoire d'amou* Pp. 339. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).

WEIL (S.). *La source grecqu* Pp. 162. (Ed. Gallimard, Pari 1953, frs. 350).

KOESTLER (A.). *La corde raid* Traduit de l'anglais par Deni Van Moppès. Pp. 358. (Ed. Calmann-Lévy, 1953).

MILLER (Henry). *Souvenir souvenirs*. Traduit de l'américain pa André Michel. Pp. 347. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 700).

SCHNITZLER (A.). *Les dernièr cartes*. Traduit de l'allemand pa Dominique Auclères. Pp. 276. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953, frs.

O'FLAHERTY (Liam). *Insurrection*. Traduit de l'anglais par Gilbert Sigaux. Pp. 271. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).

PAPINI (G.). *Le livre noir*. Traduit de l'italien par Julien Luchaire. Pp. 218. (Ed. Flammarion Paris, 1953, frs. 525).

JACOB (M.). *Les clefs du jardi* Version française de A. Thumann Pp. 576. (Ed. Plon, Paris, 195 frs. 990).

WILLIAMS (Ben Ames). *Les lien du sang*. V. II : *Le cousin Abraham*. Traduit de l'américain pa A. Bertin. Pp. 528. (Ed. Plon Paris, 1953, frs. 990).

MARCEAU (F.). *En de secrète noces*. Pp. 239. (Ed. Calmann Lévy, Paris, 1953).

MAURIAC (F.). *Journal*. Vol. V Pp. 252. (Ed. Flammarion, Paris 1953, frs. 500).

LESSING (D.). *Vaincue par l brousse*. Traduit de l'anglais pa Doussia Ergaz. Pp. 255. (Ed Plon, Paris, 1953).

GOLDMAN (J.). *Carrefour d'espérances*. Pp. 341. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).

MARKOW (W.). *Prigłuszonnyje gołosa*. Str. 416. (Nakładem Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 3,00).

AŁDANOW (M.A.). *Żiwi kak choczesz*. T. I. — str. 384, cena dol. 2,75; T. II — str. 304, cena dol. 2,75. (Nakł. Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952).

IWANOW (G.). *Petersburskije zimy*. Str. 256. (Nakł. Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 2,00).

ZAMIATIN (E.). *My*. Str. 224 (Nakł. Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 1,75).

NAGLEROWA (H.). *Sprawa Józefa Mosta*. Str. 301. (Wyd. Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1953. Cena frs. 695).

GRUBIŃSKI (W.). *Pani Sapowska*. Str. 182. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wyd. „Veritas", Londyn, 1953).

BILLY (A.). *La femme maquillé*. Pp. 283. (Ed. Flammarion, 1953, Paris, frs. 500).

HISTORIA

WALTER (G.). *Histoire de la révolution russe*. Vol. I : *L'effondrement de la monarchie (Février-Mars 1917)*. Pp. 388. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 790).

Czortkiwska Ofenziwa. Str. 37 (Wyd. Bractwo Koła Żołnierzy 1-szej Ukr. Dywizji UNA, Monachium, 1953).

WOODCOCK (G.) et AVAKOUMOVITCH (I.). *Pierre Kropotkine le Prince anarchiste*. Traduit de l'anglais par Eugène Bestaux. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953, frs.)

BOK (M.P.). *Wospominanja o mojem otce P.A. Stołypinie*. Str. 352. Nakładem Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1953. Cena dol. 2,75).

KRIPTON (K.). *Osada Leningrada*. Str. 256. (Nakł. Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 2,00).

POEZJE

KARPENKO-KRINICA (P.). *Soldati mogo legionu (1945-1946)*. Poezje. Str. 48. (Wyd. „Orlik", Chicago, USA).

STRUVE (G.). *Nieizdannyj Gumilew*. Str. 237. (Nakładem Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 2,25).

BOGOLEPOW (A.A.). *Russkaja liryka od Żukowskogo do Bunina*. Str. 416. (Nakł. Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 2,75).

WALTZ (R.). *La création poétique*. Pp. 279. (Ed. Flammarion, Paris, 1953, frs. 675).

RADZYMIŃSKA (J.). *Dzika perła*. Poezje. Str. 44 z linorytami Krystyny Herling-Grudzińskiej. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy na emigracji w Anglii, 1952).

DOŁĘGA - KOWALEWSKI (J.). *Rozprawy poetyckie (1939-1952)*. Str. 98 z drzeworytami Stefana Barana. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy na Emigracji w Anglii, 1953. Cena frs. 600).

RÓŻNE

DUBREUIL (H.). *Le travail et la civilisation*. Esquisse de l'histoire et de la philosophie du Travail. Pp. 291. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 660).

MARCEL (G.) etc. *Qu'attendez-vous du médecin ?* Pp. 321. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 570).

SOIRON (T., O.F.M.). *La condition théologien*. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 450).

KING MERTON (R.). *Eléments de méthode sociologique*. Traduit de l'américain par Jean Bué. Pp. 654. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 970).

BERNADOT, O.P. (M. W. ksiądz). *Matka Boska w naszym życiu*. Przekład z francuskiego Marii Przyłuckiej. Str. 190. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wyd. „Veritas", Londyn, 1953. Cena 15 sh.).

GOETEL (F.). *Tatry*. Str. 84 z 14 fotografiami w tekście. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wyd. „Veritas", Londyn, 1953).

Listy do Redakc

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielką uwagą przeczytałem recenzję p. Jeleńskiego z książki Mich Pawlikowskiego. Oburzenie recenzenta w pełni podzielam. Wydaje mi jednak, że oburzenie to zostało skierowane w niewłaściwym kierunku. K da emigracja miała swoich Pawlikowskich, ludzi, którzy nie wiedzą, co m wią i nie wiedzą, co piszą. P. Michał Pawlikowski opuścił swoją Med i udał się na emigrację. Emigracja, wojna, zerwanie z przeszłością, ze ś dowiskiem to są sprawy trudne. Nie każdy znosi je jednakowo. Zwłasz ludzie starzy. Jedni więc żyją wspominkami i starają się nie widzieć sw nowego otoczenia. Inni są mniej szczęśliwi. Żyją czymś gorszym niż ws minki. Żyją w kręgu obsesji. Polityk, który nie potrafi o niczym innym m wić tylko o prawdziwych, czy urojonych przestępstwach politycznych sa cji (są tacy) żyje w kręgu obsesji. Pisarz, który nienawidzi i krytyk wszystkie narody z którymi się styka na wygnaniu, uważając, że tylko na polski jest święty i czysty — żyje w kręgu obsesji. Pułkownik, który uwa że kto nie był w Legionach nie ma co zabierać głosu w sprawach wojs wych żyje w kręgu obsesji.

Otóż w moim przekonaniu książka Michała Pawlikowskiego jest książ obsesją. Cała jej filozofia sprowadza się do bardzo śmiesznej i dziecin teoryjki. Oto ona : Polacy są narodem wybranym. Dlaczego ? Bo tylko lacy zachowali czystą i nieskalaną cywilizację Dunajców. Kto to byli D najcy ? P. Pawlikowski opowiada o nich długą bajkę. Wszyscy wrogo Polski to są Azjanici. Najgorsi z Azjanitów są Żydzi. Ale Azjanitami również Niemcy, Rosjanie, Ukraińcy. Pełno jest Azjanitów we Włosze we Francji, w Anglii i w Ameryce. Są wszędzie tam, gdzie sobie p. Paw kowski życzy. Czy wśród Polaków są też Azjanici ? Oczywiście, że są. (to za jedni ? Wszyscy ci, którzy nie podzielają poglądów p. Pawlikowskie Kto nie jest za Stalinem jest produktem burżuazji, kosmopolityzmu, tr kizmu, zgniłego Zachodu itd. Kto nie jest za Pawlikowskim jest Azjani A to znacznie gorsze, niż wszystkie wyzwiska bolszewizmu. Co zrobić z Az nitami ? P. Pawlikowski właściwie widzi tylko jedno rozwiązanie. Trze ich wytępić. Poza tym należy żyć miłością chrześcijańską i kochać bliźn go jak siebie samego. Mamy jeszcze w tej żałosnej książce parę rozdział o niebezpieczeństwie żydowskim. P. Pawlikowski bardzo przestrzega pr neofitami. Azjanici. Napada najgorszymi wyzwiskami na różnych pisa polskich od Przybyszewskiego do Staffa i Wittlina. Napaść na Wittlina j szczególnie oburzająca. Cała twórczość p. Pawlikowskiego nie jest bowi warta jednej strony, czy jednego poematu tego najwybitniejszego pisa polskiego na emigracji. Pisarza głęboko katolickiego, przy którym katolicy p. Pawlikowskiego jest zwyczajnym ,,azjanickim barbarzyństwem''.

Ale jak powiedziałem na początku nie mogę oburzać się na p. Pav kowskiego. Jest to bowiem książka-obsesja. Jest to książka przykra i sm na. Należy mu współczuć a nie oburzać się na autora.

Natomiast z całą stanowczością i jak najdobitniej należy zaprotestov przeciwko tym ciemnym koteriom politycznym, które tę książkę wyd i reklamują ją dziś na emigracji jako nową biblię endecką. Pod względ technicznym książka jest wydana luksusowo, jak żadna książka na emig cji. Wydała ją organizacja katolicka. Pod auspicjami specjalnego Komite

Z prawdziwym żalem i z głębokim oburzeniem przeczytałem recen z książki ,,Dwa światy'' napisaną przez Wojciecha Wasiutyńskiego w ,,N

śli Polskiej" (nr 217). I do niego właściwie chciałem ten list skierować. Wasiutyński bowiem wie co robi. Nie ma na pewno żadnych złudzeń co do wartości tej książki. A jednak z całym spokojem pisze on o „wybitnej i oryginalnej indywidualności" autora „Dwóch Światów". P. Wasiutyński wie dobrze, że książka ta nie ma nic wspólnego z żadną nauką. Ani „subiektywną" ani obiektywną. A jednak p. Wasiutyński nie ma odwagi nazwać jej po imieniu. Woli z całą powagą rozwodzić się o tych poszukiwaniach „wspólnego korzenia żydowskości, germańskości, rosyjskości i ukraińskości". Co go powstrzymuje w wypowiedzeniu prawdy ? Szacunek dla tradycji rodu Pawlikowskich ? Ta książka jest degrengoladą tradycji kulturalnych rodu Pawlikowskich. Jest zjawiskiem przykrym i smutnym.

Zastanawiam się co by powiedzieli o tej książce i o tej recenzji nasi dawni przyjaciele, dziś już nieżyjący, z którymi tak namiętnie dyskutowaliśmy te same tematy, będące często przedmiotem nieodpowiedzialnych twierdzeń p. Pawlikowskiego. Stach Cimoszyński i Klemens Sznarbachowski, którzy polegli we wrześniu na szosie lubelskiej. Olgierd Szpakowski zamordowany w Katyniu. Tadeusz Lipkowski, Wojciech Kwasieborski, Bronisław Kopczyński — rozstrzelani przez Niemców. Co by powiedział Jan Mosdorf, którego Wasiutyński znał tak blisko. I wielu innych, którzy tak jak i ja z zapałem i zainteresowaniem czytali jego błyskotliwe felietony „Z duchem czasu". Myślę, że byłoby im tak przykro jak mnie jest dziś, gdy czytam w organie Str. Narodowego, którego myśl kształtowali niegdyś pisarze tej miary co Jan Popławski, Zygmunt Wasilewski, Adolf Nowaczyński, zachwyty Wojciecha Wasiutyńskiego nad żałosną książką potomka rodu Pawlikowskich.

Jan OLECHOWSKI
274 Clinton Ave. Brooklyn, 5 NY. USA



Szanowny Panie Redaktorze,

Przypadek zrządził, że dopiero przed kilkoma dniami przeczytałem artykuł p. Czesława Jeśmana pt. „Rubens heroiczny", umieszczony w kwietniowym numerze „Kultury", a w którym autor obciąża mnie zarzutem zmarnowania Brygady Podhalańskiej po jej powrocie z Norwegii do Francji. Tym tłumaczy się opóźnienie, z jakim zwracam się do Pana z prośbą o umieszczenie mego listu na łamach Jego poczytnego miesięcznika.

Sprawa Brygady Podhalańskiej została zbadana i rozstrzygnięta osobiście przez śp. gen. Sikorskiego natychmiast po moim przybyciu do Anglii w końcu września 1940 r., czyli w cztery miesiące po wypadkach, kiedy były one jeszcze świeże w pamięci ludzkiej, a Naczelny Wódz miał już relacje wielu oficerów Brygady Podhalańskiej. Nie zostałem wówczas ani oddany pod sąd polowy, ani też nie przeniesiony w stan nieczynny, a jedyną konsekwencją służbową, wyciągniętą w stosunku do mnie, było odznaczenie mnie krzyżem Virtuti Militari czwartej klasy.

Trzeba mieć dużo naiwności, a raczej bardzo dużo złej woli, żeby uwierzyć, iż decyzję tę podyktowało „dobre serce" gen. Sikorskiego. Nie byłem nigdy „sikorczykiem", nie wiązały mnie z generałem żadne wspomnienia legionowe lub stosunki przedwojenne, więc i z tego tytułu nie miał Naczelny Wódz powodów do pobłażliwości, szczególnie tak daleko posuniętej. Znał on natomiast dobrze prawa, rządzące mechaniką wojny, których p. Jeśman nie zna, oraz wiedział, że nie można kogoś czynić odpowiedzialnym za sprawy nie leżące w sferze ludzkich możliwości. Nie znalazł on nic karygodnego z punktu widzenia wojennego, lub też sprzecznego z interesem Polski w moich ówczesnych decyzjach, postanowieniach i rozkazach. Jeśli

obecnie powracam do tej sprawy, to czynię to nie w celu usprawiedliwia[...] się, lecz żeby przypomnieć kilka faktów, skrzętnie przez p. Jeśmana po[...]niętych.

Zarzut, obecnie mi przez niego postawiony, został sformułowany w [...]stępujący sposób : „Dnia 14 czerwca, PO UPADKU Paryża, Brygada P[...]halańska, powracająca z Norwegii, została wyładowana w Brest, wówc[...] kiedy nie było ani możliwości oporu przeciw Niemcom, ani nie istniała [...]mia francuska jako siła walcząca. Istniała natomiast możliwość naty[...]miastowej ewakuacji do Wielkiej Brytanii w zwartych oddziałach. Za[...]nianie się wyższymi rozkazami nie jest tłumaczeniem".

Po trzynastu latach p. Jeśman zapomniał chronologii zdarzeń i jest [...]docznie pewien, że mało który z czytelników zachowa ją w pamięci, a dla wielu innych sprawa ta jest w ogóle nieznaną kartą dziejów, więc [...]ciąganie faktów i rozminięcia z prawdą, ukryte za frazesami taniej, [...] pewnej siebie demagogii, nie rzucą się nikomu w oczy.

Dużymi literami akcentuje p. Jeśman słowa „PO UPADKU Pary[...] pragnąc wywołać wrażenie, że był to fakt decydujący, po którym wo[...] nagle się skończyła, walki ustały, a sprawa ewakuacji do Anglii była pro[...] i łatwą. Natomiast przezornie woli nie wspominać o tym, że trzy [...] dzieliły upadek Paryża od zwrócenia się marszałka Petain'a do Niem[...] o zawieszenie broni, a pięć dni od radiowego oznajmienia Churchilla o b[...]tyjskiej decyzji prowadzenia wojny dalej. Ten właśnie okres czasu, niez[...]kle krótki, lecz znamienny tym, że zbiegał się z kryzysem bitwy o Fran[...] zadecydował o losie zarówno Brygady Podhalańskiej, jak i innych jedno[...] polskich.

W tych właśnie dniach francuska armia, o której p. Jeśman twier[...] że już nie istniała „jako siła walcząca", organizowała obronę na zachod[...] a w wschodniej części kraju prowadziła zacięte walki na linii Magin[...] i nad granicą szwajcarską.

Nie wie p. Jeśman o tym, że w tym właśnie czasie biły się na fro[...] razem z Francuzami dwie nasze dywizje piechoty i część Brygady pan[...]nej. Druga dywizja strzelców przekroczyła granicę szwajcarską dnia [...] czerwca, a pierwsza dywizja grenadierów biła się do dnia 21 czerwca. [...] generałowie dowodzący tymi jednostkami powinni byli PO UPADKU [...]ryża zaprzestać wykonywania rozkazów swych francuskich dowódc[...] przerwać walkę i wycofać się do południowych lub zachodnich portów ?

Kapitulacja Francji nastąpiła tak szybko i niespodziewanie, że [...] nie mógł ani jej przewidzieć, ani też odgadnąć. Po faktach każdy m[...] łatwo mądrzyć się, lecz wówczas, w dniach krytycznych nawet Anglicy [...] zaskoczeni. Przecież jeszcze 16 czerwca jedna z ich dywizyj śpieszyła z [...]łudnia na front, mozolnie przedzierając się pod prąd olbrzymiej fali uci[...]nierów cywilnych. Przecież dwa inne bataliony angielskie do 17 czer[...] organizowały obronę na tym samym froncie bretońskim i w tym sam[...] czasie, kiedy czyniła to Brygada Podhalańska.

Gen. Sikorski, który w powrotnej drodze z frontu po inspekcji [...] dwóch naszych walczących dywizji zatrzymał się w Vichy i z którym [...] 16 czerwca o północy rozmawiałem telefonicznie, dowiedział się o wszyst[...] dopiero nazajutrz z komunikatu radiowego, a dnia 18 czerwca wydał roz[...] radiowy do jednostek polskich nakazujący przebijanie się do południ[...] Francji, bo zagadnienie ewakuacji do Anglii jeszcze w tym czasie nie [...]niało. Powstało ono dopiero dnia 19 czerwca, ale w tym czasie Bryg[...] Podhalańska, pozbawiona całkowicie środków transportowych, przedzie[...] się małymi oddziałkami w kierunku południowej Francji przez teren za[...] przez pancerne i motorowe jednostki niemieckie.

Należy uprzytomnić sobie, że od odcinka Brygady Podhalańskiej [...] Brest było 200 km. w linii powietrznej, a do Nantes 150 km. Najbli[...] niewielki port St. Malo został dnia 17 czerwca po południu zdemolow[...]

przez Anglików. Nie było mowy o tym, żeby w terenie można było zdobyć środki transportowe. Okolica była gruntownie oczyszczona z pojazdów mechanicznych.

Nie wiem co miał na myśli p. Jeśman stwierdzając arbitralnie, że ,,zasłanianie się wyższymi rozkazami nie jest tłumaczeniem'', bo się żadnymi ,,wyższymi'' rozkazami nie zasłaniałem. Jeśli mu chodzi o rozkaz dowódcy frontu bretońskiego skierowujący Brygadę Podhalańską na odcinek obronny na płnc. od Rennes, to wykonałem go, bo był wydany w czasie kiedy nie było jeszcze żadnych powodów uzasadniających lub usprawiedliwiających odmowę wykonania.

Był jeszcze jeden fakt, który zaważył niekorzystnie na ewakuacji jednostek polskich znajdujących się już w portach załadowczych. Była to sprawa żołnierzy, pochodzących z terenu Francji. Entuzjazm z jakim duża część społeczeństwa francuskiego przywitała rozejm i zakończenie wojny, wpłynął ujemnie na postawę moralną tych żołnierzy, a przecież stanowili oni ponad 75 % naszych stanów liczebnych. Żeby zapobiec masowym dezercjom i aktom łamania dyscypliny, wydał gen. Sikorski znany rozkaz, pozostawiający uznaniu delikwentów decyzję pozostania lub też wyjazdu do Anglii. W tych warunkach ewakuacja ,,w zwartych oddziałach'' w ogóle była prawie niemożliwa.

Na zakończenie dodam, że do oceny zjawisk wojny, odtwarzania prawdy historycznej i ferowania wyroków konieczne jednak są nieco szersze horyzonty myślowe i głębsza wiedza, a ,,pewien balast intelektualny należałoby też założyć'', bo obraz nakreślony przez p. Jeśmana w jego artykule uderza ignorancją, płytkością obserwacyj i jednostronnością. Jest on ponadto przepojony megalomanią i histeryczną nienawiścią do każdego, kto nosi tytuł zawodowego wojskowego. Poziom ot, tak, pogadanki jakiegoś politruka w prowincjonalnej świetlicy komsomołu.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku,

Z. BOHUSZ-SZYSZKO

Londyn, 15.VI.1953.



Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W sprawie drobnego sprostowania.

Pan Czesław Miłosz w ,,Notatkach z lektury'' (,,Kultura'' Nr 5/67 z rb., str. 59), pisząc o książce Floriana Czarnyszewicza ,,Nadberezyńcy'', zauważył m.in., że ,,...dopiero po artykule Melchiora Wańkowicza (w ,,Kulturze'') zaczęto gdzieniegdzie tę książkę czytać i doradzać jej przeczytanie w listach do przyjaciół''. Otóż :

1) powieść ,,Nadberezyńcy'' ukazała się w roku 1942;

2) pierwsza recenzja tej książki pióra niżej podpisanego ukazała się w tygodniku ,,Lwów i Wilno'' (Londyn) w maju i czerwcu 1949 roku (dwa artykuły);

3) drugą recenzję pióra p. Jędrzeja Giertycha umieściły ,,Wiadomości'' (londyńskie) w tymże 1949-tym roku w parę miesięcy później (Nr 174);

4) Recenzję Melchiora Wańkowicza o książce ,,Nadberezyńcy'' w artykule pt. ,,Poszerzenie polskości'' ogłosiła ,,Kultura'' dopiero w październiku 1952 roku (Nr 10/60), czyli w 3 lata po ukazaniu się pierwszej recenzji.

Melchior Wańkowicz odkrył w swoim czasie Sergiusza Piaseckiego, jak również poczynił wiele innych odkryć reportażowo-literackich. Nie wątpię jednak, że w sprawie ,,odkrycia'' Floriana Czarnyszewicza ustąpi palmę pierw-

szeństwa niżej podpisanemu, który nadto pisał o ,,Nadberezyńcach" do p
ciu czasopism polskich w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie.
Zauważę w końcu, że nazwisko autora ,,Nadberezyńcy" pisze się Cz
nyszewicz, a nie Czernyszewicz.

Racz przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku

M. K. PAWLIKOWSKI

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Zgorszyła mnie recenzja p. Mariana Pankowskiego z ostatniego, 5/
zeszytu ,,Kultury". Panu Pankowskiemu wolno nie lubić poezji Wierz
skiego. To jego prawo. Ale Wierzyński jest na tyle poważną pozycją w
szej literaturze, że trzeba wymagać od krytyka, który się chce z jego poe
rozprawić, aby zabrał się do tego poważnie. A tymczasem recenzja jest utr
mana w toniku nonszalanckim, rozprawia się z Wierzyńskim króciutko,
marycznie, pogwizdując, poklepując go protekcyjnie po ramieniu. A to
— trudno mi tu użyć innego słowa — nieprzyzwoitość.

I jakież to kryteria i jaką orientację w poezji p. Pankowski reprez
tuje w swojej krytyce? Pisze on: ,,Skamander, spełniwszy rolę rewo
cyjną, korzystał przez pewien czas z przywilejów, jakie daje nowość. Po
świadomi kunsztu słowa winni byli pójść dalej i wyodrębnić style osobist
Czyta się to i przeciera oczy. Jakże to? To Skamandryci nie mieli bar
indywidualnych, osobistych stylów? Komu, posiadającemu choć odrob
zrozumienia dla poezji pomiesza się kiedykolwiek Lechoń z Pawlikow
czy Tuwim z Iłłakowiczówną? Skamandryci byli szkołą poetycką w b
dzo luźnym znaczeniu tego słowa. Zerwali z uroczystym słownictw
,,poetyckim" Młodej Polski, wspaniale wzbogacili możliwości rytmiczne p
szczyzny — i to na dobrą sprawę wszystko, co ich łączy. Ich siła, bogact
świeżość tkwią właśnie w tym, że — mówię o czołowych Skamandryt
— reprezentują oni tak wielki wachlarz różnych indywidualnych stylów.
wstyd, że trzeba o takim ABC mówić.

Pan Pankowski poświęca połowę swojej recenzji temu, co nazywa ,,
gonią za rzadkim rymem czy asonansem" u Wierzyńskiego. Twierdzi,
w tej ,,pogoni" Wierzyński czasem rozmija się z sensem. Mniejsza o
czy jego przykłady są przekonywujące, czy nie przypominają trochę t
niemieckiego pedanta, który znalazłszy w ,,Fauście" ,,złote drzewo życi
będące jednocześnie ,,zielonym" w przeciwieństwie do ,,szarej teorii",
dziwiał, jak to co złote może być zielone. Jeśli jednak jego zarzuty m
tu coś znaczyć, znaczą tyle, że Wierzyński w pogoni za bogatą instrum
tacją dźwiękową swoich wierszy gubi czasem sens. A tymczasem p. P
kowski wysnuwa ze swoich wywodów taki wniosek: ,,Uderza nas fa
jak mało uwagi poświęca Wierzyński słowu, dążąc przede wszystkim
wypowiedzenia wątku anegdotycznego". Gdzie tu rym, gdzie Krym, gd
karczma babilońska?

Pan Pankowski wypomina Wierzyńskiemu ,,posiwiałe od pyłu lat
kwizyty: Laura, Julietta, Ofelia". Rekwizyty te są naprawdę stare. T
niemniej po dziś dzień posługują się nimi poeci. Ileż takich rekwizyt
jest u T.S. Eliota. A posługują się nimi dlatego, że są one wygodny
skrótami, kondensacjami pojęciowo-emocjonalnymi. Oczywista, skróty
będą grały tylko wtedy, gdy czytelnik posiada na tyle kultury literack
żeby te imiona miały dla niego jakąś wymowę, wywoływały pewne sko
rzenia. I, oczywista, wszystko zależy od tego, czy poeta, który się ty

skrótami posługuje, potrafi je odkurzyć. Mnie się zdaje, że Wierzyński potrafił :

Czasem listonosz, mglisty pan Wesper,
Chodzący w płaszczu z ciem i mszyc,
Mówi mi : ,,Pan jest przecież poetą,
Co tam z Ofelią, Laurą, Juliettą,
Czemu nie piszą nic ?''

Ale i o to mniejsza. Ważniejszą rzeczą jest, że zarzut ten jest tu postawiony nielojalnie, bo tego rodzaju rekwizyty nie są dla tomu typowe. Można je w ,,Korcu maku'' wyszperać, ale trzeba stwierdzić, że Wierzyński posługuje się nimi oszczędnie.

Wreszcie najhorendalniejszy zarzut : ,,Niestety, warsztat twórczy Wierzyńskiego nie uległ przebudowie''. Czy p. Pankowski naprawdę nie zauważył tego, co w ,,Korcu maku'' jest rzeczą najbardziej imponującą, tego mianowicie, że poeta, który ma za sobą już bogaty dorobek, zdobył się tutaj na przełamanie starych nawyków, że poszukał nowych form wypowiedzi, że rytmika Wierzyńskiego jest tutaj inna, swobodniejsza niż w dawniejszych wierszach, liryzm bezpośredniejszy i bardziej ściszony ? W nowszej literaturze polskiej znam tylko jeden przykład tak gruntownej przebudowy warsztatu : ,,Księgę ubogich''. Panu Pankowskiemu mogą się te nowe wiersze nie podobać, ale jak mógł nie zauważyć, że są one tak bardzo nowe !

Pan Pankowski jest młodym, początkującym poetą. Dla młodych poetów istnienie w poprzedzającym pokoleniu tradycji wielkiej poezji jest zawsze rzeczą groźną. Przytłacza. Utrudnia znalezienie siebie, swojej drogi twórczej, swojego stylu. Jest rzeczą aż nadto psychologicznie zrozumiałą, że młodzi poeci bronią się przeciwko wyzwaniu, rzuconemu przez wielką poezję ich poprzedników takimi wyzywająco-nonszalanckimi wypowiedziami. Zjawisko to jest stare jak świat. I dlatego można nawet na tę recenzję patrzeć z pobłażaniem jako na swoisty zabieg ochronny początkującego poety. Ale nie sposób jej traktować jako poważnego osądu krytycznego.

Wiktor *WEINTRAUB*
Cambridge, Mass.

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Recenzja p. Jasieńczyka o ,,Błogosławionej Winie'' Zofii Kossak (,,Kultura'' 5/67) jest zabiegiem chirurgicznym będącym zdrową reakcją na leczenie przez okadzanie naszej twórczości emigracyjnej.

Natomiast aż dwukrotnie recenzent używa zwrotów dyskwalifikujących generalnie rangę pisarską Zofii Kossak. W stosunku do całożyciowego dorobku pisarki, która emigracji dała światowy *best-seller* o nakładzie 450.000 egz. rzucanie tego rodzaju twierdzenia bez należytego podbudowania sięga po kredyt jakiego nie moglibyśmy dać nawet recenzentom o najwyższym autorytecie.

Melchior K. WAŃKOWICZ
Glen Cove, L. Island, N.Y., USA

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-(IVe).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 3e trimestre 1953

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 4, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., 7, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vandrekindere, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **ulla Barcińska,** r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, Curitiba, Parana	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-IVe	150 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: Krystyna Krakowska, 2290 Av. Marcil, N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **Stan. L. Lemański,** 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; **H. R. Radomski,** 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont., Tel.: HY-0829; **Stanisław Zybała,** 089 Queen St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec"** (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. W., Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Schoenau, 4094 LSCO Schoenau, U.S. Zone; **St. Mikiciuk,** Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 2-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan /IV, Stockholm	3 kr.	15 kr.	28 kr.
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Montevideo-Melvin	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski, «Gryf Publ.»,** 615, Henry St., Utica, N.Y.; **L. Dudarew-Ossetyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewanowski,** 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; **Christian M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Ave., Toledo 2, Ohio; **Andrzej Pleszczyński,** P.O. Box 750, Santa Barbara, California; **M. Szyprowski,** 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; **Kazimierz Trojanowski,** 8805 Neal St., Detroit 14, Michigan; **S. Sokołowski,** 856 E. Stiles St Philadelphia 37 Pa.; **Polish American Book Center,** 2300 Caniff St., Detroit 12, Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/71, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	250 lir	1.500 lir	2.500 lir

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.
Koszta przesyłki pojedyńczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: **Jerzy GIEDROYC,** 1, Av. Corneille, **Maisons-Laffitte** (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; 1/2 strony 6.000 fr. fr.

IMPRIMERIE RICHARD, Paris-18e

Cena 150 frs.